

A close-up, artistic photograph of a human eye. The iris is a vibrant, textured blue, resembling a dense field of small, shimmering particles. The eye is surrounded by dark, thick eyelashes. The background is a soft, out-of-focus greyish-blue.

**K
Dawid
i
n**

**Oczy
pełne
szumu**

ŚWIATY WIZJONERÓW



**K
Dawid
i
n**

**Oczy
pełne
szumu**

ŚWIATY WIZJONERÓW

**K
Dawid
i
n**



**oczy
pełne
szumu**

WYDAWNICTWO
IX
Kraków 2018

Tytuł: Oczy pełne szumu

Copyright © Dawid Kain 2018.

Copyright for the cover art © Krzysztof Biliński. Kraków 2018.

All rights reserved.

Wydawca: Krzysztof Biliński, Wydawnictwo IX.

Redakcja: Katarzyna Koćma.

Korekta: Krzysztof Biliński.

Skład, łamanie i przygotowanie do druku: Krzysztof Biliński.

Projekt oraz ilustracja na okładce: Krzysztof Biliński.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być w jakikolwiek sposób powielana bez zgody wydawcy, za wyjątkiem krótkich fragmentów użytych na potrzeby recenzji oraz artykułów.

Wydawnictwo IX

biuro@wydawnictwoix.pl

wydawnictwoix.pl

Kraków 2018.

Wydanie I w nowej edycji.

ISBN 978-83-950610-7-3

Przebieg

Okładka
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Program
Rzeczywistość idzie pod młotek
Echo
Telenova
Statyści
Prawy, lewy, złamany
Epilog
Sceny po napisach końcowych
O autorze
Okładka tylna



KLĘCZAŁ PRZED TELEWIZOREM JAK PRZED OLTARZEM. LIZAŁ EKRA- N. KOCHAM CIĘ, KOCHAM, MÓWIŁ.

1

Klęczał przed telewizorem jak przed ołtarzem. Lizał ekran. Kocham cię, kocham, mówił.

Między nogami ścisnął pilota. Był tak podniecony, że zaczęłam się bać.

– Wsadź go we mnie – powiedziałam w końcu, przygryzając dolną wargę, bo przecież tak nauczają romanse.

We śnie miałam ekran pomiędzy udami, niczym okno do świata uciech i tajemnic.

We śnie to ja byłam telewizorem. Obrazy aż ze mnie wyciekały, taka się zrobiłam wilgotna.

* * *

– Że co? – wyszeptałam, nie mogąc odzyskać czucia samej siebie. Zdrętwiało mi dosłownie wszystko i po przebudzeniu tkwiłam we własnym ciele jak dżin nabity w butelkę. Na dodatek cała mokra. Sponiewierana i obolała. Najpierw przeżuta, potem wypluta. I jakby tego było mało, doskonale pamiętałam, co mi się śniło, mimo że przyjemnych snów – dla odmiany – nie zapamiętuję nigdy.

– Kto takie coś w ogóle... wymyśla? – zapytałam puste mieszkanie, jakby to ono było producentem wykonawczym moich powracających koszmarów.

Otarłam pot z czoła. Miałam wrażenie, jakby trawiła mnie jakaś nieznana lekarzom gorączka, prawdziwa telefebra czy może tivimaligna. Do tego te nocne dreszcze, zsynchronizowane z migotaniem ekranu, brzęczeniem głośników, blokami reklamowymi spadającymi zniecka. Ale właściwie czego

mogłam się spodziewać? Przecież zawsze, jak do późna nie odkleję oczu od telewizora, śnią mi się rzeczy chore. A to poruszający się na wózku inwalida z odtwarzaczem DVD zamiast ust. A to ciężarna kobieta rodząca poczwarki z twarzami bohaterów seriali. A to znów dziecko z anteną wyrastającą z czaszki niczym osobliwy, metalowy kwiat.

Kablówka to moje prawdziwe przekleństwo i mała apokalipsa w jednym. Pewnie, są na naszym osiedlu osoby, które firmę Telenova czczą mocniej niż ojca swego i matkę swoją, ba, mocniej nawet niż samego Najwyższego – On przecież niczyjego życia nie wzbogacił aż tak, jak to przedsiębiorstwo – ale ja się niestety do tej grupy nie zaliczam. Mnie dostawca telewizji kablowej obdarzył tylko niekończącymi się maratonami skakania po kanałach, nieprzynoszącymi niczego, poza psychicznym i fizycznym wypompowaniem. Racja, mam te kilkadziesiąt programów. Zgoda, wybór jest spory. Ale co z tego, jak na żadnym nie ma niczego interesującego? Tracę tylko czas i nerwy, oglądając jakieś bzdety – filmy sensacyjne na przemian z programami przyrodniczymi, audycje o modzie przeplatane horrorami – a później wyobraźnia wymyka mi się spod kontroli i nie ma zmiłuj.

Teraz wariacka fantazja rozgorączkowanego telemaniaka, wczoraj przerażająca wizja tuzina wygłodniałych niemowląt, niczym Langoliery pożerających wszystko, co tylko spotkają na drodze. Trawiących świat, kawałek po kawałku, i wydalających celuloid, taśma za taśmą. Sączących jad z wypełnionych haczykowatymi zębami ust. Zaciskających sine wargi w niemej prośbie o więcej i więcej.

Weź się, Anka, ogarnij, powtarzałam sobie, ale to do mnie jakoś nie mogło dotrzeć. Krążyłam błędnie po mieszkaniu, trzęsły mi się ręce, kolana miałam miękkie, do gardła podchodziła cała serialowa treść, jaką minionej nocy zdążyłam pochłonąć. Prawnie byłam już o krok od ciężkiej psychozy. Tak to się z reguły zaczyna. A skończy się na tym, że wypcham swoją matkę trocinami i zasztyletuję pierwszą kobietę, która zechce brać prysznic w bezpośrednim sąsiedztwie mojego obłędu. Jezu!

Snułam się w tę i w tę, nie wiedząc, za co się zabrać. Nerwowa, błądziłam wzrokiem po kątach, starając się unikać magnetycznej mocy śpiącego jeszcze ekranu. Oczywiście, że by się go włączyło i najchętniej to by się patrzyło i patrzyło, i patrzyło, aż by mnie w ogóle nie było. Ale póki co, to niewskazane, trzeba najpierw pograć trochę w telenoweli własnego życia, chociaż to zajęcie jakieś takie słabo płatne i totalnie nieprzyjemne.

Powinnaś zmienić styl życia, serio-serio, Anka. Bo na mózg ci padło to ciągle oglądactwo i patrzalstwo. Oczy coraz większe, a pod czaszką już nawet nie wata, lecz waciki. Przydałoby się więcej ruchu, świeżego powietrza, bezpośrednich kontaktów z drugim człowiekiem. Więcej żywych i naturalnych dialogów na ulicach i w lokalach, mniej rozbudowanych monologów wewnętrznych pod kołdrą lub w blasku ekranu. Spędzając tyle godzin w czterech ścianach, można mentalnie ocipieć. Ja ci to mówię, dziewczyno, bo tak się składa, że ja tobą, kurde, jestem. Więc dupka w troki i hasamy po plenerach z uśmiechem, zamiast wspinać się ekspresowo na wyżyny szczytu zwanego potocznie Głupotą. Aktywność nie boli, kochana, a spala kalorie, może więc warto spróbować! Rozmówcą nie zawsze musi być ten dołujący głos płynący z wnętrza własnej głowy, kręcący ciąglą korbę. No dalej! Zrób coś ze sobą! Myśl pozytywnie. *Enjoy*, do jasnej cholery! Zapisz się na aerobik, jogę, naukę tańca. Kup nowe podpaski, jesteś tego warta. Posłuchaj pragnienia! Zmień się, zaaranżuj fajnie swoje smętne wnętrze. Albo chociaż wyskocz do fryzjera. No dalej, Anka, działaj, ekscytuj się, walcz! Ale najpierw wyjdź z tego przeklętego mieszkania! Jakie tu masz perspektywy, jakie możliwości rozwoju, awansu. Czy przypadkiem nie żadne? Niech twój pierwszy krok w kierunku lepszej przyszłości będzie krokiem za próg!

– Oj, taaaa...

Wyglądam przez okno, ziewając.

Dzień dzisiaj wyjątkowo niewyraźny i ja czuję się niewyraźnie. W taką pogodę nie mam zamiaru nic robić. Bo i po co? W inną zresztą też nie bardzo. Najchętniej bym się zwinęła w kokonik kołderki i czekała, aż się tak sama z siebie w najpiękniejszego motyla przemienię. Ale tak lekko to nie ma.

Matko, myślałam sobie, to osiedle jest tak dołujące, że nawet oddychać się odehciewa. Zresztą, co to za oddychanie, prędzej spijanie gęstego kozucha smogu.

Masz rację, Anka, najlepiej walnąć się na podłogę i cierpliwie czekać na śpiączkę, która – jak święty Mikołaj – przyjdzie z workiem prezentów, gdy się najmniej spodziewasz: kolorowe paczuszki wypchane urojeniami, proszę, mała, a jeśli byłaś niegrzeczna, to różgą dostaniesz, chlast prosto w czachę i zamiast spania, linia funkcji życiowych prosta jak strzała.

Po co w ogóle wstawalam?

Szara smogowa mgła szczelnie otula pobliskie budynki – ponure blokowiska, wyrastające z ziemi jedno przy drugim, kalekie dzieci PRL-u,

bliźniaczo do siebie podobne i wywołujące taką samą zgrozę. Chmury nad miastem wielkie jak ciemny parasol, odcinający dopływ światła. Mdłe opary codzienności wywołują odruch wymiotny, gdy wiesz, że dziś znowu będzie jak wczoraj i przedwczoraj, gdy masz świadomość, że budzenie się ze snu – choćby najchorszego pod słońcem – było złą decyzją. Bura kawa rozlewa się po ulicach od samego rana, ale nie pobudza i nie orzeźwia. Nie idzie o to, że jestem jakoś szczególnie negatywnie nastawiona względem rzeczywistości, ale... mogłoby się wreszcie coś zmienić. Mogłoby się w końcu stać coś choć trochę niezwykłego w tym naszym okropnym mieście.

Anka, zmieni se scenarzystę, mówi głos w głowie, chichocząc ochryple.

Albo chociaż diler, dodaje po chwili, wcale się już nie śmiejąc.

* * *

– Eee, ty żyjesz w ogóle w tej chwili? – pyta Paweł, gapiąc się na mnie jak na niskobudżetową zjawę.

Stoi w progu mojego mieszkania, papieros w ustach, smuga szarego dymu ciągnie się za nim jak welon. Znowu zgrywa trochę zbyt pewnego siebie. Cóż zrobić, gen cwaniactwa i leserstwa ujawniający się w każdej sytuacji. A w środku ukryty żaloszny facecik, rozpaczliwie szarpiący joystickami, byle tylko nikt w porę nie dostrzegł, że w każdej dziedzinie jest amatorem. Wszędzie teraz takich na pęczki, aż się niedobrze robi. Ale z drugiej strony, to jedyny kolega, jaki mnie jeszcze odwiedza.

Nie pora na wielkie reklamacje, skargi do wyższych instancji, Anka. Załóż, że to taki pies z kulawą nogą, który się pojawił, gdy na spotkanie z tobą nie przyszedł już zupełnie nikt. Amen.

– Połowicznie. Właź.

Nie zdejmuję butów, więc momentalnie łapie mnie wnerw i mam go ochotę zdrowo opieprzyć. W ostatniej chwili gryzę się jednak w język. Po raz kolejny wolę uniknąć nieprzyjemnej konfrontacji. Tak jest zresztą zawsze. Mogliby po mnie skakać, a życzyłabym im miękkiego lądowania.

Ależ Anka, bądźże choć troszkę asertywna, radzi mi głos, tym razem tonem mojej matki. Uciszam go w porę, zanim zdąży się poczuć w moich myślach jak u siebie w domu.

Paweł, Paweł, Paweł.... Jemu się pewnie wydaje, że jak stoi na bramce w modnym klubie, to już mu wszystko wolno, bo jest strasznym VIP-em

i powinnam być wdzięczna, że w ogóle przyszedł, co? Litości. Nie jestem szczególnie porządnicka, ale gdy widzę, jak gruba jest warstwa błota na podeszwie tych jego glanów, nachodzi mnie chęć, żeby się pochlastać. Albo pochlastać jego. Na dodatek wczoraj sprzątałam. Nieźle się spociłam, próbując doprowadzić mieszkanie do porządku, a tu przyjdzie taki prostak i... Cholera jasna. Żyję sama i nie chcę mieć chlewu, jakbym dzieliła pokój ze świniami.

– Nie żebym chciał być chamski, wiesz. Wyglądasz na odrobinę... sponiewieraną. Coś się stało?

– Źle spałam. Powiedzmy.

– Rozumiem. Czy nocą przyszedł Freddie Krueger i swoimi brzytwami próbował ogolić ci nogi?

Och, jak ja uwielbiam takich, co parskają śmiechem z własnych żartów, zanim ktokolwiek inny w ogóle zdąży się uśmiechnąć.

– Tak, to był Freddie. I dostał takiego kopa w buźkę, że aż się nakrył kapeluszem. Ty też chcesz?

– Nie no, sorry... Nic nie mam do twoich nóg. Są z pewnością gładkie i ten, no, piękne. Czy coś. Ja tak tylko... tego...

Już mu wierzę. Po prostu próbował mi dogryźć. Jak wiele razy w przeszłości. Bo każda okazja jest dobra, żeby mnie zepchnąć w narożnik. Choć fakt faktem, że ostatnio nie prezentuję się najlepiej. Spuszczam wzrok i dopiero teraz dociera do mnie, że w wymiętej piżamie Hello Kitty muszę wyglądać jak coś, co zostało nietknięte na samym dnie kosza po wyprzedazy w H&M. Tylko czy to źle? Nie jestem jak panienki z pierwszych stron gazet, nie szczerzę się na zawołanie, nie chichoczę zalotnie po każdym durnym żarcie, nie wyważam biustem drzwi do wielkiej kariery, ale i nie czuję takiej potrzeby. Raczej jest mi już strasznie wszystko jedno. Kiedyś bardziej mi zależało, ale ostatnio sporo się zmieniło. Może to po prostu starość, niebawem będzie dwadzieścia pięć, a to przecież równiusienkie w pół do pięćdziesiąt. Czas już nie biegnie, tylko stacza się w nieprzyzwoitym tempie. Czuję to na każdym kroku – jakbym w ciągu ostatniego tygodnia postarzała się o całe lata. Ciągłe zmęczona, dosłownie wypompowana. Sięgnięcie po pilota to wysiłek godny olimpijskiego medalu. Z wielkim trudem przychodzi mi nawet utrzymanie głowy w pionie i na karku, taka się zrobiła pusta, ciężka i nieusłuchana.

Niech się tam za oknami toczą planety i wojny, mi dajcie święty spokój. Błagam, zapomnijcie o mnie, dajcie komputer i telewizor, bo ja teraz

zazdrozczę roślinom i kamieniom, zazdrozczę psom. Oczy mam czerwone jak królik doświadczalny, a wciąż powracające bóle głowy bez wątpienia wyrzeźbią na twarzy sporo nowych zmarszczek, których nie wygładzi nawet najdroższy krem. Jednak prawdą jest, że nie musiałabym spędzać tylu godzin z oczami wlepionymi w ekran, gdybym od długich miesięcy nie cierpiała na bezsenność. A nie cierpiałabym na nią, gdyby nie...

– A tak w ogóle, to widziałem się wczoraj z Olkiem.

...gdyby nie Olek.

– Aha... No fajnie. Co u niego? – pytam najbardziej obojętnym tonem, na jaki mnie w tych okolicznościach stać. Domyślam się, że nie brzmię tak luzacko, jakbym chciała. Na dźwięk jego imienia nie jestem tak nieskrępowana, jak powinnam. Trochę czasu musi jeszcze upłynąć. Zresztą, zobaczymy. Nigdy wcześniej nikt tak nie zawiódł. Nigdy wcześniej nie rozstałam się z nikim po tak długim związku, więc nie mam w tych sprawach dużej praktyki. Choć może półtora roku to nie aż tak długo, jak się wydaje. Dla Olka z pewnością niewiele. Myśli: nie ta, to inna, i idzie dalej. A ja tylko niepotrzebnie się tym przejmuję, w kółko analizuję, dyskutując sama ze sobą, aż słabo się robi. Pora z tym skończyć i rzucić się w wir nowych zajęć. Tylko jakich? Jakich?

Zerkam na telewizor i tak bardzo chcę go włączyć, że to chyba musi być już miłość i inne nieszczęścia, albo nawet gorzej.

– A, spoko. Zaczął nową robotę, coś tam sobie działa, się nie poddaje. W jakimś piśmie o muzyce, czy coś tego typu. Wiesz, on zawsze miał w tym temacie świra, ciągle tylko płyty, płyty... Aha, no i pytał o ciebie.

– Tak?! I co mu powiedziałaś?

No nie. Chyba za bardzo się podekscytowałam jak na „Kobietę, Która Już Nie Chce Mieć Z Tym Sukinsynem Nic Wspólnego”. Cóż, zdarza się. Nie dla mnie żadne „było-minęło” ani „alleluja i do przodu”. Ani tym bardziej *bitch mode on* i mechaniczne traktowanie każdego faceta jako środka do celu, jakikolwiek by nie był. Nie ze mną te numery. Włącznik dystansu do takich spraw musiał zaciąć się już dawno, autoironii wysiadły korki i przepaliły się tranzystory. Jestem tylko człowiekiem i nie zawsze daję radę zachować się z właściwym dla automatów opanowaniem. Wstyd mi za siebie, no wiem, wiem.

– Że wszystko świetnie. Teraz widzę, że trochę idealizowałam.

Drań. Palant. Buc. W konkursie uszczypliwości należy mu się kolejny punkt. Który to już?

– Słuchaj, wcale nie jest tak, jak ci się wydaje. Właśnie wychodzę na prostą i to nie żadne...

– Nie? Bo trochę się zachowujesz, jakbyś przyćpała. Bez obrazy.

Mam ochotę mu wygarnąć, że akurat w tej dziedzinie to on jest, do kurwy nędzy, osiedlowym ekspertem. Ale zacinam się i stoję z otwartymi ustami, jakbym czekała, aż ktoś wrzuci mi kolejny żeton, bez tego po prostu nie zadziałam.

Nagle zaczyna mi się wydawać, że cały pokój wypełniony jest dymem, gęstym jak futro. Gryzie w oczy, utrudnia oddychanie. Zaraz się popłaczę, rozkleję na dobre. O ile wcześniej nie wyrzucę Pawła i jego syfiastych fajek przez okno. Po co tu w ogóle przyłaził? Czemu zawsze muszę być magnesem dla frajerów i psychopatów? Ja chcę mieć spokój, nie mam zamiaru słuchać, jak to Olkowi świetnie się wiedzie – nowa praca, pełny portfel i może jeszcze sekretarka, co stanika nigdy nie zakłada, majtki sporadycznie, za to podwiązki obowiązkowo – a ja zostałam w tyle: wielka pani filozof na tronie z książek spisanych czystym bełkotem, pełnych nieżyciowych prawd, schizofrenicznych omamów. Co za idiotyzm i jawna niesprawiedliwość! Jako dziecko wierzyłam, że jak ktoś robi coś złego, to potem przegrywa, nie dostaje prezentu, a na końcu idzie prosto do piekła. Teraz widzę, że jest inaczej, a w piekle to chyba już sama jestem.

– Żadne przyćpałam – mówię w końcu nieco łamiącym się głosem. – Niewiele spałam i tyle. Zasiadziałam się przy telewizji.

– A bo ty sobie też kablówkę przecież założyłaś! – Paweł mówi to z taką ekscytacją, jakbym co najmniej zmieniła wyznanie.

– Mhm. Była promocja. Sam wiesz, jak jest.

– No i o to chodzi! Tak trzeba żyć! Jasna przecież sprawa. Sam oglądam do pierwszej-drugiej codziennie. A czasem to i do piątej, powiem nieskromnie...

Momentalnie przypominają mi się sceny z oglądanego wczoraj horroru. Rodzinka jadąca drogą, która nie ma końca, jakby była w tajemniczy sposób zapętłona. Noc, zagadkowa kobieta w bieli, ściskająca martwe niemowlę, które już zaczęło roztaczać nieprzyjemną woń. Wokół las, gałęzie drżą od wiatru, mgła pełza między pniami, ktoś krzyczy przeszywająco, ale może to tylko ptak. Bohaterowie po kolei umierają, co jeden to w drastyczniejszy sposób. Jak to się nazywało? *Ślepy zaulek*. Tytuł jak na moją, kurde, autobiografię. W pewnym

momencie gdzieś źle skręciłam i już sama nie wiem, dokąd zmierzam, czy aby nie prosto w drzewo.

– ...ciężko się od cholerstwa oderwać – ciągnie Paweł, choć ledwie go słucham, bo już się gapię na moje kochane pudło, które zaraz włączę i wszystko inne od razu pójdzie w tło. Już za momencik. – Uzależnia, być może mocniej niż twarde dragi. Czytałem jakieś wyniki badań i ten... No, zresztą nieważne. Tyle dobrze, że nikt cię nie wysłał na odwyk, bo wszyscy w tym tkwią po uszy albo nawet po oczy... A jak już jesteśmy w temacie, włącz ten swój wysłużony sprzącior. Pokażę ci coś. I lepiej siadaj, bo padniesz. Zajebista sprawa.

Podaję mu pilota. Choć niechętnie, bo kto ma pilota, ten ma władzę. A głos w głowie powtarza, że nie mogę się zrzekać jedynej władzy, jaką jeszcze posiadam.

Co on znowu wymyślił, pytam sama siebie, patrząc na dziwny uśmiezek, z jakim Paweł zaczyna coś tam nastawiać. Znosi się na lepszą bzdurę, jak zawsze. Już w liceum był z kolesia klasowy błazen, a potem, zamiast dojrzeć, jeszcze bardziej wczuł się w rolę. Rozumiem robienie sobie jaj, dobra, co kto lubi, dystans i humor też w porządku, współcześnie bardzo pożądane, ale nie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu. Wszystko ma swoje granice. Naprawdę szkoda mi czasu na takie...

Ustawia kanał dwadzieścia trzy, na którym nie ma niczego, prócz śniegu, jednej wielkiej zamieci. Potem zaczyna coś kombinować w menu szukania stacji, przeskakuje z opcji na opcję, czaruje pilotem, jakby to była magiczna różdżka. Odkąd śniło mi się to, co mi się śniło, cholerny pilot kojarzy mi się już tylko z jednym.

Wzdycham możliwie najbardziej ostentacyjnie.

– Słuchaj, nie jestem dziś za bardzo w nastroju do takich... Czego ty w ogóle szukasz? Jeśli darmowego porno, to naprawdę nie musisz się dłużej...

– Ciiii. Zaraz się przekonasz. Opad szczeny gwarantowany, słowo daję. Albo zwrot pieniędzy.

– Czyich pieniędzy?

Nie odpowiada, tylko się do mnie szczyrzy.

Na ekran wskakuje jakiś nowy program. Nigdy wcześniej go nie widziałam. Jest dosyć dziwaczny. Wygląda na nielegalną stację, nadającą właśnie reportaż z naszego osiedla. Obraz niezbyt wyraźny, trochę śnieży i błyska. Kolory wyblakłe, z przewagą zgnilej zieleni. Istne *M jak miłość* czy inny *Klan*, tyle że

z jeszcze mniejszym budżetem. Może i tu kręcą teraz serial? Może i ja będę miała szansę zostać gwiazdą, żeby w brukowcach za ciężką kasę opowiadać o ulubionym kolorze majtek?

– Co to ma być? Piknik pod Wiszącą Zaspą? – pytam, gapiąc się na skromne wnętrze mieszkania bardzo podobnego do mojego, choć jeszcze brzydszego.

– Kilka dni temu na to trafiłem. Prawdopodobnie przebitka z kamer ochrony czy coś. Pokazują nasze osiedle. Na żywo.

Coś mu się chyba popieprzyło, myślę.

– Coś ci się chyba popieprzyło – mówię, bo muszę wreszcie zacząć mówić, co myślę.

– Że co?

– Jaka ochrona? Jakich kamer? My nie mamy ochrony. To nie supermarket. To jest osiedle z czasów głębokiej komuny. I nigdy żadnej ochrony nie mieliśmy. Przynajmniej ja nie pamiętam, a mieszkam tu dłużej od ciebie.

– Kiedyś musieliśmy mieć. Założę się. Pilnowali, pałowali, sterydy walili po godzinach. I było prawo i sprawiedliwość, a nie menelstwo czające się za każdym krzakiem, w każdej bramie. Głowę dają. Pewnie zostawili część sprzętu po pijaku, jak robili bibkę pożegnalną i...

– I co? I możemy oglądać, co się dzieje w bloku obok?

– No tak. Ktoś się musiał podłączyć do... do tej wewnętrznej sieci... elektrotechnik czy inny magister informatyk... i, i, i... – Tyle gestykulował i tak się plątał, że nie było wątpliwości: koleś nie miał najbłedszego pojęcia o tym, co próbował wytłumaczyć. Ciężko mi było się nie zaśmiać. – ...i postanowił zrobić wypasiony *show*. Żałuję, że sam na to nie wpadłem. Może gdybym...

– Kompletna bzdura. Nie pamiętam żadnej ochrony. A już na pewno żadnych kamer. Zresztą, niby jaka ochrona ma prawo montować sprzęt po prywatnych mieszkaniach ludziom prostym centralnie za plecami?

– Nie mam pojęcia i chuj mnie to, generalnie. Ale możesz sobie podziwiać, co porabiają sąsiedzi. – Wyrzuca przez uchylone okno niedopaloną fajkę, która, odbijając się od parapetu, zostawia na nim paskudną smugę popiołu. – Co tam się będzie odpierdalało, Boże drogi! Erotyczne szaleństwa dewotek. Podstarzali tatuśkowie, konający z wycieńczenia po dwuminutowym seksie. Psy goniące własne ogony i koty patrzące na to z niekłamaną wyższością. Rodzinne dramy, rękoczynny, traumy, zwroty akcji. I absolutnie szokujące wcinanie rosołu z makaronem, zanim teściowa przyniesie schabowe. Dzieciaki

myjące ręczki! Ale też łykające piguły i wciągające białko, jak tylko starsi wypełzną poza kwadrat. Sama prawda, dwa cztery na siedem! Gratis do tego, bez reklam i ściemy.

Gapię się w ekran i nie mogę uwierzyć, co widzę. Ktoś – na pewno nie ochrona! – rzeczywiście nagrywa ludzi w ich mieszkaniach. O tego rodzaju monitoringu to jeszcze nie słyszałam. Nagrywanie bez wiedzy i zgody nagrywanych, rozpowszechnianie w eterze zezwierżenia naszego powszedniego... To w ogóle legalne? Można sobie tak po prostu wsadzić komuś kamery i mieć go zawsze na oku? Co na to konwencje praw człowieka? Co na to zwykła ludzka przyzwoitość?

– To się... to się nadaje na policję – mówię.

– Nie przesadzaj. Przecież fajna rzecz...

– Paweł, ja nie żartuję. To jest totalne przegięcie pały, bezczelne skierowanie obiektywów w rejony zakazane. Nie pamiętam, żebym w umowie najmu wyrażała zgodę na pieprzonego Big Brothera. Nie mam najmniejszego zamiaru w takim bagnie uczestniczyć. Żeby jeszcze frajerstwo miało używanie, jak pod prysznic włąkę. Chryste Panie...

– No i nie uczestniczysz. Bez paniki! Coś ty taka nerwowa ostatnio?

– Tak się jakoś złożyło.

– Nie pokazywali ani twojego, ani mojego mieszkania. U nas nie ma kamer, przecież byśmy się skapnęli, nie sądzisz? Nie jesteśmy bohaterami żadnego Orwella, żadnego Kafki, więc wrzuc na luz, dziewczyno, bo ci pikawa padnie i skończysz z zawałem. Co ci przeszkadza, że ktoś postanowił zrobić eksperyment? Sztuką blokowisk chlapnąć po ekranach? To cię tak boli?

Orwell i Kafka? Czy Paweł przeczytał ostatnio jakiś poradnik typu „Zaimponuj intelektualistce – szybko i łatwo”? Przecież nieraz się przechwalał, że nie przeczytał nawet połowy streszczeń lektur, a wszystkich nie-analfabetów uważał za kujonów... Czyżby coś mnie ominęło?

– Boli. I przeszkadza – odpowiadam, choć ciężko tak z biegu wymienić konkretne argumenty, dlaczego jestem przeciwna, być może po prostu jest ich zbyt wiele. Z drugiej strony, może nie należy wpadać w przesadny purytanizm, jest wiek dwudziesty pierwszy i nagrywanie przez celebrytki zabiegów waginoplastyki to nie pierwszozna... Poza tym mamy niby wolność wypowiedzi artystycznej – czy jak to się tam nazywa – to może takie zagrania stają się w pewnych warunkach dopuszczalne. – Gdzie według ciebie zainstalowali te kamery? I czemu akurat tam, a nie tu?

– Dziewięćdziesiąt dziewięć procent, że nagrywają w którymś ze starych bloków. W Jedyńce albo Dwójce. Sama popatrz. Kompletna rudera, szeroka paleta degeneratów i popaprańców, którzy tak naprawdę mają gdzieś, czy ktoś ich podgląda, czy nie, bo kontakt z rzeczywistością to u nich generalnie żaden.

Faktycznie, pokazywane mieszkanko nie wyglądało dobrze ani nawet w normie. Pożółkłe tapety, meble pamiętające komunę głęboką jak Rów Mariański. Chorobliwie otyła kobieta siedząca przed telewizorem. Przypominała jeden z niepotrzebnych sprzętów domowych, zabytek zamierzchłej epoki, grat wyczajony na pchlim targu. Wkomponowała się w tę zapomnianą przez wszystkich norę, wrosła we własną beznadzieję na amen. Nadgryziona zębem czasu, jak wszystko wokół. I nawet nie ma pojęcia, że ją teraz oglądamy. To z jednej strony straszne, ale z drugiej... trochę ekscytujące. Tutaj nie będzie udawania. Blokowa rzeczywistość bez zbędnych upiększeń, makijażu nakładanego chybcikiem na gęby rodem z kroniki kryminalnej. Aż ciarki przechodzą, serio.

– Ale po co oni to robią? Przecież tu nigdy nic się nie dzieje. Osiedle jak każde. Jaki to ma sens? Jaki z tego można wyciągnąć pieniądze?

– Bóg raczy wiedzieć. Bóg albo prezes tej całej stacji. Zresztą, co mnie to. Jest okazja, to się popatrzy. Darmo, więc nie wybrzydź, bo tata zabierze i da po łapach. A co tamci wyprawiają w zaciszu czterech ścian, to już osobny rozdział. Więc pogapmy się i może na moment zamknijmy japy, póki w miarę mi się udało wyregulować.

Grubaska z ekranu zaczęła dłubać w nosie. Jezu... Chryste... Zbawicielu świata.... To tak emeryci spędzają przysłowiową „jesień życia”? Włożyłaby palec głębiej, a usłyszałabym chyba odgłos paznokcia uderzającego o wnętrze czaszki. Pustej, bo wątpię, czy ostał się tam choćby strzęp szarej komórki. Wszystko strawiły brazylijskie tasiemce, które – jak wiadomo – mózgiem odżywiają się nałogowo. Matko. Nie znałam tej baby, nigdy wcześniej jej nie widziałam, ale już byłam pewna, że jest naprawdę obleśną staruchą. Parszywą wiedźmą godną angażu w *Blair Witch*. Rany. I czym tu się ekscytować? Aż żal mi się zrobiło własnego telewizora, że musi takie coś przepuszczać przez biedne kable.

* * *

Jak tylko Paweł wyszedł, strzeliłam sobie mocną kawkę. Byłam strasznie senna i czułam się jakaś połamana. Może brała mnie grypa? Może wciąż trzymało mnie w szponach posesyjne zniechęcenie do wszystkiego? Nadwerżony nadmiarem nauki mózg wył, zdychał i odmawiał współpracy? Może i tak. „To nie żyje”, powiedziałby na mój widok doktor Frankenstein. Ale cóż zrobić, kucia było tyle, że mam prawo być w dolinie przez dłuższy okres, niezdolna do niczego, poza wzdychaniem i ziewaniem.

Przetrzęsłam kuchenne szafki, szukając jakichś leków. Niczego poza witaminą C. Cholera...

Upiłam kolejny łyk.

Wizyta Pawła tylko wyprowadziła mnie z równowagi, nic więcej. Czy on urodził się, żeby mnie denerwować? Cenię szczerłość, ale nie w formie czystego chamstwa. Bo chociaż ostatnie tygodnie były fatalne, wyniszczające i denne, to nie mogłam się chyba aż tak zmienić. Muszę zacząć wreszcie wierzyć, że wszystko jest zupełnie w porządku, żebym pewnego dnia nie obudziła się z ręką w nocniku, czy raczej: z głową w ekranie. Mam podstawy przypuszczać, że właśnie taki koniec ktoś zaczął dla mnie szkicować: los, stwórca, scenarzysta, nieważne. Wierny telewidz przeżyje wreszcie bliskie spotkanie ze swoim „Panem”. Zbyt bliskie, zdecydowanie.

W końcu znalazłam dwa gripexy, upchnięte w szufladzie z filmami. Jaki idiota mógł je tu wsadzić? Kto był na tyle bystry, żeby wetknąć piguły między pudełka z DVD? Tylko jedna osoba przychodziła mi na myśl – Olek. Pan Zawsze Na Pełnym Luzie. Pan Skończyłem Studia, Których Nie Cierpiałem I Teraz Mam Prawo Być Wkurzony Na Cały Dosłownie Kosmos. Magister Ściemologii Stosowanej. Frajer z certyfikatem.

Rozsiadłam się w fotelu, łyknęłam tabletki i popiłam kawą. Mieszanka efedryny z kofeiną da mi solidnego kopa. Taki koktajl nieraz mnie ratował, szczególnie przed egzaminami, gdy powieki już zaczynały opadać, a przede mną były jeszcze długie godziny wkuwania logiki, czytania o platońskich jaskiniach, czy – powołując się na ostatnio zaliczony materiał – solipsyzmach Berkeleyya. Że też teraz, kiedy powinnam być odprężona i szczęśliwa, że wszystko pozdawane, nie mogłam otrząsnąć się z marazmu.

Zerknęłam na telefon. Dwa nieodebrane połączenia od mamy. Pewnie chciała mi łaskawie przypomnieć, że ona i tata nie będą mnie utrzymywać przez wieczność, więc może pora wydorosnąć. Albo tym razem miała w zanadrzu monolog o tym, że ona w moim wieku już musiała mnie urodzić,

więc niby, jakie ja mam prawo mieć humory, skoro nie mam bladego pojęcia o dorosłym życiu. Na razie się nie dowiem – oddzwonię nie wcześniej, niż za parę godzin, jeśli w ogóle. W takich chwilach cieszyłam się, że tata nie dzwoni nigdy. Choć z drugiej strony, wiedziałam, że po prostu się mną nie przejmuję.

Wybacz, mamusiu, zapiszczał głos w głowie, twój jad musi jeszcze trochę pobulgotać na gazie, zanim we mnie chluśniesz.

Z ekranu dalej ściekało to beznadziejne osiedlowe *reality show*. Widać, zapomniałam zmienić program.

Gruba baba nadal tkwiła w tym samym miejscu, co poprzednio. Gęba niczym pączek nafaszerowany zbyt dużą ilością dżemu, przetłuszczone włosy, oczka niewielkie jak para rodzynek w cieście. Zły sen cukiernika. W dłoni trzymała łyżkę. Uśmiechała się tajemniczo, jakby chciała powiedzieć: „A ja coś wiem, a wy jeszcze nie”.

Sięgnęłam po pilota. Nie miałam ochoty dłużej napawać się szalejącą za szkłem nędzą, tym przybierającym wręcz barokowe formy obciachem. Może Pawłowi to odpowiada, zaspokaja go estetycznie i intelektualnie, ale mnie, Boziu ratuj, nie. Tego typu eksperymenty działały na mnie jak środek wymiotny. Wewnętrzna pustka gatunku ludzkiego szybko wypływa na wierzch, w całej budzącej żal i rozpacz okazałości. Nagle wewnątrz przeciętnego *Homo sapiens* na naszych oczach staje się rozciągniętą po horyzont ziemią jałową, nad którą krążą wygłodniałe sępy, bezskutecznie szukające wzrokiem jakiegokolwiek ochłapu myśli, idei, sensu. Ale tam zupełnie nic nie ma.

Zanim jednak zdążyłam zmienić program, babsztył powolnym ruchem przybliżył sobie łyżkę do twarzy.

Przeszył mnie nagły chłód. Miałam dziwne przeczucie, że za moment stanie się coś strasznego, nieodwracalnie ryjąc tunele w mojej biednej psyche. Może to wcale nie kolejny program rozrywkowy, *show* za pięć groszy, cyrk w kręgu kamer, tylko raczej projekcja czyjejś chorej podświadomości. Nie wiem, skąd przyszło mi to do głowy, ale już po chwili stało się niemal pewnikiem.

Starucha dłużej się nie wahała. Szczerząc się patologicznie, wbiła sobie łyżkę w oko. A potem przekreśliła ją kilkukrotnie. Jakby chciała wkręcić tą łychę głęboko w mózg, wywalić dziurę z drugiej strony. Może tylko mi się wydawało, ale mogłabym przysiąc, że usłyszałam zgrzyt metalu o kość.

Zacisnęłam zęby. I pięści.

Coś w moim gardle zaczęło pęcznieć, niczym namakający wodą tampon. Nie mogłam przełknąć śliny.

Tamta przez chwilę klaskała, jakby chciała nagrodzić brawami samą siebie, bo przecież nikogo innego w pobliżu nie było.

Dopiero wtedy dotarło do mnie, że nie zmieniłam programu, bo nie mogę się ruszyć. Nie mam władzy nad swoim ciałem. Żadnej.

Stara wiedźma skończyła owacje, a potem mdląco powolnym ruchem wyjęła z oczodołu zakrwawioną, pokrytą galaretowatymi resztkami gałki ocznej łyżkę.

Zachichotała, brzmiąc jak rozszarpywany styropian.

A ja nadal byłam sparaliżowana. Nie mogłam krzyczeć. Ani nawet oddychać.

Myślałam... Miałam nadzieję, że ta walnięta starucha nie może już zrobić niczego bardziej obrzydliwego, że to koniec przedstawienia i zaraz kurtyna opadnie, być może na zawsze.

Niestety byłam w błędzie, bo wtedy ona...

...ona...

...oblizwała wargi i z uśmiechem wsunęła sobie łyżkę w usta.

2

Paweł wyjął z kieszeni zapalniczkę i odpalił sobie kolejnego papierosa. Zaciągając się, przymknął przekrwione oczy. Dwóch rzeczy było w jego życiu zdecydowanie za dużo: telewizji i fajek. Choć palił już paczkę dziennie, a nieraz więcej, czuł, że może rzucić w każdej chwili, wystarczy, żeby znalazł odpowiednią motywację. Wtedy z tym skończy, kupi dziesięć paczek Nicorette i walnie sobie porządny odwyk. Gorzej z telewizją. Bo nie wymyślono jeszcze gum pomagających w zwalczaniu uporczywej telemanii, nieżnośnego nałogu kablowego, który w przypadku Pawła z dnia na dzień przybierał coraz bardziej groteskowe formy.

Nie pamiętał już, czy znalazł ich w sieci, przeczytał numer na ulotce, czy raczej któryś ze znajomych polecił mu akurat tę firmę. Prawdą jednak było, że Telenova całkowicie zmieniła jego życie. Wcześniej generalnie miał telewizję w dupie, te wszystkie szaro-bure polskie seriale i reszta gówna, jego to nie brało. Sporadycznie śledził *Świat według Bundaych* czy *Przyjaciół*, ewentualnie

zapuszczał Vivę albo MTV, lecz też nie codziennie. Jednak Telenova przyniosła istotną zmianę, prawdziwy przełom pod względem dostarczanych treści. W skład oferty wchodziły bowiem nie tylko audycje dużych koncernów medialnych, ale również rzeczy niemal zupełnie nieznanymi stacji, takich jak skierowana do gejów i lesbijek *Queer*, odpowiadająca fetyszystom *Kink*, czy też poświęcona różnym przejawom przemocy i agresji *Videodrome*, którą założyli chyba jacyś zdrowo pieprznięci wyznawcy filozofii nieśmiertelnego markiza de Sade. Był program, który przez cały dzień pokazywał terrarium z wężem, na innym koleś ubrany na wojskowo przez całą dobę recenzował scyzoryki i noże, oceny wystawiając nacięciami na własnej skórze – od jednej blizny do pięciu. Był nawet taki, gdzie w dzień nie szło nic, a nocami pokazywano psychodeliczne wizualizacje czarnych dziur. Jakby tego było mało, w tle rozbrzmiewał cichy kobiecy głos, dziwnie podniecający, w obcym, być może arabskim, języku. Paweł sądził, że to jakieś naukowe rozkminy, ale któreś nocy zobaczył na ekranie polskie napisy i dosłownie go zmroziło. „Jesteś zerem, jesteś nikiem, zwykłym pyłkiem w jebanej pustce. Wiem, że bardzo chciałbyś wypierdolić taką dziurę. O niczym innym nie marzysz. Chciałbyś, żeby wyssała z ciebie całe mięso i wszystkie kości, o tak, frajerze, wyssała z ciebie resztki życia, ta wielka czarna cipa, o tak, kochany”. Napisy nie pojawiły się już nigdy więcej, ale Paweł i tak raczej stronił od tego kanału, bojąc się, że wyląduje w kaftanie. Inne dziwactwa jednak śledził z niesłabnącą ekscytacją.

– Kurewska pogoda – szepnął sam do siebie, wydychając w chłodne powietrze kłęb gęstego dymu. Założył na głowę kaptur i ruszył w stronę swojego bloku.

Debil ze mnie, pomyślał, przypominając sobie swoją rozmowę z Anką. Na chuj w ogóle pokazywałem jej ten program?

Właściwie co chciał osiągnąć? Zaimponować jej? Wydawała się zde gustowana. Odkąd dowiedział się, że między nią a Olkiem definitywnie skończone, miał świadomość, że właśnie teraz musi spróbować. To był odpowiedni moment. W sieci wyczytał kiedyś, że najłatwiej poderwać dziewczynę, która dopiero co zakończyła poprzedni związek. Wprawdzie żadna laska nie powie ci tego wprost, wszystkie będą utrzymywać, że po zerwaniu nie mogą nawet patrzeć na kolesi, jednak gdzieś w głębi ich umysłów będzie się tliła iskierka nadziei – a może ten nowy to ktoś, na kogo czekałam, może powinnam zaryzykować, jeszcze ten jeden, jedyny raz? Tę iskierkę

można zmienić w prawdziwy emocjonalny płomień, jeśli tylko umiejętnie się za to zabrać. Z wyczuciem i ostrożnością, jakby się podchodziło do przerażonego zwierzątka. Byle tylko nie spłoszyć, nie przedobrzyć. Paweł już od dawna obmyślał plan działania, rozrysowywał fronty, kierował armie osobistego uroku i poczucia humoru w ogień walki, ale nawet w wyobraźni jego zachowanie wydawało się mieszaniną pajacowania i prostactwa. Co miał zrobić, wszyscy widzieli w nim ciężkiego przypała, więc sam trochę wszedł w rolę i nie umiał z niej wyjść. Chciał wypaść jak najlepiej, a robił rzeczy coraz bardziej idiotyczne.

No i zgodnie z wszelkimi rachunkami prawdopodobieństwa jego kolejna „próba” okazała się niewypałem. Kto zresztą dziewczynie, która mu się podoba, pokazywałby w telewizji program, gdzie chora psychicznie baba drapie się i dłubie w nosie? Co on sobie w ogóle myślał? Że ona będzie tym podjarana? Popenił kolejny niewybaczalny błąd. Jak zresztą zawsze, gdy starał się pogadać z Anką w cztery oczy. Od lat traktował ją jak koleżankę, czy może raczej kumpelę: kogoś, przy kim można pierdnąć, nie przejmując się konsekwencjami, z kim można się kopsnąć na browar, ale już nie kolację przy świecach. Pewnego dnia coś mu odpierdoliło i jak już zaczął o niej myśleć, to nie przestał aż do dzisiaj. Chciał za wszelką cenę zmienić się w jej oczach, wyrzucić lepsze wrażenie niż zazwyczaj. Nie udawało się. Patrzyła na niego jak na klasowego błazna, którym został mianowany przed dekadą, gdy obydwójce zaczynali liceum. Widziała w nim tylko wesołego głupka, z którym można popić, pożartować, pośmiać się, ale nic poza tym, nieuleczanego idiotę, który nie umie znaleźć sobie miejsca w życiu; zmienia prace jak dziewczyny, a dziewczyny jak rękawiczki. To była oczywiście wyłącznie jego wina. Nie wiedział, jak powinien się zachować, więc odstawił świetnie opanowaną bucerę, nic więcej.

Biedny pojebie, myślał, idąc przez mokre od deszczu osiedle, lśniące niczym chora narośl, guz z betonu, stali i szkła. Powinieneś w izolatce ślinić się do ścian, a nie planować związek z góry skazany na rozpad, rozkład i porażkę.

Pod zadaszeniem jednego z bloków trójka gówniarzy paliła zioło z osmalonej lufy. Paweł momentalnie im pozazdrościł. Nie tylko tego, że piętnaście to fajniejszy wiek niż dwadzieścia pięć, bo można mieć wszystko gdzieś, olewać system z góry na dół, a problemy dorosłego życia są zupełnie obce. Przywołał w myślach wspomnienie słodkiego zapachu Marysi, jedynej panny, z którą kiedyś udało mu się utworzyć trwałą, stabilną związek, gdy

wszystko wokół waliło się na łeb. Ona jako jedyna go rozumiała, nigdy nie narzekając, nie stawiając wygórowanych wymagań. Po prostu brała go takim, jaki jest, z dobrodziejstwem inwentarza, całym tym słownikiem głupich powiedzonek, żartów niewartych grosza, szerokim marginesem błędów, które nieustannie popełniał. Miło by było odnowić tamtą znajomość. Puścić z dymem przejawy wszechobecnej chujowizny. Miło by było, jakby w jego życiu znów pojawiła się jakaś drobna schiza, a wszystko przestało być takie nudne i przewidywalne. Czasem słabo mu się robiło na samą myśl, jak sprawy stoją. Był, kurwa, starym bykiem, a stał na bramce i lampił się na laski, zgarniając sześć złociszy za godzinę. Na dodatek niezbyt umiał się bić, więc pewnie, jakby przyszło co do czego, dostałby wpierdol. Całe szczęście przypakował trochę, przez jakiś czas łykał metkę, potem ustabilizował na kreatynie i był o te dwadzieścia kilo mięśni większy. To wystarczyło, by z większości napompowanych agresją zębów na sam jego widok schodziło powietrze. W głębi czuł się jednak mały i żaloszny, i nic nie mogło tego zmienić.

Wszedł do bloku i wcisnął przycisk wzywający windę. Wprawdzie mieszkał na trzecim piętrze, ale jakoś nigdy nie miał ochoty na wspinaczkę po schodach. Był leniwy niczym pieróg, zdawał sobie z tego sprawę. Gdyby mógł, rzuciłby pracę i przestał chodzić na siłownię, olał to wszystko, by spędzić życie w fotelu, przed ekranem. Zresztą, kto przy zdrowych zmysłach lubił wychodzić na zewnątrz w taki dzień jak dziś? Kto, mając do wyboru gapienie się w ekran i nicnierobienie albo spacer w deszczu i zimnie, zdecydowałby się na to ostatnie? To trochę, jakbyś miał rozstrzygnąć, czy chcesz dostać w prezencie najnowszą plazmę Sony, czy może tylko karton po niej. Rzeczywistość była takim właśnie kartonem, szarym i pustym w środku, a jej miejsce znajdowało się na wysypisku, wśród innych, równie niepotrzebnych odpadów.

Wsiadł do windy. Wewnątrz, pośród dziesiątek bazgrołów walczących o swoje miejsce na metalowych ścianach, zauważył kilka nowych, wykonanych czerwonym markerem sloganów:

- 1. Nie będziesz miał telewizorów cudzych przede mną.*
- 2. Nie będziesz zmieniał kanałów nadaremno.*
- 3. Pamiętaj, aby mózg swój co dzień serialem uświęcić.*
- 4. Czcij kablówkę swoją.*
- 5. I nigdy, przenigdy nie wyłączaj telewizora!!!*

Uśmiechnął się szeroko, naciskając przycisk z cyfrą trzy. Uwielbiał humor gówniarzy dewastujących ściany bloków swoją radosną twórczością. Gdy był nieco młodszy, sam wypisywał takie bzdety. Znakomita rozrywka. A przy okazji miałeś świadomość, że robisz coś nielegalnego, coś, co wyprowadzi z równowagi większość tak zwanych normalnych lokatorów. Mała anarchia w dzieciennym wydaniu, niby nic, a cieszy.

Gdy drzwi windy zamknęły się, na nich też dostrzegł nowe napisy, również w kolorze niepokojąco kojarzącym się z krwią:

Telewizorze mój kochany

Naprawdę świetne są Twoje programy

Ty jesteś królem sprzętów RTV

Co ja bym zrobił, gdybym Cię nie miał?

Na kogo bym patrzył, z kim bym dyskutował?

Ma miłość jest zbyt wielka, by ją ubrać w słowa!

Bądź mi więc władcą przez kolejne wieki

Ty – wpatrzone w pustkę oko bez powieki.

3

Przecieram oczy i wgapiam się w na ekran. I po prostu nie mogę uwierzyć w to, co widzę. Otyła kobieta nadal siedzi na swoim miejscu. W dłoni trzyma nie łyżkę, lecz pilota. Uśmiecha się szeroko, patologicznie szczerząc szaro-sine zębiska, jak reklama własnego rozkładu, promocyjny kosz wypchany zgnilizną. I w sumie ma powód, bo jej oczy są teraz najzupełniej w normie.

Zaraz, zaraz. Coś tu jest bardzo, ale to bardzo nie w porządku.

Gdzie wypływające z oczodołu reszki gałki ocznej?

Gdzie krew ściekająca gęstym strumieniem po policzku?

Gdzie...?

Co to było, to przed chwilą? Odruchowo się szczypię, ale boli tak, jak powinna boleć jawa. Więc co, zwyczajne halucynacje wywołane bezsennością? Objawienie w formie półminutowego zwiastuna, a jak chcesz więcej, kup bilet? Czy może wielkimi krokami nadszedł właśnie kolejny etap mojej telemanii prześladowczej, czy może schizofrenii kablowej? Nadmiar płynących z ekranu idiotyzmów plus niedobór snu. Każdy by oszalał... Armia czubków będzie wyjątkowo liczna w naszym nowym wspaniałym świecie.

Przepracowani yuppie-zabójcy, bizneswomen ciągnące za sobą brzemie urojonych cięż, dzieciaki wijące się w epileptycznym tańcu nad klawiaturami: twarze wykrzywione jak na obrazie Muncha, ciągi przekleństw lecą jak serie pocisków na froncie. A ja między nimi. Kolejna udęczona dusza.

Wyłączam telewizor. Głowa pęka. Gripex nie działa. Kawa nie pobudza. Zostały szok, ból i pustka. A im szok większy, tym ból eksploduje bardziej. To męczące uczucie, domagające się, żeby w jakikolwiek sposób uzewnętrznić. Naprawdę mam ochotę podzielić się z kimś moją paranoją, zarazić nią kogokolwiek, ale nikogo nie ma w pobliżu. Jak zwykle.

Nagle dzwoni telefon. Odbieram odruchowo, nawet nie patrząc na wyświetlacz.

– Halo? Mama?

– Siedem dni... – mówi zachrypnięty głos.

– P-proszę?

– Zostało ci siedem dni.

Skóra mi cierpnie, dłonie zaczynają się pocić. Nie wiem, czy krzyżeć, czy uciekać, czy wzywać imienia Boga nadaremno.

Potem jednak słyszę płynący z słuchawki stłumiony chichot, zupełnie znajomy. I momentalnie przypomina mi się widziany przed tygodniem film. To wraca jakby w migawkach: czarne włosy, blada twarz, studnia głęboka jak przepaść. Tekst o siedmiu dniach i zagadkowa kasetka wideo, budzące uzasadnioną panikę i przemożną chęć spania wyłącznie przy włączonym świetle już na wieki wieków.

– Paweł, może ty się wreszcie zacznij leczyć, co?!

– Eeeej! Skąd wiedziałś, że to ja?

– A kto inny niby? Myślisz, że ilu mam pieprzonych znajomych? Byłś pierwszą osobą, jaka przyszła mi do głowy.

– No, fakt... Emm... Znajomych ty w sumie nie masz za wielu... Yyy... Punkt dla ciebie.

– Czego chcesz? Dopiero co się widzieliśmy, jeszcze się na mnie nie powyżywałeś?

– Posłuchaj, Anka. Chciałem tylko... No, chciałem cię przeprosić.

Wszystkiego się mogłam po nim spodziewać, tylko nie tego. Skąd słowo „przepraszam” w jego słowniku, skąd on je w ogóle zna? W Googlach wyszukał?

– Taa, już uwierzę.

– Z ręką na pikawie, no naprawdę. Sam nie wiem, czemu ci pokazywałem ten kretyński program i... i w ogóle. Mam tylko nadzieję, że już tego gówna nie oglądasz.

– Wyłączyłam. Od razu po twoim wyjściu.

No bo przecież nie powiem mu o... o czym? O urojeniach? Koszmarach na jawie? Wtedy dopiero by się zaczął nabijać. Albo kazał natychmiastowo dzwonić do Monaru. Tak nisko nie upadłam. Zresztą, on i tak nie jest typem człowieka, z którym można na serio porozmawiać o czymkolwiek. Jakby tego było mało, mógłby wszystko wygadać Olkowi, a udawane współczucie ze strony byłego to ostatnie, czego mi teraz trzeba.

– I dobrze. Więcej nie będę robił takich...

– Spoko, dotarło. Coś jeszcze?

Zamilkł na moment. Pewnie teraz przywali jakimś czerstwym tekstem i zacznie się śmiać, nie czekając na moją reakcję.

– Słuchaj, Aniu...

Co?

Że jak?

„Aniu”?

Ale dobrze, chłopie, skoro tak chcesz się bawić.

– Tak, Pawelku, kochany? Co być chciał? Pomiziać się, poprzytulać? Umówić się na wspólne leżakowanie?

Parsknął śmiechem, ale takim jakimś dziwnym, jakby był zawiedziony.

– Nie, już nic. Trzymaj się. Do usłyszenia.

Odłożyłam słuchawkę.

Przedziwny facet. Jak z nim ostatnio rozmawiam, co rusz odnoszę wrażenie, jakby za jego słowami kryło się coś nieokreślonego, jakieś drugie dno. Jakby chciał powiedzieć coś zupełnie innego, ale nie mógł, więc tylko sypie z rękawa kolejnymi sucharami... Choć może to tylko moje zawodowe zboczenie, szukanie głębi tam, gdzie jej nie ma, dopatrywanie się wielkich przesłań w rozmowach o niczym. Naprawdę chciałabym wiedzieć, co mu dolega. Palenie doszczętnie przeżarło mu mózg? A może to tylko posterydowe wahania nastrojów? Może szkoda, że po pierwszym roku porzuciłam psychologię i zaczęłam filozofię. Choć z drugiej strony... Jedynie wysoko wykwalifikowany psychiatra mógłby komuś takiemu, jak Paweł postawić trafną diagnozę. Inni tego nie rozgryzą. Ja nie rozumiałam go w liceum, więc tym bardziej nie domyślę się, o co chodzi mu teraz.

* * *

Znów usiadłam w fotelu, przed zgaszonym telewizorem. W jednej ręce miałam jogurt, w drugiej łyżeczkę. Ostatnio robię sobie taką niby dietę – jem tylko jogurty, owoce albo płatki. Sama nie wiem, po co. Chyba żeby sprawdzić, czy potrafię panować nad głodem, skoro z ciągłą chęcią gapienia się na innych zupełnie sobie nie radziłam.

Z ciemnego ekranu gapiło się na mnie moje pogrubiłe odbicie, rodem z gabinetu luster. Wyglądało na blade i smutne. Czy i ja taka byłam? Jak oceniliby mnie ktoś, kto oglądałby mnie teraz i siebie w telewizji? Czy byłby w swoich osądach równie okrutny i cyniczny, jak czasami ja?

Cichy głos dochodzący z głębi głowy zaczął szeptać: „Zrób to. Na co czekasz? Po prostu zrób to”.

Popatrzyłam na łyżeczkę. Wystarczyły dwa szybkie i pewne ruchy, bym już więcej nie musiała na siebie patrzeć. Bo właściwie... byłam wstrętna, byłam po prostu złą, sfrustrowaną osobą, której nic mi się nigdy nie udawało. Wolałam nie wybiegać myślami w przyszłość, żeby nie popaść w czarnowidztwo. Ale przecież całe to miasto było jak jakaś choroba, w którą wszyscy wpadliśmy, bo nie było nas stać na życie w lepszych miejscach. Może ta wiedźma z krzywymi zębami to byłam ja za czterdzieści lat? Czy tak właśnie skończę – jako tłuszcioch zrosnięty z fotelem w nierozzerwalną całość, którego po śmierci trzeba będzie oddzielać od niego skalpelem? Stanę się kolejnym toczonym przez rozkład elementem tego parszywego osiedla... Ślepi i głusi mają o tyle dobrze, że nie dociera do nich większość bodźców z otoczenia, co pozwala zaoszczędzić wielu cierpień i rozczarowań. Niekiedy im zazdrościłam, choć może to nieprzyzwoite marzyć o kalectwie, gdy jest się zdrowym. Zastanawiałam się po prostu, jakby to było żyć w wymyślonym przez siebie świecie, samemu reżyserować własną rzeczywistość, odciąć się od prawdy gorzkiej jak haust smogu.

Anka, to naprawdę nie będzie bolało. A nawet jeśli, to tylko przez chwilę. Wbij głęboko i po krzyku. Nie zwlekaj. Przecież nie możesz już na siebie patrzeć, no nie? Ani na to, co wokół.

Odetchnęłam głęboko.

Stop. Wystarczy.

Wcale nie mam zamiaru tego robić. Co za w ogóle poroniony pomysł?! To tylko ten idiotyczny wewnętrzny narrator, głos z piekła rodem, który chce dla mnie jak najgorzej. Co radzą wszystkie podręczniki pozytywnego myślenia? Powtarzaj, że jesteś piękna, wmawiaj sobie, że świetnie ci się wiedzie, nawet gdy nic się nie układa... Och, gdyby to było takie łatwe. Gdyby słowa działały jak zaklęcia, zmieniając wszystko diametralnie. Może wtedy wyleczyłabym się chociaż z bezsenności.

Westchnęłam, odłożyłam łyżeczkę i sięgnęłam po pilota.

4

Nie.

No nie, no nie.

To już jest przegiecie, myślałem, gapiąc się w dopiero co otwarty zeszyt do biologii. Jutro klasówka z całego półrocza. A ja jeszcze nawet nie zacząłem rycia. Bonusowo opuściłem chyba z połowę lekcji. I nie mam właściwie żadnych notatek. Bo byłem zbyt leniwy i nie chciało mi się przepisywać. A też byłem zbyt tępy, bo przecież można było – tanio i bez wysiłku – je skserować od którejś koleżanki. Jezusie Przenajświętszy i Panno Błogosławiona. Co teraz pocznę?

Mogę...

Mogę po prostu nie iść do budy...

Ha, to jest plan! Tylko – jak to zorganizować, żeby nie wzbudzić niczyich podejrzeń?

O, o, o! Już wiem! Zagram chorego. Oscarowa rola. Powiem matce, że mam AIDS albo raka. Nieletki przerzut na prostatę i płucoskrzela. Zacznę się telepać, pójdzie piana z ryja, popiję colą mentosa i się zapienię jak wściekłe psy. Choć może to już walnięcie ze zbyt grubej rury i przeginanie pyty. Lepiej użyć standardziku – grypka albo jakieś przeziębionko. One zawsze działają niezawodnie.

Starsza powie:

– No to zmiierz gorączkę, synku. Martwię się o ciebie, coś ostatnio często chorujesz.

– Nie zadrećzaj się, mamó – odpowiem najśłodszym głosem, jaki będę w stanie z siebie wydusić.

Jak tylko poda mi termometr, poproszę, żeby zrobiła herbaty. Z cytryną, koniecznie z cytryną, przecież grypa mnie tu rozkłada na łopatki, trzeba zdusić bydle w zarodku! A wyciśnięcie cytrynki to zysk dodatkowych paru sekund. Stara ruszy do kuchni, a ja wtedy zastosuję mój odwieczny chwyt specjalny – przyłożę termometr do rozgrzanej żarówki i poczekam aż nagrzej się do jakichś 39-40 stopni. Ha! Czyż nie jestem genialny?!

Więc kłopotów z nauką póki co koniec. Może to trochę krótkowzroczne rozwiązanie, nie wiem, nie znam się na wróżeniu z dioptrii. Może jak przyjdzie zakończenie półroczna, będzie ze mną krucho, ale o to będę się martwił wtedy. Wepchnę sobie najwyżej poduchę w gacie i wtedy moja dupa będzie zabezpieczona. Arek tak robi, Tadek zresztą też. Mają chłopcy rację. Wprawdzie u nich są na chacie ojcowie z ciężkimi łapami, a tu nie, ale moja mamuśka też potrafi przywalić, jak się ją wyprowadzi z równowagi. W takich kryzysowych sytuacjach właściwie jestem hepi, że nie mam starszego. Musiał być niezły kawał frajera, matka nawet nie chce o nim gadać. Nawet lepiej, że nigdy go nie poznałem. Pewnie by się wyżywał na mojej biednej dupencji za własne porażki... Jak widzę kumpli po wywiadówkach poobijanych jak nieboskie stworzenia, to aż skóra mi cierpnie. Najbardziej przesrane ma chyba Tadek. Niedawno pokazywał, jakie mu piękne ślady po kablu zostały. Wyglądał dosłownie jak człowiek-zebra. Sine pręgi na plerach, szyi... No kurwa, brak słów... Jego starszy powinien trafić do czubków. Serio. Świrów trzeba izolować. Szczególnie tych niebezpiecznych. Nie ma przebaczenia. Dla skurwieli litości nie ma.

Biorę komórasia i wykręcę numer Arka. Skoro nie będę już dziś ryl jak dziki, mogę skoknąć do niego i pograć trochę na GameCubie. Nie ma co tracić czasu na siedzenie na kwadracie i smęcenie nad niewesołym losem. Jak się tylko zaczynam dołować, to potem jakoś to leci, robi się coraz gorzej. Powodów jest wiele. Dziewczyny – brak. Pespektyw na jakąś – także. Tak między nami, to nawet się nie lizałem, nie licząc jakiegoś małego cmok przy graniu w butelkę. Ale tego nikt nie uzna, bo i tak zamknąłem oczy i chyba ją wtedy trafiłem językiem w czoło. Dalej: konsoli – brak, wyjątkowo bolesny brak. Własnego telewizora też. Zaciupać to mogę co najwyżej w węża na mojej Nokii 3310, bo wysłużony Pegasus coś się przegrzał na stykach i kartridży nie czyta. Nie mówiąc, że znajomi mają Playstation dwójki albo chociaż kolorowe GameBoye. Kompa niby mam, ale pamięta on chyba czasy starożytne, serialnie. No pokażcie mi drugiego gościa w moim wieku, co musi się

zadowalać Pentiumem setką, ciupiąc w skaczącego Quake'a jedynekę, gdy wszyscy wokół dawno gierkują w czwartą część serii. Ech, szkoda słów...

Biiip. Biiip.

– Csss jest, Andrzejku?

Arek brzmiał, jakby był na srogim kacu. Takiego głosu nie mają uczniowie szkółki niedzielnej, możecie mi wierzyć.

– No witka, stary. U mnie wporzo – powiedziałem.

– To spoko, bo u mnie tęga chujoza. Młyn i załamka... Po co dzwonicz?

– Jaka chujoza? Jakbym miał GameCube, to bym nigdy nie miał ani cienia chujozy. Odpalaj jakieś giery, zamiast skomleć jak kot po kastracji.

– Człowieku! Na wała mi konsola, jak się muszę kuć? Ty nie ryjesz? Nie żartuj, jutro z biolcy jest niezły sajgon. Normalne, kurwa, Sarajewo pod ostrzałem.

– No wiem, wiem.

– I nie peniasz? Prze dzik jesteś.

– Żaden prze dzik. Po prostu nie idę. Udaję chorego. Oscarowa rola, Złoty Glob za sam scenariusz oryginalny.

– Chorego? Na co?

– Ptasia grypa z przerzutami.

– He, he, he.

– Rak mózgu oraz bajpasy czaszki. Ciekną mi też ektoplazmatyczne smarki.

– He, he. No to prze kutas jesteś. Ale ja muszę i nie ma bata. Po ostatniej wywiadówce stary powiedział, że mi nie przepuści.

– Nie pierdol. Chodźże, pogramy w coś. Nudzi mi się jak chuj.

– Nie mogę. Jutro powinienem skrobnać na co najmniej dostatecznie, jeśli chcę wyjść z tego na sucho.

– Ech, stary, no załamujesz mnie.

Zamilkł na moment, jakby się nad czymś namyślał. Uznałem, że to dobry omen. Gdyby twardo upierał się przy swoim, rozmowa byłaby już dawno skończona, a ja bym teraz ewentualnie wsłuchiwał się w głuchy sygnał.

– Andrzejku. To krótka piłka. Jeżeli aż tak chcesz, wpadnij.

Ha! Nie pomyliłem się! Jasnowidzenie to wielki dar, ale za wielkim darem idzie wielka odpowiedzialność, jak to mawiał wujo do Spidermana, zanim go posiekali.

– Serialnie?

– Taa, możesz się kopsnąć. Pociupiesz se z godzinkę, ale ja w tym czasie będę rył, aż wióry polecą. Powiem starszym, że mi przyniosłeś dodatkowe notatki, czy coś w ten deseń. Ściemę walnę, że ty z biolcy niby jesteś najlepszy w klasie, najlepszy na świecie po prostu.

– Rewelka. Dzięki. Gdyby nie ty, to bym tu chyba zgnił.

– Tylko weź może jakiś zeszyt. Żeby to wyglądało, że przyszedłeś się pouczyć, co?

– Mnie nie musisz powtarzać dwa razy.

Na chatę do Arka wpadłem już pół godziny później. Pełna kultura i dobre wychowanie, stuprocentowa punktualność. Oboje jego starsi siedzieli wtedy przed telewizorem, oglądali serial czy cokolwiek. Normalnie jak zahipnotyzowani: o rany, co będzie, czy Marylka urodzi chłopca, czy dziewczynkę, czy kurwa ośmiorniczkę z brokułami? Czy pani Jadzia pokocha pana Franciszka miłością szczerą, czy wybierze raczej Antoniego, znanego w powiecie ściemniacza i kreatora zbiorowych fatamorgan? Kto komu zrobi wałek, kto kogo wydyma ustawowo, no ciekawe, ciekawe, co to będzie, bo będzie się działo, a jak... Przywitałem się i wyjątkowo ostentacyjnie wyciągnąłem z plecaka zeszyt. Żeby zobaczyli, że ja tu przyszedłem na rycie do utraty tchu. Ojciec Arka nie zwrócił na ten mój gest najmniejszej uwagi, ale matka wyglądała na zadowoloną.

– Dobrze, pouczcie się razem, chłopcy. Może wam tą metodą więcej do głowy wejdzie – powiedziała.

Aruś leżał na wyrku w swoim pokoju. Nos w książce, zero kontaktu, klapy na gałach, autyzm wersja ekstremalna. Pojękiwał cicho, widać było, że chłopak już nadwerężył mózgownicę. Ja zawsze mówię: „nauka nie zajac” i staram się nie przepalać procesorka, nie mam przecież czapki z radiatorem ani wiatraczka na czole, więc na wszelkie przegrzania jestem bardzo narażony.

– Elo, ziomuś, co tam? Wyglądasz na zmarnowanego. Jesteś prawie zielony – zażartowałem.

– Masz coś do zielonych, ty rasisto? – bąknął, a ja prychnąłem tylko.

Choć, jak mam być szczerzy, to on był w stanie ciężkim, wręcz krytycznym, wskazującym na nieprzeżycie. W takim przypadku nawet genialny doktor Clooney załamałby ręce i poniechał starań. Pacjent zszedł, pochowajcie go pod jemiolą.

– Przeryłeś się już na drugą stronę planety?

Westchnął z rezygnacją.

– A weź mi nie pierdol. Ślęczę od ponad dwóch godzin i dalej niczego nie mogę zapamiętać.

– To przez dziury w mózgu. Niby czytasz, a literki wylatują z drugiej strony i pizd na ścianę. Trzeba mniej skunika jarać. Ograniczenie palonka i więcej ruchu na świeżym powietrzu. Jogging, dużo seksu, a nie tylko arytmetyka i artretyzm. Takie są moje zalecenia, receptę wyślemy pocztą... Sto zeta się należy, a jak nie, to będzie strajk generalny i szlaban na Centrum Zdrowia Dziecka!

Rozsiadłem się w fotelu i ziewnąłem. Życie jest piękne, gdy nie wisi nad tobą żaden obowiązek. Możesz robić, co chcesz, i mieć wszystko w głębokim poważaniu. Cudowna sprawa. Mógłbym tak spędzić całą wieczność. Obijać się jak bila w pinballu. Bujać się po mieście. Czekać na emeryturkę. Na drinki z palemką i seksi laski, masujące mą niechybną łysinę.

– A ty się nie boisz, Andrzejku? Przecież jak będzie wywiadówka, to chyba ci się nieźle po dupie dostanie. Z ilu będziesz miał pały na półrocze? Z trzech?

– Nie, dwóch.

– Z czego?

– Z majcy i polskiego.

– A biologia to co?

– Mocny mierny. Hłe, hłe! I właśnie dlatego jutro nie idę. Żeby sobie tego mocnego miernego nie osłabić żadną pałeczką, która bezapelacyjnie by mi przecież wpadła. Nie ma co ryzykować.

– No widzisz. Mi grozi tylko jedna lufa, ale właśnie z biolcy. Jakbym za to jutrzejsze dostał trzy albo wyżej, to po kłopotcie. A jak nie dostanę... święci pańscy nie pomogą.

– Ja tam nie wymiękam. Nawet jak się matka wkurwi, najwyżej trochę ponarzeka i kropka. Może mnie opieprzy, ale powiem ci jedno: opierdol ma tą zaletę, że nie boli.

Arek aż zmrużył oczy z zazdrości. Było jasne, że on, chociaż ma lepsze oceny od moich, boi się swoich starych, ojca w szczególności. To jest tak, jak kiedyś powiedział Tadek: „Matki są miętkie, ale starszego nigdy nie przegadasz”.

– Nawet mnie nie denerwuj – szepnął.

Rzuciłem zeszyt w kąt, a potem ruszyłem w stronę stolika, gdzie stał telewizor i konsola. Chciałem trochę pogrzebać w gierkach, zanim wybiorę coś odpowiedniego na dziś. Za oknem tylko czarne chmury i deszcze, warto się

ogrzać przy ekraniku, w towarzystwie fajniej giery. Nie pamiętam, kiedy nam się pogoda zaczęła pierdolić, ale trwało to jakiś dłuższy czas. Musiała się aniołkom zapchać kanalizacja, jakaś rura pierdykła i zalało nas, sąsiadów z piętra niżej. Istny potop, a mieszkanie Arka to w tej chwili moja jedyna arka.

– Nie bądź taki pewien, że sobie pociupiesz – powiedział nagle kumpel, nie ukrywając jakiejś sadystycznej satysfakcji.

Luknąłem na niego spode łba.

– Co sugerujesz?

– Telewizor się dziś przez pół dnia jebał, więc nie wiem, czy odpali.

– To dopiero teraz mi mówisz? Nie mogłeś przez telefon? Po chuj lażłem do ciebie, z buta poprzez osiedle, jak nawet zagrać nie mogę? Ja pierdołę, zgroza, zgroza, zgroza...

Koleś zaniemówił. Zatkano kakało, cholera jasna.

– Bo ten... no... Może odpali, skąd ja mam niby wiedzieć? – odparł i schował ryj w książce, gdzie było jego miejsce.

Ej, on coś ściemnia, lepiej nie poddawać się dołującymu klimatowi, pomyślałem. Jak szło o takie sprawy, byłem optymistą. Pesymistą stawałem się dopiero, gdy w grę wchodziła nauka albo umawianie się na randki. O tak, z tym mi nigdy nie szło. Czasem nawet zastanawiałem się, czy nie jestem pedziem, skoro większość lasek olewała mnie ciepłym sikiem z góry na dół. Może powinienem wyjechać na Brokeback Mountain i tam czekać na pastucha, z którym razem odjedziemy na krowie w kierunku zachodzącego słońca? Rany, w jak wielką desperkę musiałem popadać, skoro znów obmyślałem takie scenariusze...

Przeglądałem pudełka, nie wiedząc, co wybrać. *Eternal Darkness*, *Luigi's Mansio*, *Resident Evil Zero*... Arek był dosyć przy kasie, miał sporo tytułów, ale w tym wypadku od przybytku głowa raczej boli. Nie wiadomo, za co się zabrać, taki przepych. Po dłuższym namyśle padło na drugą część *Metroida*. Słyszałem, że niezła, zgarnęła dobre oceny w prasie, podobno już samą grafą wywoływała opad kopary, a i grywalność stała ponoć na naprawdę miodnym poziomie.

Włożyłem płytkę do konsoli i odpaliłem sprzęta. Wydawało się, że na razie wszystko działa jak należy.

– No i co żeś krakał?! – krzyknąłem. – Sam zobacz.

– Ale coś miga – odparł.

Luknąłem na ekran. Menu gry przesłakiwało z góry na dół jak powalone.

– O nie. O kurwa. O Jezusie... A nie da się tego jakoś dostroić, opanować?

Przez następne dwadzieścia minut próbowaliśmy naprawić usterkę, ale cały czas, zamiast na grę, telewizor nastrajał się sam na jakiś gówniany program o emerytach i rencistach. Myślałem, że mnie trafi. Chce się człowiek kulturalnie odprężyć, bo czeka go ciężki wieczór pełen udawania chorób, a tu nic.

– Widzisz, nie działa. Mówiłem. Od wczoraj mi się wpierdala na kanał GameCuba ta porąbana stacja. Nie wiem, co to ma być. I nie chcę wiedzieć.

– A na inny kanał nie można konsoli ustawić?

– Nie, ja mam i tak mało programów na tym sprzęcie, nie będę go rozregulowywał, bo jeszcze mi się pogubi Viva 2 i MTV. A na AV też nic nie wchodzi, bo to z kolei jest zjebane tutaj, patrz...

Westchnąłem ciężko, jakbym był Atlasem, dźwigającym na swych barkach cały przeklęty świat, tę kulę gówna, ten monstrualny szajs.

– Dobra. Poddam się. Już tego nie ustawiam, nie kombinuję. Pooglądam tą Telewizję Trwam, a co mi tam – stwierdziłem w końcu.

– To nie żadna Trwam, tylko jakieś niewiadomo co. Popłuczyny po *Klanie*. Szarzy ludzie na szarym tle. Czarny kwadrat w dupie, dzieło cenne, choć głupie...

Zacząłem się lampić, co tam się odwała na ekranie, nie bacząc już, co nawija Arek. A działo się tam co? Niewiele. Coś jakby *Rejs* nagrany przez Lyncha. Ciąg dalszy sagi o ludziach smogu, fabułę doda się potem. Emerycy zniknęli, była przebitka na mgłę, a może na strzępy pajęczyn dryfujące osiedlem, a potem wskoczyli facet z babką w jakimś mieszkaniu. Coś mnie wtedy tak tknęło. Że skądś ich znam. Stali tam sobie, tak po prostu. Nie robili niczego konkretnego. Totalna Nuda Show, pokazujemy nudę ze wszystkich perspektyw, dwa cztery na siedem. Sama nuda, całą dobę. Ale nie mogłem się oderwać, czy to była hipnoza? Po chwili facet wyszedł, laseczka została sama. Nawet dosyć ładna, tylko trochę za stara jak dla mnie. Mogła mieć już pod trzydziecie. Wolę jednak młodsze. No ale nic, była nienajgorsza jak na swoje lata, ząb czasu jej nie tknął, bo stanowiła trudny orzech do zgryzienia, czy coś, by już skończyć z moim pieprzeniem na ten temat. Na moment wyszła, potem wróciła. Kompletny brak akcji. W ręce łyżeczka, ale nie żaden matrix, że łyżeczka się rozplywa i znika, bo nie istnieje, tylko po prostu kobieta z łyżeczką. Jak dama z łasiczką, tylko gorzej. Usiadła w fotelu. Mogłaby chociaż trochę pobiegać, poskakać. Ale to nie był *Słoneczny patrol*, nie były to rozległe

amerykańskie plaże, tylko stolica małopolski, bezrobocie piętnaście promili koma osiem. Gapiała się w telewizor, na którym szło coś, czego nie było widać, przynajmniej nie z naszej smutnej perspektywy. Ale musiało to być straszne, bo babka wyglądała na wydyganą. Pewnie oglądała jakieś masakryczne *gore*, flaki fruwające z góry na dół, prawdziwe krwawe tornada.

– Ty mnie w ogóle słuchasz?! – Arek rozdarł nagle japę.

– Co? O czym ty do mnie rozmawiasz?

– Mówię, że ta laska to przecież Anka.

– Anka? Jaka Anka?

– No ta, wiesz, co mieszka ze dwa bloki dalej. Nie poznajesz?

Raz jeszcze rzuciłem okiem na ekran.

– *Fuck...* tycznie. Anka – szepnąłem. – Nie wiedziałem, że ją wzięli do telewizji.

Anka była podobno kuzynką Tadka. Przynajmniej tak nam powiedział, jak kiedyś przechodziła obok naszej szkoły. Nie wiedzieliśmy o niej więcej, ponad to, że mieszka na naszym osiedlu i jest niebrzydka. Nieraz to nawet nie wiadomo, kiedy twoi sąsiedzi robią się sławni. Teraz każdy może mieć swoje pięć minut na antenie. Pewnie i mnie się kiedyś uda, choć mi do tego nieśpieszno. Jak to mówią – najpierw rodzina, potem kariera. By mieć samochód i bulteriera.

Pii-biiip! Pii-biiip! – Do Arka przyszedł sms.

– To Kazek. Pisze, że jest pod blokiem i ma dla nas niespodziankę.

– Możemy zejść. – Ja na to. – Tu w sumie nie mamy nic ciekawego do roboty. Chyba, że nie chcesz przerywać kucia, co? Konsola się sama nie naprawi, tyle wiem. Poprosiłem już Boga, ale on coś tam, że zajęty, zrywa w sadzie jabłka i żeby czekać na linii...

W telewizji nie pokazywali już Anki. Teraz był pusty pokój, pośrodku którego stał stary, wyłączony telewizor. Na ścianach wisiały dziesiątki, a nawet setki luster. Wszystkie odbijały stojącego przed nimi grata. Złom z ciemnym jak dupa zbity ekranem, podniesiony to entej potęgi. Kompletny bezsens. Sen cierpiącego na paranoję pojeba. Przez chwilę mi się zdawało, że srebro z luster zaczyna spływać, ale chyba nie, raczej za dużo razy widziałem *Terminatora 2* i nic poza tym. Zgaszony telewizor nic nie robił, ale tak czułem, jakby się na mnie gapił. I stwierdziłem, że kijowo być telewizorem, bo nie masz za grosz prywatności. Ale tak w ogóle, to o czym niby miał być ten program? Czy

oglądałem właśnie jedną z tych awangardowych rzeźb? Telewizor w lustrzanym pokoju. Tragedia.

– Wiesz, Andrzejku, jak tak patrzę na ten podręcznik, potrafię myśleć tylko o jednym. Wszystko pierdolić, rzucić szkołę, zostać *ninja*... Chodźmy lepiej na dół. Potem się najwyżej jeszcze trochę pouczę, choć wątpię w to coraz bardziej.

* * *

Jak się okazało, „niespodzianka Kazka” to nie było nic innego jak lufka nabita skunikiem. Też mi, kurwa, cud nad Wisłą! Za parę złotych szło coś takiego dostać w prawie każdym bloku. Specjalna okazja dla dzieciaków, których nie stać na grama, a chcą się z deczka upizgać. Telezakupy Mango, pójdźmy z zielarzem w tango. Problem w tym, że taka ilość towaru z reguły nie starczała nawet na łebka. Przynajmniej jeśli chodzi o towar dilowany na naszym osiedlu. Zawsze dopychali go jakimś sianem, które za nic w świecie nie chciało kopnąć, choćby nie wiem jakiej fazy się człowiek spodziewał. Być może zresztą był to zwykły mech posypany niemiecką chemią, nie wiem.

– Ja dziś nie jaram – powiedział Arek. – Zawalę jutro biolcę, to mnie zajebią żywcem, normalnie Kill Bill trzy.

– No i dobrze. Więcej dla nas – odparł Kazek, robiąc maksymalnie wkurzającą minę zjadacza wszystkich rozumów. Nie czailem gościa. Palił może z pięć razy w życiu, ale lubił zgrywać takiego, który się z blantem nie rozstaje. Polski hip hop, szerokie gacie, pieprzenie w bambus. Taki tam.

Podał mi lufkę i zapalniczkę. Płomień zgasł chyba z dziesięć razy, zanim się zaciągnąłem. Nie dziwota. Takiego deszczu i wiatru dawno nie widziałem. Piździło jak się patrzy. A my, idioci, staliśmy przed klatką, bo baliśmy się, że w środku ktoś nas złapie i będzie jazda na sygnale. A w sumie, co za różnica, tu czy tam? Od wejścia trzy metry, jakby ktoś akurat wychodził, nie zdążylibyśmy nawet skitrać palącego problemu fifki w kieszeń. Mogliśmy liczyć chyba tylko na to, że sąsiedzi okażą się w miarę liberalni. W innym razie byłby kiks. I szybki zjazd na detoks.

Długo trzymałem dym w płucach. Jak wreszcie wypuściłem, to było tak, jakbym wyrzygał wnętrzności. Serio. Wszystko w środku mnie piekło. Zakaszlałem. Kazek gnił ze śmiechu.

– Cio to? Jesteście siem dzieciątka palić nie nauczyło?

Jak tylko przestałem kasłać, zaciągnąłem się znowu. A co tam! Tym razem pomyślałem, że będę twardy. Nie puszczę chmury, ani pary z gęby, dopóki nie ogarnie mnie faza. Choćbym miał na tym wdechu zostać do końca życia i jeden dzień dłużej. Skunika jak na lekarstwo, nie należało go przeznaczać na marnację.

I wtedy się nagle zastanawiam, czy już zrobiłem ten wydech, czy nie. Bo nie pamiętam. Nawet nie pamiętam, co pomyślałem przed sekundą, zapominam od razu każdą myśl.

– To są rzeczy karalne... – mówi ktoś, a ja się boję, bo on mówi, ale czuję, że to mi się ruszają usta.

Patrzę na osiedle, wszędzie mgła, znikąd pomocy. Coś ciemnego się zbliża, jakby czarne gałęzie sklecone w człowieczka. Potem większe, ciemny kleks na białym tle, coraz wyraźniejszy. To nie ludzik z patyków ani kleks. To jakiś dziwny facet, głowa mu się kiwa na karku, Parkinson, czy jakoś tak. A ja się po prostu boję, łapy mam zimne i spocone.

Zrobiło mi się sucho w ustach. I dopiero wtedy wypuściłem dym.

Tamten przeszedł z dziesięć metrów od nas. I wtedy to pojąłem. Że to był ten sam facet, którego przed chwilą oglądałem w telewizji. Ten, co był u Anki, rzekomej kuzynki Tadka. Nawet dość taki przypakowany z bliska, widać było, że na odżywkach nie oszczędza, może nawet koksy wali. Ale nie poruszał się jak na sportowca przystało. Szedł przygarbiony niczym dziadzio, ta telepiąca się łepetyna jak wyskakujące z pudełka klauny na sprężynach. I pomyślałem, że tak naprawdę tylko udaje młodego. W rzeczywistości to ma z osiemdziesiąt lat, jak nie lepiej.

– Straszne smutki pierdolisz. I jeszcze wyglądasz jakbyś uwidział ducha. – Zaśmiał się Arek.

– Chuja wiesz... My... my wszyscy... jesteśmy duchami... Zawsze byliśmy – wyszeptałem.

Moje czoło było tak ciężkie, jakbym miał ołów w zatokach.

Pochyliłem się. Coś mnie nieludzko ciągnęło ku ziemi. Ona była niczym gigantyczny magnes, a ja byłem z metalu i nie mogłem się oprzeć. Siła grawitacji dosłownie wgniałała mnie w glebę, nie znała litości.

Padłem na kolana. I pomyślałem, że może tego ode mnie chcą, mam się modlić, paść na ryj i błagać o zmiłowanie.

Zaparłem się rękami, ale Matka Ziemia chciała mnie zjeść, otwierała już swoje czarne usta, żeby mnie pochłonąć, zeżreć w jednym kawałku, strawić.

Widziałem to wszystko, co się zaraz stanie. Widziałem, jak mnie żre, jak mnie żrą pełzające w niej robaki, ich zęby też widziałem i jadowitą ślinę... Jakbym był mięchem kupowanym na hali całymi kilogramami, a kości to już gratis.

Arek i Kazek zaczęli się śmiać jak opętani.

– Ło w kurwę! Ale go skopało! – krzyknął któryś.

Ostatnie słowo dźwięczało mi w uszach jak echo.

Skopało,

skopało,

skopało...

Pokraczny dziadek przebrany za przypakowanego faceta z telewizji minął nas i znowu zniknął w gęstej mgle.

5

Czwarta nad ranem, a Paweł nadal ślęczał przed telewizorem. Od sześciu godzin, non-stop. Dużo skakał po kanałach, nie mógł znaleźć niczego odpowiedniego. Oczy piekły, więc zaaplikował sobie krople. Ale niewiele pomogło, za to zaczęła drgać lewa powieka. To pewnie z przemęczenia, mówił sobie, pewnie z przemęczenia.

Przyszło mu do głowy, że umarł i od tej chwili będzie skazany już wyłącznie na nudę, nic więcej. Programy, filmy i seriale staną się identyczne. Twarze aktorów i aktorek będą całkowicie jednakowe, jakby Paweł zapadł na ciężką i nieuleczalną odmianę zespołu Fregoliego. I przez całą wieczność nie będzie się zmieniać, a na domiar złego nie zdoła uciec donikąd, bo gdy w końcu zdesperowany przejedzie ostrzem po własnych kablach, płacząc z rozpacz, to żadna krew nie popłynie, bo ostrza będą gumowe, jak w klasykach złego kina...

Mimo że w mieszkaniu nie było nikogo innego, Paweł co chwilę odwracał się nerwowo za siebie, szukając w tle zamaskowanych napastników. Słyszał jakieś szepty, przez telewizyjny zgiełk momentami przebijały się czyjeś słowa, gdy jednak spoglądał tam, skąd dobiegały, widział tylko migoczące bladą poświatą ściany, które może i miały uszy, ale ust na pewno nie.

Może naoglądał się zbyt wielu filmów o paranoikach, istniała taka możliwość. Oni są wszędzie. Znają twoje myśli. Robią ci zdjęcia, kiedy śpisz. Zamierzają cię dorwać... Ech, co za bzdury. Tyle że teraz, gdy siedział samotnie

w ciemnym pokoju, wgapiony w ekran, był bardziej podatny na różne sugestie, nawet te najbardziej absurdalne. W tym wszystkim zdawało się kryć coś więcej. Być może w każdym filmie istniało jakieś drugie dno, któż to może wiedzieć? Czasem było ono jednak schowane tak głęboko, że na trzeźwo zupełnie nie szło się do niego dokopać.

Palce mu zdrętwiały od duszenia pilota.

Na programie trzynastym szedł jakiś serial. Opowieść z życia wzięta: ona kocha jego, ale on kocha inną, a ta inna jest lesbijką i kocha tę, która kocha jego. Wszystko podane w sosie obserwacji społecznych wątpliwej wartości. Nieziemskie pierdoły. Nikt nie przeczy, że coś takiego rzeczywiście mogłoby się wydarzyć, ale po co zaraz puszczać to w obieg?

Na Vox'ie leciały fragmenty pokazu magicznego. Nie był to jednak *show* żadnego Copperfielda czy innego Blaine'a, tylko występ mniej znanego i nie tak przystojnego „czarusia”. Paweł od dziecka fascynował się tą tematyką, miał nawet w domu kilka książek, z których można było się nauczyć najprostszych trików. W młodości chciał zostać albo sławnym iluzjonistą, albo założyć najzabawniejszy w Polsce kabaret. Nic mu oczywiście z tego nie wyszło, co było do przewidzenia, tyle że Paweł nie był niestety prorokiem, lecz krótkowzrocznym głąbem... Facet na ekranie najpierw zmienił czerwoną różę w białą, następnie sprawił, że kwiat stanął w płomieniach, a potem zmienił go z powrotem w zwyczajną różę. Nie było to zbyt wykwintne, za to miłe w oglądaniu. Niestety, po tej sztuczce pojawiły się napisy końcowe, więc Paweł odruchowo przełączył.

Animal Planet prezentowało cykl na temat pewnego rzadkiego gatunku gadów. Stworzenia te wprost nie znoszą samotności i jeśli są zmuszone do życia w izolacji, dostają pierdolca. Oczywiście autorzy programu użyli innego określenia. Pierdolec tych stworzeń miał przypominać nieco schizofrenię. Poszczególne okazy zaczynały widzieć świat w zupełnie nowy, niezwykle sposób. Trwały badania nad tym zjawiskiem.

Czterdziestkę natomiast opanował... pornol. Czyli tak zwane „nowoczesne kino artystyczne”. Film będący przedstawicielem „nowoczesnego kina artystycznego” opowiadał o ludziach, którzy nie robią praktycznie nic, poza uprawianiem seksu i paleniem papierosów. Ich dysputy podczas stosunków brzmiały mniej więcej tak:

– Och, rznij mnie Marcell, rznij mnie mocniej.

– Uch, uch, uch, o, tak, kotku, czyńmy to jak zwierzęta, lecz odpływając myślami w transcendencję. Tyle jest przecież piekła na świecie, wojenne pożogi i płomienna nienawiść, co wszystkich spopiela... Pragnę je ugasić sokami twego rozkosznego ciała, o, ukochana.

Zaś dialogi podczas wspólnego palenia prezentowały się w sposób następujący:

– Życie jest wręcz niewyobrażalnie puste, odkąd Bóg umarł, nie uważasz? (zaciągnięcie się).

– Jestem już ponad to (zaciągnięcie się). Ludzkość stacza się w bezdenną otchłań. Obserwuję z oddali, by się w tym nie babrać.

– Czy jest dla nas jeszcze jakiś ratunek? (wypuszczenie dymu).

– Och, naprawdę nie wiem. Może miłość fizyczna przybliży nas do odpowiedzi. Złóżmy kolejną ofiarę na ołtarzu Erosa (wypuszczenie dymu).

Paweł doszedł do wniosku, że scenariusz w tym obrazie stoi na zdecydowanie niższym poziomie, niż scenariusz w zwykłym porno. Nakręcenie go kamerą z ręki również nie ułatwiało odbioru, robiąc z dzieła erotyczny *Blair Witch Project*. Trzeba się było domyślać, czy fragment ciała, który aktualnie widzimy na ekranie to cycek, łokieć czy może kolano.

– My wiemy, co ty tam robisz pod kołdrą – zabrzmiał mu nagle przy uchu przeszywający głos matki.

– My wiemy nawet, o czym myślisz całymi dniami, ty chory gówniarzu – dodał ojciec, szepcząc w drugie ucho.

Cały zdrętwiał. Ale gdy zaczął się rozglądać, nadal był całkiem sam. Choć ciemność zdawała się gęstnieć, jakby w każdej chwili mogła przybrać ludzkie kształty i na śmierć go przerazić.

Wzjął głęboki oddech, przymykając powieki.

To się nie dzieje, nie pękaj. Nie bądź, kurwa, dzieckiem.

Już chciał iść spać, ale postanowił jeszcze rzucić okiem na dwudziestkę trójkę. Rzecz niszowa, piracka i popierdolona, tyle że budziła ciekawość. Ankę zniesmaczyło, trudno, bywa, jemu się podobało, choć z zastrzeżeniami. Wprawdzie i nie spodziewał się zobaczyć teraz niczego godnego uwagi, bo ludzie z osiedla pewnie dawno chrapali, ale już wolał pogapić się na sąsiadów, niż wracać do łóżka, gdzie nikt na niego nie czekał.

Zmienił kanał i dosłownie skamieniał.

Albo wzrok go mylił, albo na ekranie był on sam.

Kolejne ujęcie pokazało, że nie był wcale sam, tylko z Anką.

Znajdowali się w pomieszczeniu przywodzącym na myśl koszmary emerytowanych ginekologów. Czerwone, półprzezroczyste ściany pulsowały niezbadanym rytmem, ociekając organicznymi sokami. Podłoga oraz sufit wznosiły się i opadały powoli. Zewsząd emanowało przytłumione światło, migające od czasu do czasu. Czymkolwiek było to miejsce, odnosiło się wrażenie, że jest ono... wewnątrz... czegoś... Być może wewnątrz jakiegoś gigantycznego stwora, a może po prostu wewnątrz czyjś zdrowo popierdolonego umysłu.

Paweł klęczał przed dziewczyną. Między nogami ścisnął pilota od telewizora. Drżał z podniecenia, a w jego uśmiechu było coś zwierzęcego, jakby przeczuwał, że nadchodzi spełnienie i przestał się kontrolować. Anka leżała na podłodze, rozkładając szeroko nogi. Choć być może użycie w tym miejscu jej imienia jest sporym nadużyciem. To coś miało wprawdzie twarz koleżanki, ale wyglądało niczym obrzydliwy mutant, człowiek zrosnięty z telewizorem, straszliwy owoc nieznanych nam jeszcze etapów ewolucji, gdy technika i biologia będą stanowiły jedną gałąź. Ekran pomiędzy udami, elektronika prześwitująca spod cienkiej skóry, kable zamiast żył.

Gdy Paweł odwrócił na moment wzrok od telewizora, zdawało mu się, że jest zupełnie nagi. I wcale nie siedział, lecz klęczał, czuł nawet ból i palenie w kolanach. A pilot w jego dłoniach nie wydawał się czymś obcym, sprzętem z martwego tworzywa, lecz stał się częścią jego ciała. Żarzące się czerwienią oko kazało mu natychmiast skierować wzrok z powrotem na telewizor.

Scena seksu, jaką ujrzał parę sekund później, gdy jego medialne alter ego zaczęło rozbijać pilotem połyskujący czernią ekran partnerki, była tak odrażająca, że aż zwymiotował na podłogę. Skurcze przeszywały mu całe ciało, gardło piekło od rzygowin, a w uszach pobrzękiwały szklane odłamki zdeflorowanego ekranu.

Przez następne minuty siedział nieruchomo, trzymając się za pulsujący bólem brzuch. Myślał, że zaraz znów się porzyga, ale tym razem ze wstydu. Pójście z Anią do łóżka było czymś, o czym od dawna marzył. Ale po tym, co zobaczył, chyba już nigdy nie będzie w stanie nawet o tym myśleć. W najgorszych koszmarach by tego nie wyśnił, nie uroił sobie na najcięższej fazie.

Ktokolwiek był twórcą tego programu, musiał to być człowiek chory psychicznie, zawyrokował Paweł. Jedynie schizofrenik w najcięższym stadium psychozy byłby w stanie wymyślić taką scenę. Ale w jaki sposób ten świr to

nagrał? Jak uwiecznił Pawła i Ankę w tym odrażającym akcie? I dlaczego akurat ich? Po co w ogóle ktoś zrobił coś tak... popierdolonego?! To nie była żadna sztuka, to był kurewski zamach na nich, terroryzm mentalny, bombardowanie umysłu obrazami, które nie powinny mieć w ogóle prawa bytu.

Ekran zamigał kilkakrotnie. Paweł już miał wcisnąć wyłącznik i iść do lodówki, by wypłukać sobie to gównno z głowy wódką, ale coś go powstrzymało. Po chwili w telewizji pojawiła się Anka. Tym razem w pełni ubrana. Nie było jednak cienia wątpliwości, co musiała widzieć ledwie przed momentem. Ręce jej się trzęsły, odgarniała niespokojnie włosy, co kilka sekund przysłaniała dłonią usta. Jej mina wyrażała coś pomiędzy głębokim, pierwotnym strachem a zniesmaczeniem. Paweł wiedział dlaczego. Musiał teraz wyglądać podobnie. Ona obejrzała przecież tę samą audycję. Łączył ich w tej chwili ten sam makabryczny program, który miał się położyć cieniem na wszystkim, co ich jeszcze mogło spotkać.



1

Olek złapał ciepłą posadkę w jednym z ogólnopolskich pism muzycznych i był z tego powodu szczęśliwy jak nigdy. Przynajmniej do czasu. Bo tak to już bywa, że rzeczywistość prawie zawsze okazuje się znacznie gorsza niż nasze naiwne wyobrażenia o niej. Myślmy sobie, że złapaliśmy Pana Boga za nogi, ale jak tylko podniesiemy wzrok, widzimy, że to przecież jakiś zarośnięty mchem menel, który właśnie opuszcza gacie. A wracając do metaforyki biurowej: gówno spada na wiatrak, rozpryskując się po monitorach i ścianach.

Sama pasja i regularne wypłaty przestają w końcu wystarczać. Niespodziewanie wychodzi na jaw, że wszystko, co wcześniej tak nam się podobało, wszystko, czemu chcieliśmy się poświęcić, gotowi odsunąć resztę w drugi plan, to tak naprawdę wielkie nic. Uluda rozplywa się nagle, przed nami staje naga prawda – obleśna starucha, której daleko do młodzieńczych ideałów rodem z rozkładówek. Tak też rzecz się miała w przypadku nowej pracy Olka. Z początku świetnie, ale później... Ale później...

– Jak oni się nazywają? – spytał z niedowierzaniem Olek, starając nie wybuchnąć pustym śmiechem.

– Zdzieracze Skalpów – odparł głosem zblazowanego konesera rednacz „Pulsu Podziemia”, splatając palce na wysokości okazałego bębna. Nie był rzecz jasna perkusistą. Wieprzek w marynarce za dużej o dwa rozmiary, bo innej by nie dopiął. Znacie takich fagasów: różowe gęby, woń taniej wody po goleniu, zawsze spoceni, zima czy lato, zawsze ciemne plamy pod pachami, czoła tłuste jak patelnie. – Nie zawiedziesz się.

– Uhum. Jasne.

Olek nie zawiódł się tylko za pierwszym razem. Kobiece trio Wycieraczki naprawdę dało czadu. Tamten koncert to była czysta, nieposkromiona,

punkowa energia. Wokal jak Courtney Love z czasów *Live Through This*, bębny przypominające miażdżący wszystko na swej drodze czołg. Pełna sala, wszyscy połączeni tą samą niewypowiedzianą więzią, pełne zrozumienie w oczach każdego słuchacza: to tu jest prawdziwe życie, a tam, w biurze, w trumiennych garniakach, człowieku, to tylko śmierć, tylko śmierć i diabeł puszczający emaile, rozdający awanse... Nawet relacje pisało mu się z przyjemnością, przytupując do rytmu wciąż jeszcze dźwięczącej w myślach perkusji. Wspaniała sprawa, oldschoolowy klimat, niczym wycieczka teleportem do utraconej młodości. Jakby początek lat dziewięćdziesiątych wciąż był w pełnym rozkwicie, a cały ten plastik, całe to wywijanie dupami nad milionem monet nigdy nie załapało się choćby na ochłap kontraktu. Wtedy jeden jedyny raz pomyślał, że kocha swoją robotę. Pochwalił dzień przed zachodem słońca i się doigrał, bo potem było już tylko gorzej, z imprezy na imprezę coraz głębsze dno.

Słusznie przypuszczał, że podobnie będzie i tym razem. Zdzieracze Skalpów nie zrywali swoim graniem kasku z głowy. Jeżeli cokolwiek zdzierali, to tylko swoje gardła.

– Co? Myślisz, że będą słabi?

– Nie no, tak to bym nie powiedział – skłamał. Znał „gust” szefa i wiedział, czego się spodziewać po wychwalanych przez niego kapelach. Ale gdyby wygarnął rednaczowi, mógłby od następnego dnia zacząć rozsyłać gdzie popadnie CV i listy motywacyjne, jak wszyscy jego poprzednicy.

– To czterech naprawdę doświadczonych muzyków. W podziemiu robi się o nich głośno już od paru lat. Wokalista, Chryja, udzielał się swego czasu na drugiej płycie Radioaktywnych. Pamiętasz jeszcze tych wariatów? Mogli być, kurwa, polskim Butthole Surfers!

Olek pamiętał ich koncert, a kiedyś kupił nawet jakieś płyty. Byli zdecydowanie do dupy. Grali *noise*, który brzmiał jak pierdzenie – niczego w tym momencie nie ujmując pierdzeniu. Mimo że każdy instrument fałszował na własne konto, wokalista zdecydowanie wybijał się na tym tle swoją nieudolnością. To nie był śpiew, ani *growl*, ani melorecytacja, tylko jakieś nawiedzone mamrotania przeplatane czkawką. Już w szpitalach można usłyszeć lepsze rzeczy, a gdyby się tak przejść po izolatkach, z pewnością wyłowiliby się znacznie większe talenty. Do tego te ich niby zaangażowane teksty! Dramat. Zupełnie nie szło tego słuchać. W dodatku wspomniana druga płyta Radioaktywnych była zdecydowanie ich najgorszą! Chryja zaniżył i tak

już katastrofalnie niski poziom grupy, więc zamiast małopolskiego Radiohead, było, kurwa, *punk is dead*. Potem wypuścili jeszcze jakąś EPkę, o której wszyscy bardzo szybko zapomnieli, i słuch o nich zaginął.

– Tak, pewnie. Byli naprawdę... mocni.

Naprawdę mocne to były na tamtym koncercie wyłącznie browary, dodał w myślach. Tym bardziej, że mu kolega wsypał do kubeczka odrobinę fety. Zgodziłaby się z nim większość słuchaczy, którzy mieli nieszczęście być tam wtedy, przynajmniej tych jeszcze w miarę trzeźwych, bo reszta już na drugi dzień nie pamiętała, że taki zespół istniał. I ci mieli największe szczęście. Wszelką traumę lepiej zalać czymś wysokoprocentowym, aż nie zostanie po niej żaden ślad.

– No. To i tym razem chłopcy zapewne dadzą po garach.

Nie dali... Po prostu nie dali rady. A po ich występie Olek zaczął się zastanawiać, czy naprawdę nie rzucić tej roboty w cholerę. Muzyczny cyrk działał mu już na nerwy. Nie wiedział, jak długo jeszcze wytrzyma, zanim coś w nim pęknie i – podobnie jak kiedyś Michael Douglas w *Upadku* – wyjdzie na ulice zrobić porządek ze światem.

Potrzebował kasy, ale wiedział też, że robiąc w tej branży, może stracić nie tylko słuch – zdrowy rozsądek także. No bo jak zachować resztki godności, resztki szacunku do samego siebie, jeżeli robota opierała się wyłącznie na kłamstwie, wyparciu i udawaniu, bo często nawet najgorszy koncert trzeba było opisywać słowami „niesamowity”, „porywający” bądź „niepowtarzalny”? Wszystko zależało od tego, czy szef chciał komuś posłodzić, czy nie. Bo jeśli rednacz powiedział: „Pochwal chłopaków ze Zdzieraczy, są coraz lepsi!”, Olek musiał napisać: „Zdzieracze Skalpów to niewątpliwe objawienie polskiego podziemia. Grają z niezrównaną energią, porywając słuchaczy już przy pierwszym riffie”. Sprawa była jasna: albo zrobi, jak mu każą, waląc ściemę na z góry określoną liczbę znaków ze spacjami, albo niech – tu cytat – „zabiera swoje zabawki i wypierdala”. Ta sytuacja wydawała się Olkowi chujowa, ale wiedział, że mógł trafić gorzej, mógł zostać wodzirejem na discopolowych odpalach, jak dawny znajomy, który na fali hasłu popłynął za zespołem Ich Troje, aż wylądował w rejonach już nawet niegodnych krytyki.

Olek nie zamierzał gnić na bezrobociu ani wracać do tego, co parę lat temu, gdy trzeba było ciągnąć od starych pieniędzy na przetrwanie, wysłuchując ich kpin i postękiwań. Ale jak długo wytrzyma, aż mu pęknie żyłka? To nie będzie przecież trwało latami... Chwalił najgorszych rzępołów,

pod niebiosa wynosił jakichś onanizujących się własnym fałszem kutasów z pretensjami, a po niezłych muzykach jeździł nieraz jak po łysych kobyłach, bo ich menager prowadzał się z laską, która olała zaloty rednacza. Olek zbyt długo pozostawał idealistą. Nie po to od wczesnej młodości wyrabiał sobie gust, pożyczając od kogo się dało flotę na koncerty i płyty, jeżdżąc od festiwalu do festiwalu, żeby teraz stać się marionetką w rękach jakiegoś przygłuchego kretyna.

Co jednak mógł począć? Zwiesił głowę, zacisnął zęby i pojechał na kolejny koncert.

2

Źle się czułem po wczorajszym paleniu. Co tu owijać w bibułę, zły trip nie chciał się skończyć i tyle. Jak spytasz ludzi, to wszyscy ci powiedzą, że nie, o nie, po dobrym skuniku na pewno nie ma się kaca ani nic. Bo dobry skunik nie jest zły. Bo dwa-trzy buchy do poduchy dobrze robią na sen. Ale mi od rana było po prostu chujowo i mdło.

To wielki krok dla człowieka, ale mały kroczek dla ludzkości, pomyślałem, wstając z łóżka i ruszając w stronę wiszącego w korytarzu lustra. Nadal byłem zbuchany na amen i nie wiedziałem, co z tym faktem począć. Przez kilka minut dokonywałem szczegółowych oględzin swojej gęby. Z początku nie widziałem prawie nic, zupełnie jakbym gapił się w spieprzony telewizor. Sam śnieg, same zamiecie, ewentualnie z domieszką mgły. Dopiero po chwili ja i rzeczywistość zaczęliśmy nadawać na tych samych falach. Wtedy ujrzałem katastroficzną prawdę w całej okazałości. I ze zgrozą stwierdziłem, że dziś wcale nie przypominam samego siebie. Szara skóra, sine usta, podkrążone oczy, wzrok szaleńca, który – zamiast pacierza – codziennie rano i wieczorem śpiewa sobie *I'm a loser baby, so why don't you kill me?* Przypominałem jakiegoś dziadzia w przeddzień agonii... Po zaledwie paru machach? Jak to w ogóle możliwe?

Jakby było mało, nie mogłem skasować z pamięci tego powalonego programu, co go obejrzałem u Arka. Może to nie żadna lufka, a właśnie audycja była winna mojemu dzisiejszemu sfazowaniu. Bo przecież chyba nie te dwie wczorajsze chmurki na krzyż!

Chyba nawet śniła mi się ta cała Anka i jej kolega – uczestnicy ściemnionego *reality show*, przez które nie mogłem sobie pociupać na GameCubie. Na szczęście jak się obudziłem, to nie pamiętałem za wiele. Wiedziałem tylko, że to był jakiś koszmar, pełen kabli, flaków i stroboskopowych świateł. I że przez pół nocy w mojej głowie niczym echo rozbrzmiewał czyjś bezsensowny krzyk: „Prawy, lewy, złamany... prawy, lewy, złamany... prawy... lewy... złamany!”.

W końcu przestałem o tym rozmyślać, gdyż nielicho mnie suszyło. I na dodatek pulsowało w skroniach. A nic nie odwraca naszej uwagi od jakichkolwiek rozważań tak skutecznie, jak ból.

Starszej na szczęście nie było na chacie. Widać, poszła do roboty, zostawiając mnie samego i – tak, kupiła tę ściemę! – przeziębionego. Mogłem więc bez problemów łązić po mieszkaniu, poszukując czegoś do picia. Nie musiałem już udawać grypy, naprawdę czułem się chory.

* * *

Idę w stronę lodówki, gdzie mam nadzieję odnaleźć zgrzewkę mineralnej i minimum dziesięć litrów soku. Otwieram drzwiczki, w myślach już widząc siebie sączącego coś pitnego, chłodnego, ze słomką, a obok stoi jakaś laska, z Norwegii albo Szwecji, ponieważ w tych krajach jest znacznie większa niż u nas średnia objętość klatki piersiowej wśród kobiet, co każdego faceta dobrze nastraja do życia i prowadzenia szeroko pojętej działalności gospodarczej.

Patrzę, patrzę... lecz gównno!

Bo mnie suszy, suszy i suszy, a w lodówce jest tylko serek Hochland, z którego przecież niczego nie wydoję... Nie ma tu nic! Starsza nie zrobiła wczoraj zakupów! Zostawiła mnie – chorego! – na pastwę herbaty bądź kawy, a ciepłego picia z rana po prostu nie trawię. Szczególnie jak mam Saharę w przelyku, wtedy dobrze mi robi tylko Cola albo Sprite. Ale teraz to ja byłem pragnieniem, a żadnego Sprite'a nigdzie nie było widać!

W lodówce nie znalazłem zupełnie nic. Ani kropli, do nędzy! To znaczy była jedna, ale tylko ta, co mi akurat skapnęła ze spoconego czoła.

Popadam w rozpacz, rwę włosy z głowy. Z miejsca gotów jestem żłopać kranówkę. Powstrzymuje mnie przed tym wspomnienie sprzed roku, kiedy w moim gardle było równie sucho, i kiedy urzeczywistniłem plan picia

centralnie z kranu. A potem spędziłem wiele godzin na kiblu, wyjąc z bólu i wydalając chyba wszystko prócz skóry i kości.

– Co mi pozostało? – pytam sam siebie.

Pozostała mi wycieczka do spożywczaka, żeby czym prędzej uzupełnić niedobór płynów w organizmie. Pozostała mi przeprawa przez to smutne jak pizda osiedle. Szedł będę wolno, wolno, pobrzękując drobnymi w kieszeniach. Szedł będę ledwo, ledwo, wśród siatek i gazet niesionych wiatrem przez betonową prerię. Noga za nogą, noga za nogą włókł się będę niczym potępieniec na Sąd Ostateczny.

Mam przy sobie dwanaście zeta. Niezbyt dużo, więc chyba lepiej już teraz zastanowić się, co sobie za to zapodam, myślę, wkładając buty. Mogę zaopatrzyć się w dziewięć najtańszych wód mineralnych i tym samym ugasić pragnienie raz a dobrze...

– Posłuchaj swego pragnienia, posłuchaj pragnienia – mówi mi malutka widmowa buteleczonekka Sprite'a, stojąca na moim prawym ramieniu. A ja przytakuję, uśmiechając się. Nie wiem, skąd ją tu przywiało, ale w tej chwili cieszy mnie każda dobra rada, choćby nawet udzielona przez kawał zielonego plastiku z firmową nalepką.

– Działaj z głową, działaj z głową – radzi z kolei malutka widmowa pacuszka Panadolu Ekstra, stojąca na moim lewym ramieniu. I w sumie też ma sporo racji, gdyż równie dobrze mogę kupić odpowiedni środek, żebym nie czuł dłużej tego ścisku w skroniach, istnej korony cierniowej założonej na łeb. Ale jakbym opłacił przeciwbóle, na napoje zostałoby niewiele kaski.

I bądź tu mądry człowieku!

* * *

Wychodzę przed blok i nogi się pode mną uginają.

Widzę, że sypie śnieg. A do zimy daleko. Na dodatek nie jest to zwykły śnieg, tylko taki bardziej telewizyjny. Czarno-biały. No po prostu są to zakłócenia lecące na nas z nieba, z każdą minutą coraz gęstsze, syczące jak kapiący kwas. A niebo z kolei... Zbawco, ratuj! To przecież nie jest już żadne niebo, tylko gigantyczny ekran ciągnący się od horyzontu po horyzont, migający jak popierdzielony w jakimś stroboskopowym szale.

Koniec świata, myślę, siadając na schodku przed klatką.

Nie mam sił się ruszyć. Jestem ciężki. Ważę teraz chyba z pół tony, buty mam jakby zalane betonem, niczym ofiara porachunków gangsterskich. Czuję, że idę na dno. Nie ma to tamto. Przesiłekam przez beton, przez tłustą od dżdżownic i różnych larw glebę, przez zwaly kamlotów i szkielety ofiar tych różnych wojen, co mi się nawet nie chciało o nich uczyć. Powoli opadam w otchłań, gdzie siedzą sobie w Piekło zastępy czubów, wygrywających na swoich zdrowo nadszarpniętych strunach głosowych smutne kołysanki. Łbem, centralnie przez wszystkie kręgi, bach, bach, bach, przebijając podłogi i sufity za jednym zamachem, spadając, spadając, spadając, lecę tam, nabierając rozpędu. I nie ma zmiłuj, już wali siarką, już jeziora lawy bulgoczą przyjaźnie, już rozległe plaże, gdzie zamiast piachu pył sproszkowanych kości, a parasole uszyto ze skór grzeszników, zapraszają wszystkich pragnących się opalić w cieniu krematoryjnych pieców, blasku atomowych grzybów.

O kacu i suchym pysku zdążyłem zapomnieć. Jak tu przejmować się takimi bzdurami, kiedy nadciąga Armagedon?

Niepotrzebnie wczoraj paliłem. To wszystko przez to. Na stówę. Moje palenie musiało być grzechem, który przeważył szalę. Na pewno. Bóg ma w Niebie zajebistą wagę, gdzie waży sobie wszystkie ludzkie grzechy. Pewnie kiedyś pomyślał sobie, że jak uzbiera się tych grzechów miliard ton, przyjdzie pora na Sąd Ostateczny. I mój grzech przeważył. Brakowało ćwierć grama do Apokalipsy, a ja jak ten idiota pociągnąłem skuniora z fifki i przypieczętowałem los ludzkości. Jezus Maria, Jezus Maria, Jezus Maria.

Trzymam głowę, żeby mi nie spadła. Twarzy już nie czuję, oczy to dwie rany, w które ktoś wtyka rozżarzone cygara. Powiek nie potrafię zamknąć. A w górze szaleje żywioł. Ekran nieba miga coraz szybciej. Śnieg pada tak gęsto, że prawie nic już nie widać. Bloki toną w zakłóceniach. Przechodnie to skrawki kliszy skręcającej się od niewidzialnego ognia. Wszystko teraz wygląda jak stare, zniszczone dekoracje, które zaraz się rozpadną w drobny mak, pozbawione trwałego fundamentu. Ziarniste budowle ulepione z pikseli przez naćpanego informatyka, mentalnego paralytyka. Rozleczą się, rozwieją niczym dym. I wtedy wyjdzie na jaw, że to wszystko tak naprawdę nigdy nie istniało. Bo, proszę państwa, to już jest koniec filmu *Blokersi*, tu już jest koniec, nie ma już nic. Były napisy końcowe i podziękowania, jesteśmy wolni, możemy iść. Teraz powędrujemy prosto do Pieła. Wszyscy bohaterowie idą czwórkami, trzymając się za ręce jak dzieci na apelu. Bez paniki! Wieczne potępienie nie ucieknie. Proszę spokojnie wchodzić na ruchome schody i zjeżdżając w dół,

myśleć o tym, co było w waszym życiu dobre. Bo przecież było coś dobrego, no nie? Jakoś nic nie przychodzi mi do głowy, Panie Boże.

Ludzie przechadzają się spokojnie po osiedlu, jakby nic się nie działo. Widzę ich w zwolnionym tempie, strzępy klisz, okruszki sadzy, pył niesiony w nieznaną. Ale nie wyglądają na przerażonych, nie trapi ich własna nieistotność ani nieuchronność kresu. Może nie wiedzą. Jeszcze nie wiedzą? Czy raczej już nie wiedzą, bo wyprało im mózgi w renomowanym proszku? Dramat, nawet Armagedon przegapią. No bo to się dzieje na żywo, fakt, a w mediach nie było ani słowa, nawet po wieczorynce, nawet w TVN 24. Kurwa, ludzie! Ludziska! Pora się opamiętać! Pora się zbudzić! Pewnie to nie jest to, na co czekaliście, ale innego końca świata nie będzie. Boga nie stać na lepsze efekty specjalne, nie ma wtyków w Hollywoodzie, może nas tylko posypać tym dziwnym brokatem zakłóceń i zmienić niebo w ekran. Jak na czymś tak wielkim odbierają seriale? A mecze? Ej, czy tam u góry oglądacie mecze?! Czy aniołowie mają własną ligę, choć trochę lepszą od naszej ściskającej dupę żalem ekstraklasy?!

Prawy, lewy, złamany, przypomina mi się. Oto odpowiedź na wszystkie moje pytania. Niezrozumiały bełkot. Szum słowny. Czarna rozpacz. Biała flaga, na maszcie mojego mózgu, którą zatyka tam groźny tyran – lęk. Poddaje się. Przejebane. Amen.

– Ej, patrz, Andrzej znów zdrowo skurzony – powiedział ktoś.

Tym ktosiem okazał się Arek. Już wrócił ze szkoły? Która była godzina?

– K... khtóra... ghodzina? – spytałem. Język przykleił mi się do podniebienia.

– Dhrugha thudzieści – sparodiował mnie Kazek, ryjąc jak mysz do sera.

– Ej, kurwa... Dobrze się czujesz? – Zaniepokoił się Arek, który już chyba wiedział, że ze mną to nie żarty.

Czy dobrze? Nie. Ale ważniejsze, czy... jego troska była szczerą? Czy jest prawdziwym przyjacielem? Czy w ogóle jest moim przyjacielem? A może jednym z wrogów? Teraz wydaje mi się – czego wcześniej nie wiedziałem – że wokół pełno wrogów. Szpiegujących, wtykających nos w nieswoje sprawy. Hien, paparazzich. Pierdolonych obserwatorów, ludzi-kamer, rejestrujących każdy atom świata, ludzi-mikrofonów, wsysających w siebie każdą falę. Gapią się na mnie, jakbym był chodzącym *reality show*. Wszędzie te ciekawskie spojrzenia. Wszędzie te...

– Prawy, lewy, złamany – szepnąłem.

Kumple lampili się we mnie z niedowierzaniem.

Czy zrobiłem coś złego? Czy ich zraniłem? Czy skrzywdziłem człowieka prostego? A moich druhów? Dlaczego? Skąd nagle tyle wątpliwości?

Jestem taki...

– Ty jesteś prawy czy lewy, Andrzej? – zażartował Kazek.

– Złamany – odparłem. – Złamanhy. Zhłamanhy. Zzzzzz... Bzzzzz.

Nie mogłem. Zebrać myśli nie. Mogłem się. Skupić.

– Z nim jest coś nie teges – powiedział ktoś. – Chyba jest chory.

Chyba. Rhyba. Erha Rhyb się khończy. Nadchodzi Era Omegi. A on jest naprawdę chory. Zobaczycie, ludzie, co on z wami robi.

– Po chuju tam chory!

Chory. Zmory. Zmorhy... Jestem zmorhdowany. Zamordhowahny.

Słowa są. Takie dziwne. Po co nam one?

– Andrzej, kurwa mać! Przestań już udawać idiotę! Nie chcesz wiedzieć, co było na biolcy?! Co z tobą?!

Spojrzałem na nich. Wyglądali katastrofalnie. Tacy płascy. Jakby przygniecieni czymś ciężkim. Może ekranem niczym gigantycznym stemplem? Czemu nie widzieli śniegu, w którym ja tonąłem? Może są pogodoodporni? Ale czemu nie słyszeli nawet szumu zakłóceń, syreniego śpiewu nieistniejących stacji telewizyjnych? Ani głosu widmowego narratora, wzywającego wszystkich, którzy żeglują po kanałach, szukając drogi do odległego domu? Nikt im nie powiedział, nikt nie uświadomił?

Tacy płascy. Para naklejek na szkle, pod którym kłębi się ciemność. To o mnie się martwią? To mnie mają za chorego, samemu będąc częścią tego chorego systemu?!

Nic dziwnego. Idioci! Przecież tylko ja znam prawdę. Tylko ja doznałem objawienia. Nie ma sensu tłumaczyć. I tak nie rozumieją. Są tylko marionetkami. Nie mają tego... czegoś.

Czego? Co? Gdzie?

Ach, tak, świadomości. Nie mają duszy. To tylko zabawki. Ktoś mnie uwięził wśród zabawek. W sklepie dla dzieciaków. Jedyne żywe w dolinie lalek. „Andrzej, człowiek, który został tele-zwierzem”. Wbrew swej woli. Tak bardzo jestem...

Samotny.

Żołądek podjeżdża mi do gardła niczym winda z wczorajszym żarciem.

– Whymhiotny. Whymhiotny roztwór. Thwór pana Omegi, thwór pana Adama...

– Kurwa. On całkiem zwariował. Idź po kogoś, Arek.

– Ja jebię... Po kogo?

– Nie wiem... No patrz.

Zatykam usta, żeby ten kolorowy film, który w sobie mam, ta tęczowa breja wszystkiego, co kiedykolwiek wchłonąłem, nie wytrysnęła na zewnątrz, bo byłby to paw stulecia, arcydzieło arcydzieł, rozlewające się wszystkimi ulicami osiedla, zmywające przechodniów z rozbujanego pokładu chodnika prosto w nicość.

Piekło wokół idzie już na pełny regulator.

Wysoka rozdzielczość parzy gały.

Żywy z tego nie wyjdę, myślę, wbijając kciuki w skronie. Ale ta myśl niknie wśród szumu, zakłóceń i syku, wśród śniegu pikseli, zer i jedynek, które pokrywają mnie całego, aż zupełnie już znikam.

3

Co tym razem? Jacyś nowi zbawcy undergroundu? – spytał naczelnego, z trudem odrywając wzrok od monitora.

Olkowi coraz słabiej szło ukrywanie zniechęcenia. On i ta praca to było coś jak anorektyczka i pełny talerz – na samą myśl żołądek fikał koziolki. Wciąż przypominał się refren jednej z piosenek Zdzieraczy Skalpów: „Kochamy cię, a ty nas nie, więc może się... zaaabiiieesz?!”. I naprawdę zaczynał poważnie rozważać, czy się nie zaaabiiić.

– Taka jedna... hm... dosyć dziwaczna kapela.

Rednacz rzucił na biurko Olka płytę. Na okładce widniał napis Statyści, a pod nim granatowy wir na czarnym tle. Trochę przypominało to starą płytę Nine Inch Nailsów.

– Statyści? – Olek nigdy nie słyszał o takim zespole. Jakaś nowość?

– Mało znana kapelka. Wydali tylko taką EPkę, bez tytułu. Dał mi znajomy, mówiąc, że staną się kiedyś polskim Toolem czy coś w ten deseń. Jakoś mu nie uwierzyłem.

– A co oni mają wspólnego z Toolem? Zrzynają od nich rify? Wokalista śpiewa z manierą Keenana?

– Nie, nic z tych rzeczy. Chodzi tu raczej o takie... filozoficzne bzdety. No wiesz, podpieranie się w graniu jakimś egzotycznym przesłaniem. U Toola jest to ta cała lachrymologia, teoria płaczu, czy coś...

– A u Statystów?

– No właśnie... chuj jeden wie. Kolega miał jakieś swoje wnioski i podejrzenia, ale bądźmy poważni, brzmiało to jak bełkot. Solipsyzm, schizofrenizm, macdonaldyzm... Kto w ogóle łyka takie kretyństwa! Wiesz, co ja myślę? Niech jeden z drugim idą, kurwa, na filozofię, teologię, albo chociaż seminarium duchowne, zamiast chwycić za wiosła. Naprawdę. Kapele mają dawać czadu, a nie mędrkować!

Jeśli mają dawać czadu, tak jak Zdzieracze, to niech już lepiej odłożą wiosła i spłyną z nutem w kanał, gdzie ich miejsce, pomyślał Olek. Z drugiej strony samo wypowiedzenie na głos słowa „filozofia” przypomniało mu o jego byłej, której przesadne analizowanie każdej głupoty wywoływało po prostu chęć rzygu.

Rednacz wyszedł, gwizdząc melodię jakieś starej, beznadziejnej piosenki, zaliczanej do tak zwanej klasyki polskiego rocka, Boże dopomóż. W pomieszczeniu jeszcze przez długi czas unosiła się woń jego wody kolońskiej. Jak na ten zapach reagują kobiety? Odwracają się ze wstrętem, czy udają, że im się podoba? Naczelnym nie był wprawdzie żonaty, ale miał ponoć mnóstwo kochanek – przynajmniej tak wynikało z jego opowieści, którymi zawsze ubarwiał swoje mentorskie monologi na temat popkultury. Gdyby wierzyć w te bajki, niemal każdy koncert wiązał się w wypadku szefa z nowymi podbojami miłosnymi, „pykankiem na backstage’u”, lodzikiem w kularach. Bardziej prawdopodobne jednak, że wieprzek po prostu lubił zmyślać, bo tak naprawdę amant z niego żaden, podobnie jak krytyk.

Olek obracał płytkę w dłoniach, przyglądając się widniejącemu na okładce wirowi. Niby nic wielkiego, a jednak wyglądało niepokojąco. Nie tak dziwacznie, jak gliniane ludziki w teledyskach Toola. Nie tak szokująco, jak Manson wkładający fiuta między karty Biblii. Tu chodziło o coś innego. Ulotne wrażenie, że ta prosta grafika ma nam uświadomić coś głębszego, jakąś wewnętrzną prawdę, hipnotyzującą jak muzyka grupy. Skąd w ogóle przychodziły mu do głowy takie pomysły, skoro jeszcze nawet tego nie słuchał?

Postanowił, że cedeka Statystów zapuści sobie dopiero wieczorem, w domu, na discmenie. Jeśli nie będzie to taki sam *crap*, jak cała reszta kapel wychwalanych przez wieprzka, może bardziej się nimi zainteresuje. Chociaż

był raczej złej myśli. Rachunek prawdopodobieństwa wskazywał na kolejny pozbawiony sensu jazgot, ekstatyczne wycia i jęki udręczonego trzydziestoparolatka z klasy średniej, narzekającego na otaczający go świat. Następnym krzykiem wykalkulowanej rozpacz, podobny do poprzedniego jak jedna kałuża wymiocin do drugiej.

4

Zaprowadzili mnie do mnie. Jakbym sam nie trafił.

Matka przerażona. Nie wie, co ze mną. Czemu synka podtrzymują, jakby zasłabł albo właśnie miał atak serca? Co tu się wyprawia? Jedynek zaćpał? Zjarał się i zostały z niego tylko zgłiszczka? Doszczętnie pożarł go pożar? Strażaku Samie, dopomóż!

Po jej spojrzeniu wiedziałem, że nie ma o niczym bladego pojęcia: ani co się dzieje ze mną, ani co się dzieje z naszą kochaną rzeczywistością. Nie zdawała sobie sprawy, że nasza mała stabilizacja rozpadła się, a teraz jej miejsce zajęła piekielna wizualizacja. I już nie wiemy, gdzie jest tamto miejsce, gdzie jest ten leepszy świat, niebo z dziecięcymi laaat. Czy ktoś odpowiedź znaaa? Nie, niestety nikt. Oto chory film, puszczone przez Pana Szatana we własnej osobie. Usiądźcie w pierwszym rzędzie i patrzcie na widowisko, niepodobne zaiste do wielkiego cyklu królewskich tragedii! Oto projekt naprawdę interaktywny. Cokolwiek zrobisz, zostanie zarejestrowane nieodwołalnie i na wieki wieków, amen. Każde twoje wspomnienie będzie nagrywane, a potem umieszczą je w archiwum przy... ulicy... Uli... Tak, właśnie tam... Ale zaraz, zaraz. Co to za miejsce, czemu ma taką powaloną nazwę? Skąd o nim wiem? Czyżby jakiś poroniony narrator skrobnął mi kolejny przypis gdzieś w głębi czachy?

Matka.

Na pierwszy rzut oka nie tak płaska, bezbarwna i bezwolna, jak kumple. Ale czy też nie była aby jedną z nich? Tych kukielek, które krążyły po osiedlu, lalczek, zwieszających się na sznurkach trzymany przez nie wiadomo kogo. Pewnie jakiegoś ślepego kuglarza, smutnego klauna, niemego wokalistę z zespołem dałna. Dopóki niczego nie kwestionujesz, wszystko działa jak należy, ale zobacz tylko cień tej dłoni, która tobą steruje, a paraliżujący strach sprawi, że nie będziesz mógł się ruszyć. To jak gra, tyle że pada trzyma ktoś,

o kim nie masz pojęcia. Módl się, żeby nie walnął pięścią w klawisz Escape zbyt wcześnie, bo zgaśniesz na zawsze, a twój stan gry nie zostanie zapisany.

To spisek. Z pewnością. Nic nie dzieje się bez przyczyny. Wszystko nagle nabiera głębszego sensu. Każda drobnostka, na którą wcześniej nie zwracałem uwagi, teraz pełna jest różnych znaczeń. Sensów. Jak muchy wokół truchła.

To spisek. Racja. Ale jaki? Kto za tym wszystkim stoi?

O czym w ogóle ta gadka? Czy to jeszcze ja, czy ktoś mówi za mnie? Drętwiejące usta stały się bramą innego wymiaru? Głos w głowie dawno wymknął się poza kontrolę.

Usiadłem przed telewizorem.

Koledzy poszli. Bez słowa.

– Synku, co z tobą? – spytała mama.

Gapilem się w ekran. Telewizor był wyłączony. I słusznie.

– Film mi się urwał, mamuśka – powiedziałem, śmiejąc się jak nienormalny.

Telewizor słodko spał, dzięki Bogu. Bałbym się, że ktoś się nam przygląda, tam, z drugiej strony. Że podsłuchuje. Całe szczęście na czujne oko ekranu opadła niewidzialna powieka. Śpi czy tylko udaje? Może zapadł w krótką drzemkę? Ten nasz elektroniczny zwierzak, najlepszy przyjaciel każdego domu. Nie trzeba go wyprowadzać na spacer, nie szczą pod siebie, a ile z nim zabawy! W oddali zobaczyłem samego siebie, otoczonego rozszczekaną gromadką – jamnicze radia nie przestają ujaść, merdając antenkami, spasiony kineskopowiec pozbył się kagańca i prychnął jadowitą pianą.

– To nie są żarty! – Matką aż telepie z nerwów,

– Ech... No źle się poczułem i tyle – odpowiedziałem z trudem. Miałem sucho w pysku, pomiędzy zębami chrzęścił widmowy piasek. A może to wcale nie był piasek, tylko piksele, z których ktoś zlepił ten podrobiony świat?

Nie dotarłem do sklepu, nie zrobiłem zakupów, nie kupiłem picia, nie napiłem się. Wszystko: nie, nie, nie i nie. Ale nieważne. Teraz sytuacja całkowicie się zmieniła, nareszcie widzę, z czym mam do czynienia. Namierzyłem wroga. I okazało się, że jest wszechobecny, wszechwiedzący. Nawet w tej chwili na niego spoglądam. Pęknięcia na ścianach układają się w skomplikowaną sieć zmarszczek. Ciemne plamy niczym sińce pod oczami. Tynk jak skóra, chropowaty, bladożółty. Staję twarzą w twarz z przerażającą istotą. I wtedy nagle przestaję ją dostrzegać. Momentalnie zapominam, jak wyglądała i czym tak naprawdę jest.

– Czemu wychodziłeś, skoro masz gorączkę? – Pytanie matki wybija mnie z rytmu rozmyślań.

No właśnie. No właśnie, czemu? Kurwa, może rzeczywiście jestem chory. Może udawałem tak dobrze, że zachorowałem. Oscarowa rola wcale nie była rolą, wybitny aktor obudził się w izolatce. Słyszałem o takich przypadkach, więc pewnie i mnie to spotkało. To się chyba nazywa wizualizacja. Wyobrażasz sobie coś, a potem to wydarza się naprawdę. Wierzysz w jakąś bzdurę i ta bzdura staje się rzeczywistością. Słowo obrasta ciałem, wpada między żywych, przez usta umarłych. Prawy, lewy, złamany.

Nie pamiętam, co się działo. Siedziałem przed blokiem. Nadciągnęła zamieć. Przyszli kumple. Wszystko było niewyraźne, rozedrgane. Uznali, że mi odjechało. I słusznie. Piździło z nieba, które nie było już niebem, czarno-białe cząsteczki z domieszką sepii, by podkreślić, że wchłonęła nas bolesna przeszłość. Zaprowadzili mnie gdzieś. Nie wiem gdzie. Pewnie do siebie, żebym odsapnął. Co tam się wyprawiało – nie mam pojęcia. Może pranko mózgu, może przewijanko zwojów szarych komórek? Elektronicznie zmodyfikowany głos zaanonsował kolejną fazę projektu sfinansowanego przez Instytut Telenova. Ale czym był ten projekt? Tego się już pewnie nie dowiem. Potem przyprowadzili mnie tu. Jak długo to trwało? Straciłem poczucie czasu.

– Trochę wydobrzałem, to chciałem iść do Arka. Po notatki. – Postanowiłem ściemniać.

– Nie mogłeś poprosić, żeby on przyszedł? Wychodzić w taką pogodę? No czyś ty zwariował?! Rozchorujesz się na dobre!

Na dobre. Na dobre i na złe. Bla, bla, bla, bla. Ciężko mi oddychać, a ta mnie jeszcze zadręcza. Niechże się odpieprzy. Jestem padnięty. Wyczerpany. Jezu. Dałaby sobie spokój. Naprawdę nie dało się do roli matki wybrać z castingu kogoś lepszego? Tylko ten dożarty babsztyl uzyskał angaż?

Patrzę na nią. Patrzę jej w oczy. I co widzę?

Ona nie ma żadnych oczu. W ich miejscu tkwią dwa ślepe ekrany. W połyskującej ciemnym szkłem powierzchni odbija się moja szara twarz. Moja zakazana gęba, kojarząca się w tej chwili tylko ze śniegiem zakłóceń. Niczego niewyrażająca. Zamazana. Rozregulowana. Na swój sposób komiczna, klawa. Ciekawe słowo. Klawa. Klawiatura. Klawikord. Kordian. Jestem nowym Kordianem. Konradem. Klawo!

– P... Przykro mi... – wyszeptałem. Choć to kłamstwo. Nie jest mi przykro. To jej powinno być. Ale czemu? Nie wiem. Tak wielu rzeczy teraz nie wiem,

tylę spraw pozostaje tajemnicą, tylę kwestii stanęło przede mną potworem. Na przykład, skąd się wzięły te radioaktywne opady? Czy to opóźniony skutek katastrofy w Czarnobylu? A może jakiejś innej? Krachu na giełdzie papierów bezwartościowych? Ktoś powinien podsunąć mi jakąś wskazówkę, a nie tylko mnożyć tropy i mieszać w myślach.

To jakiś techno-koszmar, tele-thriller. Ludzie zrosnięci z telewizorami w nierozzerwalną całość. Antenki na głowach. Latające spodki okazują się satelitarnymi antenami, sygnał nie idzie z góry, tylko z trzewi Ziemi. Wszyscy nastroszeni na ten sam pojebany kanał. Na ten sam serial, który, który jest nowelą i nigdy, nigdy nie masz go dosyć. Ale ja już go nie łapię, nie odbieram. Wypadłem z życia. I co teraz? Co ze mną będzie?

Odkleiłem się od tak zwanego normalnego świata. Orbita się oddala kosmicznie szybko. Planeta jak kropka na końcu czyjegoś zdania... Dlaczego? Jeszcze wczoraj było ze mną najzupełniej OK, a teraz świat mój milczy cały blady od wzruszeń.

– Lepiej się połóż, słyszysz?

Może zaraz się obudzę i już będzie w porządku. Wstanę, ogarnę się, pójdę do szkoły, śmiejąc się jak pojeb. Hłe, hłe, hłe. Andrzejku, śmieć się, śmieć, zobaczysz jednak, że twój śmiech urwie się jak hejnał. Przyśnił ci się koszmarek. Wszystkie dzieci mają koszmaki, a szczególnie te, co sobie lubią z lufki solidnie pociągnąć. To się często zdarza.

Doły. Chore jazdy. Filmy wkręcane na zardzewiałą szpulę mózgu.

Horror. Psychodelia. Dramat.

Nastukaliśmy się, a w międzyczasie nadeszła Apokalipsa. Przybyło Czterech Jeźdźców, rozsiewają medialną plagę. I teraz już nie wiemy, czy to się dzieje naprawdę, czy to się nam tylko wydaje. Czy to jest *real*, czy jakieś sztuczne raje.

– Lepiej się połóż, słyszysz?

Za takie zachowanie, za taką jazdę to mi się należy rodzicielski wpierdol. Liść na twarz i kablem w poślady. Nie będziesz mi się tu, gnojku, szlajał po osiedlu w taką pogodę! Chono tu, wypierdku! Chono, mówię! Zaraz Pan Pasek objaśni twojej dupie, że matki trza słuchać.

– Lepiej się połóż, słyszysz?

Czuję.

Że zaraz.

Wybuchnę.

– Słyszę, kurwa! Co z tobą, kobieto?! Taśmę ci wciągnęło? No ja pierdolę! Wrzućże na luz!

Patrzy na mnie jak na nawiedzonego. Zabiłem jej ćwieka. W ciągu sekundy postarzała się kilka lat. Posiwiała. Zapadła się jak krater.

I znów mam przed sobą tę obcą twarz, straszną niczym zaciśnięta pięść. Wcześniej widziałem ją u przypakowanego kolesia pod blokiem, potem na wszystkich murach i chmurach, zaćmiła słońce, zdusiła każdą z gwiazd. Widzę ją tak wyraźnie. Ze zmarszczek na jej powierzchni staram się odczytać tajemniczy przekaz, układam je sobie w mapę, która pozwoli mi stąd uciec, znaleźć drogę na zewnątrz, o ile jest cokolwiek na zewnątrz, a nie tylko globalna wioska żrąca przez wieki wieków własny ogon. Ale nie udaje mi się. Wszystko się rozmywa. Stąd nie ma ucieczki.

– Nie trzeba powtarzać trzy razy. Jeszcze mnie nie pojebało!

Sam się dziwię własnemu wkurwieniu.

Jakbym miał w sobie bombę, dynamit. Ładunek został wtedy odpalony, tak, ta lufka była lontem, ale nie zwróciłem na to uwagi.

– Zupełnie cię nie poznaję – odpowiedziała ona, cedząc każde słowo. – Zupełnie cię dzisiaj nie poznaję.

5

Olek wrócił do domu późnym wieczorem. Mieszkał w Hucie, więc każda taka eskapada wiązała się z ryzykiem posmakowania czyjejś piąchy bądź glana. Kręciła się tu cała masa znudzonych wyrostków, którzy chętnie skroili by kogoś albo po prostu spuścili mu niezobowiązujący łomot. Agresja była dla nich jedynym lekarstwem na nudę. Olek czasem im zazdrościł, bo przynajmniej potrafili się jakoś wyładować, on zaś dzień po dniu kumulował w sobie frustrację, bojąc się, że pewnego dnia zwyczajnie mu odwali. Rzuci się wtedy szefowi do gardła, a może zrobi coś jeszcze gorszego.

Zmierzając w stronę swojej klatki, usłyszał tubalny rechot i cały aż skurczył się w sobie. Mgła była tak gęsta, że nie wiedział nawet, kto się śmieje i czy przypadkiem nie z niego. Najlepiej byłoby mieć własny samochód, podjeżdżałoby nim pod sam blok, a potem szybkim krokiem myk za drzwi i po strachu, choć pewnie jeszcze przed zapaleniem świateł cały czas dla pewności szukałby wzrokiem błysku ostrza w ciemnościach. Cóż począć, miał

prawko od osiemnastki, ale w zasięgu jego portfela pozostawały wyłącznie maluchy i polonezy, a na żaden z tych cudów techniki się nie zdecydował. Istniał jeszcze redakcyjny grat – rozklekotana micra, z wielką naklejką „Puls Podziemia” na drzwiach – tyle że nie pozwalali się nikomu rozbijać po godzinach, jedynie na wywiad albo koncert i z powrotem.

– ...i jak ten chuj tam leżał, to mu, kurwa, zacząłem skakać po głowie... – ryknął czyjś głos i zewsząd rozległy się śmiechy, jakby odbite od ścian bloków echo.

Olek starał się zniknąć pomiędzy własnymi ramionami, tyle że były one kościste, nie to, co potężne bary Pawła. Może to jakieś wyjście – przypakować, jak kolega, i bać się wszystkiego o tyle mniej, o ile większy jesteś. Olek wiedział przecież, że Paweł był zawsze mocny co najwyżej w gębie, ale odrobina sterydów i regularne treningi zrobiły z niego prawdziwy postrach.

– ...i mu wtenczas wypadły z czachy takie... zwoje jakby taśmy... – Olek nie był pewien, czy dobrze usłyszał te słowa, ale już był przed drzwiami, już przekręcał klucz, by zostawić w tyle tych patologicznych typów i o nich nie myśleć.

Automatyczną sekretarkę sprawdził chyba tylko z przyzwyczajenia. Od dawna prawie nikt do niego nie dzwonił. Odciał się od znajomych, głównie z powodu nowej roboty, ona zajmowała mu większość dnia i spory kawał wieczora. Gdyby nadal lubił to, co robił, może nie czułby się zawsze tak przybity przed zaśnięciem, może nie poświęcałby tyle czasu na rozmyślanie o alternatywnych ścieżkach, jakie mógł kiedyś wybrać. Od małego miał wprawdzie świra na punkcie muzyki, recenzje płyt czy relacje z koncertów pisał nawet do szkolnej gazetki, ale nigdy nie zastanawiał się, jak to wygląda w praktyce, w tak zwanym świecie dorosłych. Nigdy nawet przez myśl mu nie przeszło, że w „Pulsie Podziemia” trzeba będzie pisać wszystko po linii, i że od czasu zmiany na stanowisku naczelnego ten kultowy periodyk piękną miał już wyłącznie historię.

– Brak... nowych... wiadomości... – usłyszał.

Jak wczoraj. I przedwczoraj.

Na co tak naprawdę liczył? Nie chodziło mu przecież, żeby wydzwaniali dawni kumple czy koleżanki. Miał to gdzieś. W rzeczywistości szło tylko o nią, o Ankę. Odkąd się rozstali, nie odezwała się do niego choćby słowem, nie dała znaku życia. Chciała zerwać wszelki kontakt? Na to wyglądało. Tak, jakby to on był wszystkiemu winien. A jeśliby spojrzeć z dystansu – zerwanie było jej

pomysłem. Już wcześniej bywała chorobliwie zazdrosna, ale to, co się działo, gdy ich związek dotarł do rozpaczliwego końca, przekroczyło dopuszczalne granice.

* * *

– Wybierasz się gdzieś? – spytała, patrząc na niego podejrzliwie.

– Na browca z kolegą – odparł.

– I mówisz mi teraz? O... – zerknęła na zegarek – ...dwudziestej pierwszej dwadzieścia trzy?

Zagadnął ją dzień wcześniej, czy nie chciałaby pójść z nimi, ale odparła, że nie, bo ma dużo nauki. Zrozumiał, wszak zbliżała się sesja. Anka kilka godzin dziennie spędzała z nosem w *Traktacie o zasadach ludzkiego poznania* Berkeleeya i podobnych pozycjach. Niczym w transie, niezdolna do niczego poza zakuwaniem, błędziła tylko wzrokiem, gdzie nie miała przed sobą kartek. Olek ponure czasy egzaminów i zaliczeń miał już na szczęście za sobą. Dwa lata wcześniej skończył ekonomię. Zresztą, chyba tylko po to, żeby mieć jakiegokolwiek wykształcenie, móc dopisać sobie „mgr” przed imieniem i nazwiskiem. Ekonomia, marketing, zarządzanie, sranie w banie. Wszystko bez jakichkolwiek perspektyw na przyszłość, bo skoro co drugi Polak był po czymś podobnym, o jakiegokolwiek stanowisko było trudniej niż o wodę na pustyni. A Olka nawet to nie interesowało. Nic go właściwie nie kręciło, poza muzyką. Kierunek wybrał na chybił-trafił, wszyscy przecież szli na coś, często na cokolwiek. Anka odwrotnie, interesowała się filozofią już na początku liceum. Najpierw jakieś przekrojowe książki i zbiory esejów, aforyzmy Schopenhauera i Nietzschego, później na dobre się zaczęło. Te studia były spełnieniem marzeń. Olek czasami trochę jej zazdrościł, że uczy się w zgodzie z samą sobą, nie robiąc nic na siłę, jednak starał się to skrzętnie ukrywać, pocieszając się myślą, że co ona będzie robiła potem: jak nie zostanie wykładowcą, skończy na kasie w dyskoncie.

– O której planujesz wrócić? Bo planujesz, mam rozumieć?

O, jak on nie znosił czegoś takiego. Zaczepny ton, udawanie, że o niczym nie wiedziała, próba wywołania awantury, która miała się skończyć postawieniem na swoim, czyli w tym wypadku Olek powinien wpełznąć pod pantofel i nie wystawiać nosa z domu. Kurwa, w takich momentach żałował, że w ogóle jest z kimkolwiek.

Nie był naiwniakiem, już wcześniej zdawał sobie sprawę, że po zamieszkaniu razem każda wada jego czy jej ujawni się nagle ze zdwojoną siłą. Ale i tak zaryzykował, nie bez strachu o ich wspólną przyszłość. I wtedy wyszło z worka szydło, Anka okazała się skrajnie zaborcza i chorobliwie zazdrosna. Olek z kolei potrzebował luzu, przestrzeni, lżejszego podejścia do wielu kwestii. Był jeszcze relatywnie młody, nie pragnął, by miła stabilizacja zmieniła się w jakieś poronione dożywocie, bo jeśli ten związek miał wyglądać jak stare niedobre małżeństwo, to on to pierdoli, wraca na swoje.

– Pewnie do północy, może chwilę dłużej. Wiesz, jaki jest Tadek... – Tak pieprznał od czapy, przecież ona w ogóle Tadka nie знаła. – Sto lat go nie widziałem. A ponoć się zaręczył. No i tyle...

– Co tyle? Macie zamiar się schlać?

– Dajże spokój. Jeden browiec, w porywach dwa. Co ty w ogóle...?

– Tylko? Z Tadkiem?

Oho, drażnienia ciąg dalszy, czas wyjechać wiertło i wjechać się Olkowi w brzuch młotem pneumatycznym. Nie pierwszy raz zresztą. Szkoda, że nie przykuła go do krzesła i nie zaświeciła w gały gestapowską lampą, dla wyciągnięcia z niego całej prawdy i tylko prawdy. Tyle że on był przygotowany na kolejne przesłuchanie. Wiedział, że należy przede wszystkim zachować spokój, grać swoje i nie cofnąć się nawet o krok. Inaczej ona nigdy nie da mu wyjść albo znów się pożrą, jak ostatnio, a potem trzy ciche dni z klimatem jak w Auschwitz.

– Tak. Z nikim innym. Dwa browce, trzy godzinki plus dojazd.

Zmierzyła go wzrokiem, jakby podejrzewała, że jednak coś ukrywa. Starał się patrzeć jej prosto w oczy. Udawać, że wszystko jest w porządku.

Nie przejmuj się, skarbie, to zwyczajne kumpelskie wyjście. Z Tadkiem i nikim innym... No, poza Kasią. O Kasi nie mogę ci powiedzieć, bo zrobiłabyś taką gównoburzę, że zmyłoby z pokładu prosto w ocean szamba. Nawet jak w telewizji dłużej niż przez parę sekund pokazują czyjeś nogi czy dekolt, kontrolnie na mnie zerkasz, czy mi ślina nie leci, do kurwy nędzy, ślina i sperma, co nie? Nie dopuściłabyś do siebie myśli, że Kaśka to tylko koleżanka z dawnych lat, nikt więcej. Nie byłabyś w stanie pojąć, że facet może spotkać się z kimś takim na stopie przyjacielskiej, po prostu, żeby pogadać o muzyce, filmach, książkach czy związkach, czyli wszystkich tych kwestiach, o których już nie można spokojnie pogadać z tobą.

– Dobra. No to idź. Miłej zabawy. Ja tu będę kuła po nocach jak idiotka, a ty idź i szalej. Proszę bardzo, droga wolna, mój panie.

„Mój panie”. Kurwa, jak on tego nie cierpiał! Znów poczuł się, jakby miał przed sobą odmłodzoną wersję własnej nadopiekuńczej matki, która tak na niego chuchała i dmuchała, że aż dziw, że skończył jak polska wersja Normana Batesa. W takich momentach z trudem hamował agresję, starając się nie wypowiedzieć na głos kotłujących się w głowie słów: „ciebie to tylko zajebać, wariatko!”.

– Słuchaj, to serio nie jest wielkie poświęcenie, że mnie raz na pół roku łaskawie wypuścisz z domu bez... bez narzekania. – Miał już powiedzieć: bez smyczy. Bez smyczy i kagańca, ty chorobliwie zazdrosna franco. Na szczęście autocenzura działała tego wieczoru bez pudła.

– No nie jest, nie jest – odparła. – Z twojej strony zero wsparcia, ale to ty jesteś zawsze pokrzywdzony.

– Zero wsparcia? A kto niby...

– Idź już, idź, droga wolna. – Jak dobrze, że weszła mu w słowo, bo był już blisko rzucenia ostatecznym argumentem: a kto płaci za mieszkanie, w którym łaskawie możesz się opierdalać?

– Ja pierdołę – szepnęła, wychodząc, na tyle jednak cicho, że sam ledwie to słyszał.

– Lepiej weź klucze! – krzyknęła za nim. – Jak wrócisz, pewnie będę spała! Poklepał się po kieszeni. Klucze już tam były.

* * *

Mieli pójść tylko na piwo – do pubu o dziwnej nazwie „Hobb’s End” – na jednym kuflu się jednak nie skończyło. Ani na dwóch. Ani na trzech. Ani czterech. Bo po czwartym okazało się, że Tadek nie tylko się zaręczył, ale też dostał premię w robocie i trzeba również to oblać.

Nadeszły więc kolejne kolejki, robiło się coraz ciekawiej.

– Jezu, ja nigdy w życiu nie byłam aż tak pijana – powtarzała raz za razem Kasia.

– Mało żeś jeszcze, dziewczyno, widziała – odparł Tadek. – Ja... w zeszłym miesiącu... integracyjne tak zwane spotkanie, wyjazdowe... powiem wam tylko... no dam wam taką radę: nie pijcie, kurwa, z Białymstokiem. Nigdy! A...

a tak w ogóle. Ja jebię, patrz, Kaśka, na Olka... się chłopina jakoś zamknął w sobie.

Olek nie tyle zamknął się w sobie, co zatonął się w rozmyślaniach i nie dawał rady wynurzyć się na powierzchnię. Naszło go na wspominki, nostalgia ścisnęła gardło, prawie wyciskając łzy z oczu. Studenckie lata, piękne, kurwa, czasy. Piło się i ćpało, a największym problemem było co najwyżej, czy nie zarzygasz akademika. Fajnie było. Raz piwko samo, raz z białym. Raz wódeczka, raz palonko. Raz winko, a raz to nawet psylocybinka na łączce za miastem. Też zresztą z Tadkiem. Wtedy była to dla niego trochę nużąca norma, ale z dopiero teraz widział, jak chujowe stało się później życie, jak bardzo nie doceniał tego, co wtedy było. Starsi już cię nie utrzymują, większość lasek zajęta i ustatkowana, zamiast na kacu próbować wkuć jakiś materiał dosłownie godziny przed sesją, musisz od poniedziałku do piątku zapierdalać pod dyktando jakiegoś ciężkiego przyjeba. Co to w ogóle miało być? Nawet muzyka mu zbrzydła, dźwięki jakby się spłaszczyły, wokale wyprane z emocji, teksty bez przekazu i najczęściej bez sensu, może tak jest po prostu zawsze, że gdy to, co kochasz zaczynasz robić dla kasy, to pasja ci się wymyka już na zawsze.

Ostatnie lata w porównaniu z minioną dekadą wydawały po prostu wyblakłe. Wszystko zmieniło się, odkąd skończył studia, odkąd zaczął robić w tym całym „Pulsie Podziemia”, odkąd... poznał Ankę. No właśnie – to dla niej się zmienił, bo uznał, że tak trzeba. Nie chciał tego zawalić, jak mnóstwa związków w przeszłości. Tyle że on obrócił swoje życie do góry nogami, a Anka? Anka pozostała taka sama. Na początku miła, fajna i interesująca, a po miesiącach bycia razem już tylko nudna, pozbawiona wyobraźni, po prostu tak... kurewsko poukładana.

– Ej! Kimasz, stary?! – ryknął Tadek, dźgając Olka łokciem.

– Taa. Od długich miesięcy – odparł.

Nie był aż tak zalany, jak Kasia, ale trzymał się ledwo, ledwo. Połowę twarzy miał już całkiem zdrętwiałą, podpierał ją na pięści, żeby nie walnąć szczęką w blat. Miał tylko nadzieję, że nie skompromituje i nie puści zaraz panoramicznego pawia.

Z ich trójki tylko Tadek wyglądał w miarę znośnie, jakby dziś degustował co najwyżej wygazowaną mineralną. Regularne tankowanie naprawdę go uodporniło, choć w jego głosie dało się już wyczuć procenty.

– Co jest, panie kolego? Potrzebna karetka? Będą jaja... Ja cię przecież nie mogę odstawić w takim stanie do tej twojej Ani.

Już wolę do szpitala, niż do niej wracać – chciał rzucić w pierwszym odruchu, ale na szczęście się powstrzymał.

– To co, jeszcze kolejczka? Na otrzeźwienie? – Zaśmiał się Tadek.

– Dajże mu spokój. – Kasia bardziej leżała na stole, niż przy nim siedziała. Za wszelką cenę starała się jednak podtrzymać złudzenie, że tragedii nie ma. Wyglądało to zabawnie. Jej głos brzmiał trochę, jakby mówiła przez sen. Zawsze było w niej coś, co strasznie się Olkowi podobało. Coś nie do końca określonego, czego Anka z całą pewnością nie miała – jakaś swoboda, lekkość, zaprzeczenie banału. Czasem rozmyślał na jej temat. Jakby to było, gdyby... Ale zaraz stukał się w głowę i przychodziło pytanie: po co by ci to było, koleś? Wtedy uświadamiał sobie, że nie chodzi wcale konkretnie o Kaśkę, po prostu chciałby któregoś wieczoru przestać myśleć racjonalnie i zrobić coś, bo tak, bez wielogodzinnych analiz i wahań.

– Kolego, zacznasz mnie martwić. – Tadek się nie poddawał. – Nie oczekuję, że będziesz tu królem parkietu, ale bądźże bardziej... żwawy.

Olek doszedł do wniosku, że wychodzi na głupiego chuja – Tadek tak się palił do tego spotkania, a on po codziennych sprzeczkach z Anką stracił ochotę na wszystko, nawet świętowanie ze starymi znajomymi. Postanowił coś z tym zrobić – zamówił tak zwanego Speed Bulla, czyli tak naprawdę podrabianego energetyka za dwa złote z pięćdziesiątką wódki. Chłapnął na dwa razy, szybko ustawiło go do pionu, chociaż zdawał sobie sprawę, że takie eksperymenty po kilku piwach zaowocują jutro czymś tak potwornym, że rzygajcie narody.

Nawijali o niczym przez kolejną godzinę, a atmosfera w lokalu robiła się coraz bardziej senna. Kłęby papierosowego unosiły się wokół stolików niczym gęsta, nikotynowa mgła. „Hobb’s End” wydawało się momentami całkowicie nierzeczywiste. Olek rozglądał się nerwowo, podejrzewając, że coś tu bardzo nie gra – rozstawienie stolików za jego plecami zdawało się nieustannie zmieniać, do baru raz szło się na prawo, raz na lewo, a raz nawet po schodkach do podziemi.

Zmienił się knajpę, pytał sam w sobie w myślach, ale te były równie mgliste, jak miasto za szybami. Czy w ogóle siedział tu jeszcze, czy wrócił już do siebie i teraz wił się spocony w pościeli, śniąc pijacki sen? Nie wiedział. Szmer rozmów i regularne skrzypienie otwieranych drzwi tylko potęgowały

wrażenie, że rzeczywistość odpłynęła daleko. Wokół kłębiły się tłumy, ale Olek mógłby przysiąc, że tak naprawdę nie ma nikogo, sala jest pusta, a głosy zostały puszczone z taśmy.

Chciał się już zbierać, ale Tadek powiedział, że jeszcze tylko skoczy do kibelka. Nie powiedział, że „na dłużej”, a potem nie wychodził chyba z pół godziny. Olek z Kaśką zaczęli się martwić, czy nie dostał tam zawału... I właśnie wtedy, gdy siedzieli przy stoliku tylko we dwoje, do lokalu wparowało kilka roześmianych, mocno wstawionych dziewczyn. Jedną z nich była Ewelina, bliska przyjaciółka Anki.

Od razu ich zauważyła, piorunując go wzrokiem. Olek nie wiedział, jak się zachować. Maksymalnie się zestresował, co było do niego niepodobne. Czyżby aż taki się z niego zrobił pantoflarz? W końcu powiedział jej po prostu „cześć” i uśmiechnął się. Starał się zachować jak normalny, wolny, niczym nieskrępowany człowiek, który siedzi tu sobie kulturalnie z koleżanką, bo przecież tyle chyba jeszcze mu pozwala pierdolona demokracja. W duchu tak naprawdę modlił się, żeby Ewela nie nagadała potem Ance głupot. Sytuacja w domu była już na tyle napięta, że byle pierdoła doprowadzić może do wrzenia.

Ledwie godzinę później miały się sprawdzić jego najczarniejsze wizje. Ewelina oczywiście puściła do Anki SMS-a: „Pobudka, dziewczyno, ten twój baluje tutaj z jakąś blondyną!”.

Na domiar złego sygnał przychodzącej wiadomości wyrwał Ankę ze snu. Wkurwiona podwójnie, zareagowała z typową dla siebie histerią.

– Okłamałeś mnie! – Zaczęła się drzeć, gdy tylko Olek przekroczył próg ich mieszkania. – Nie byłeś wcale z Tadkiem! Ewelina cię widziała!

– Wsssale nie – odparł. – Byłem na browcach. Zero koma pięć. Z Tadkiem. Dwa ledwie wypilem, no może czyyy. Ossso ciii chodzi? Że Kaśka przyyyszła? Kole-żanka Tadka.

Gdyby nie był aż tak ululany, bardziej szczegółowo obmyśliłby linię obrony.

– Co ty odpierdalasz?! Możesz mi wyjaśnić?! Od dawna się z nią spotykasz? Za moimi plecami?!

– „Spotykasz”, zaraz tam „ssspotykasz”. – Oparł się o framugę, bo świat nie chciał przestać się kręcić, a jemu ciężko było jednocześnie utrzymać pion i się tłumaczyć. – No była z nami. No. Kaśka. I sooo? Zwyyyykła... koleżanka. Tadek ją... no, przyprowadził.

Anka jednak już przestała go słuchać, więc nawet jakby nagle wytrzeźwiał zupełnie, w niczym by mu to nie pomogło.

– Boże, jaka ja byłam głupia! Jaka naiwna! Tak się dawać zwodzić. Przez tyle miesięcy! A przecież rodzice mi mówili! Oni już wiedzieli, co z ciebie za jeden!

Nie mógł za bardzo dłużej mówić, więc spróbował ją przytulić.

Wtedy ona... uderzyła go w twarz.

To zupełnie wyprowadziło Olka z równowagi i sprawiło, że wstąpiły w niego nowe, nieznane mu wcześniej siły.

– Csss ty...?! Histeryczko popierdolona! Ja się jeszcze muszę przed... tobą tłumaczyć?! I po chuj to wszystko?!

Zaczął masować drętwiejący policzek.

– Co za głupia kurwa – pomyślał i dopiero po jakichś dziesięciu sekundach, gdy usłyszał jej płacz i trzaśnięcie drzwi, dopiero wtedy do niego dotarło, że wypowiedział te słowa na głos. Ale nie miał zamiaru przeproszać. Był zbyt zmęczony i stwierdził, że a ten moment ma to serdecznie w dupie.

Padł na łóżko, a następnego dnia obudził się w południe, nie pamiętając nawet, co robił i mówił przed zaśnięciem. Anki już nie było. Spakowała walizkę, pewnie gdy spał. Śnił koszmary o tym, że nie może wyjść z tej jebanej knajpy, bo za każdymi drzwiami zaczyna się kolejna pełna sala pełna ludzi. Swojej dziewczyny już nigdy więcej nie zobaczył.

* * *

Olek zgasił światło i walnął się na kanapę. Założył słuchawki, a potem włożył płytkę Statystów do discmana.

Kolejnej nędzy nie zniosę, pomyślał. Niechże to będzie choć przyzwoite, na więcej nie liczę.

W ciemności mocniej skupiał się na każdej nucie, był bardziej podatny na zachwyty, których tak poskapiły mu ostatnie miesiące wsłuchiwania się w rwany puls tak zwanego rynku muzycznego.

Nacisnął przycisk „play”.

Z początku nic. Piętnaście sekund ciszy.

Potem weszła gitara akustyczna, bardzo niewyraźnie. Olek poczuł się, jakby słuchał taśmy demo. Nie zwiastowało to niczego dobrego.

Po kilku akordach na szczęście dołączył wokół. Niepokojący, ale ciekawy. Miał sobie coś z gniewu Cobaina i z brawury Buckleya. Dodatkowo dało się w nim wyczuć, że wokalista prawdopodobnie cierpi na jakąś manię, czy coś w tym stylu. Śpiewał, jakby się bał, że ktoś wpadnie do studia i strzeli mu w tył głowy. Albo że pewnego ranka przyjdzie do niego dwóch tajemniczych mężczyzn, którzy powiedzą, że został postawiony w stan oskarżenia.

W pierwszej piosence uderzała surowość i prostota. Cztery chwyt, pobrząkująca gdzieś w tle gitarka. A wokół na pierwszym planie. Ale nawet gdyby koleś zapodawał *a capella*, utwór byłby naprawdę fenomenalny. Czysty, wsączany w słuchacza w formie dźwięków strach. Jakbyś wracając nocą do domu, zabłądził w ślepej uliczce, czując, że ktoś idzie za tobą i nie jest to nawet człowiek. Desperacja, ostateczność, żal po utracie. Wszystko tam było. Pośpieszna, przedśmiertna spowiedź artysty, który przegrał swoje życie, bo w młodości postawił wszystko na złą kartę. Sam tekst też był przejmujący i przeszył Olka do głębi. Mówił o samotności, odrzuceniu, porażkach odbierających resztki nadziei. I o całej tej pustce, kryjącej się pod powierzchnią wypranej z ducha cywilizacji, o Wielkim Nic, buzującym pod kulturą, sztuką, religią. Wydawać by się mogło, że to nie tyle piosenka, a wysławiana z niesamowitą wprawą treść listu samobójcy. Gdy się skończyła, Olek prawie nie był w stanie oddychać. Miał wrażenie, jakby leżał pod gruzami swojego dawnego życia i nie potrafił się wydostać.

Następna kompozycja była już bogatsza aranżacyjnie, produkcja jednak nadal kojarzyła się z demem. Całkowite *Lo-Fi*. To budziło respekt Olka, szczególnie w obecnych czasach każdy partacz wspomaga się komputerem, a wszystkie te nie umiejące śpiewać pustaki wpychają sobie do gardeł tony *vocodera*. Olek miał nadzieję, że tak będzie brzmiała cała ta EPka. Żadnych sztuczek. Niech wszyscy usłyszą, jak brzmimy w rzeczywistości.

Rzeczywistość, no właśnie... To o niej był drugi kawałek. Bas, gitara elektryczna, perkusja. Standard, tyle że nawiązujący trochę do złotej ery grunge'u, a trochę też do początków screamo. Zza ściany dźwięków próbował się przebić głos wokalisty, który tym razem oddawał się agresywnej melodeklamacji. Po prostu opowiadał o tym, że świat to gigantyczne więzienie, a każda społeczna relacja jest nową celą, czekająca na wypełnienie. Ludzkie dusze, te fragmenty, strzępy większej całości, pogubiły gdzieś wiedzę o tym, że są tylko częścią jednej, potężnej świadomości, która została rozbita, zniewolona, a przede wszystkim pozbawiona wspomnień. Zaklęta w mięsie jak

dżin w butelce, tkwiąca w materii, która jest śmiertelna, odczuwa ból, z każdym dniem coraz bardziej umiera. Tekst był więcej niż pokręcony, ale robił wrażenie. Do tego ten wokal, jakby piosenkarz wypluwał serie wersów w stronę plutonu egzekucyjnego, który zaraz przeszyje go setką pocisków.

Na płycie były jeszcze trzy utwory. Wszystkie równie świetne. A zarazem smutne, przejmujące. Jeden brzmiał niczym kawałki Joy Division z czasów *Closer*. Cała ta EPka to było dla Olka po prostu cudencko, istne mistrzostwo świata, którego zupełnie się nie spodziewał po tym więcej niż niszowym wydawnictwie.

W porywie ekscytacji stwierdził nawet, że oto słucha najlepszego polskiego bandu od czasów co najmniej Ścianki i Lenny'ego Valentino. Dawno się tak nie zjawił.

Rzucił się do komputera, chcąc jak najszybciej zgromadzić jak najwięcej informacji o kolesiach ze Statystów. Chciał pisać obszerną reckę, robić wywiad, chciał, kurwa, po prostu wszystko. A najbardziej marzyło mu się pójście na ich koncert. Po prostu musiał usłyszeć tych gości na żywo, choćby miał to nawet przypłacić swoim splunięciem niewartym życiem.

중중중

중중중중중중중중중중

1

Gdy zobaczyłam Pawła za drzwiami, po prostu mnie замуrowało. Nie wiedziałam, co powiedzieć ani jak się w jego obecności zachować. Myślałam, że to już za mną, ale gdy tylko do mnie przyszedł, tamta koszmarna scena znowu momentalnie znalazła się przed moimi oczami. Pulsująca rytmicznie czerwień, lśniący ekran, okruchy szkła spadające mi między nogi...

– Sorry za najście – wypalił i wmaszerował mi do mieszkania, jakby co najmniej do czynszu tutaj dopłacał.

Stał na środku pokoju i pewność siebie nagle zniknęła. Też było mu głupio i dziwnie, może nawet bardziej niż mnie.

– I co? Jesteś z siebie zadowolony? – spytałam w końcu. Z trudem to wydusiłam. Zastanawiałam się, kogo powinnam winić za to, co zobaczyłam i za każdym razem wychodziło, że to wszystko przez Pawła. Gdyby nie wyszukał mi na dekodерze tego gówna, nigdy...

– Zadowolony? Niby czemu? – Wyglądał, jakby to pytanie zupełnie zbiło go z tropu. Skurczył się, przygarbił, cwaniacki uśmiezek zniknął gdzieś, szkoda że nie bezpowrotnie. Był teraz tylko zagubionym chłopaczkiem, który nie ogarnia, co się wokół niego dzieje.

– Gdybyś nie przylaźł tu i tego nie włączył, nigdy nie zobaczyłabym... tego czegoś!

– Słuchaj, Anka, sama mi przez telefon powiedziałaś, że już nie oglądasz. Ja też wołałbym tego nie widzieć. Ale zobaczyłem. I cieszę się, bo przynajmniej, kurwa, wiem już, że nie jesteśmy bezpieczni.

– A co ci mówiłam?! Przecież wiadomo było, że to nie żaden monitoring założony przez ochronę, tylko lepsze skurwysyństwo.

– Muszę się dowiedzieć, jak to zrobili...

– Co takiego?

– To jest głębsza rozkmina, niż można zakładać. Myślałem, że ktoś se robi jaja i nagrywa na żywca różnych dziadów, ale tu się zaczęły nagle odpierdalać rzeczy niepojęte i...

– I co?! Tak cię zafascynowali, że opłacisz w Telenovie droższy abonament?! – Nie mogłam uwierzyć, że jest tym aż tak podekscytowany. Ja byłam przerażona, zszokowana, było mi tak źle, jakbym właśnie się dowiedziała, że ktoś mnie naćpał i zgwałcił, nie mogłam jeść ani spać. A Paweł to traktuje jak jakieś... wyzwanie. Jakby zaczął rywalizować w konkursie „Kto jest większym pojebem” z nowym przeciwnikiem – niewidzialnym reżyserem ze stacji, która nawet nie ma nazwy.

– Nie żartuj, bo to na pewno na tym się nie skończy. Chora scena chorą sceną, chuj teraz z nią i krzyżyk na drogę. Ale pomyśl, jak to zostało nagrane. Przecież tam były efekty specjalne i charakteryzacja, jakich by się nie powstydzili kumple Cronenberga. Ktoś wyłożył na to kasę, ktoś wykonał robotę, tylko po to, żeby nas...

– Gówno prawda! – odparłam. – To nie były żadne efekty. To mi się wcześniej przyśniło. Miałam identyczny koszmar i oni zdołali go w jakiś sposób nagrać, wygrzebać mi z pamięci, a potem puścić na antenie. Jezu, jak pomyślę, że mogli to zobaczyć inni mieszkańcy, po prostu mnie skreć.

– Nie sądzę. Audycja raczej idzie tylko po lokalnej. Bo jak nie, mogli to widzieć wszyscy w mieście albo nawet województwie. A może i w całej Polsce...

W to akurat nie wierzyłam. Program od początku wydawał mi się mocno niszowy. W sam raz dla wielbicieli porno-horrorów, ale nie dla przeciętnego widza, który włącza odbiornik, żeby się rozerwać, a nie zadręczać. Jeśli szefostwo Telenovy puściłoby coś takiego w ogólnopolski obieg z pełną odpowiedzialnością, posypałyby się skargi i firma zaraz by padła. Bardziej prawdopodobne, że ktoś im zajął pasmo. Tylko po co i jak?

– Ale chwila... Co ty mówisz, że ci się to śniło?

– Po ludzku. Noc wcześniej przyśniła mi się dokładnie ta scena. Uprawialiśmy seks, będąc obrzydliwymi mutantami, ludźmi-telewizorami.

Może tylko mi się zdawało, ale na moment Paweł chyba się uśmiechnął. Pomyślał, że na niego lecę, tylko dotąd starałam się to ukryć? Mogłam mu nic nie mówić, dalej by uważał, że to robota zawodowców, a nie dzieło mojego wyczerpanego bezsennością mózgu.

– Kurwa... To jeszcze gorzej. To... to już naprawdę nie mam pojęcia, jak oni to zgrali na taśmę... z twojej głowy.

– Ja też nie wiem – odpowiedziałam, przypominając sobie, jak pod prysznicem obmacywałam sobie dokładnie całą głowę, szukając pod skórą chipów i innych nadajników. Wpadłam w taką paranoję, że uznałam, że ktoś mi coś wszczepił w czaszkę – kosmici, agenci czy cholera ich wie – i jest teraz w stanie kopiować moje myśli, sny i całą resztę. Niczego nie wyczułam, co zdołowało mnie jeszcze bardziej. Bo lepsza byłaby najbardziej absurdalna odpowiedź, niż żadna. – Ale mam zamiar się dowiedzieć. Nie zostawię tak tego.

– A niby jak zamierzać znaleźć twórców tego śmiecia?

– No, rusz mózgownicą.

Podrapał się po czole, wzdychając. Zawsze tak robił, gdy nad czymś usilnie rozmyślał. Wyglądało to naprawdę komicznie, jak u bohaterów filmów klasy B, którzy uciekając przed zabójcą, rozważają, czy lepiej ukryć się w lesie, nawiedzonym domu, czy może na cmentarzu.

– Iść z tym na psiarnie? Eee, sam nie wiem...

Parsknęłam śmiechem.

– Przecież nie na policję, idioto. Ci by nas wysłali do psychiatrika.

– No to jak?

W najprostszy sposób, kołku. Najprostsze rozwiązania są przecież zawsze najlepsze.

– Najpierw trzeba się przejść do siedziby Telenovy i wy badać sprawę. Może już były skargi, może odkryli, że ktoś im zagłusza pasmo i wpuszcza swoje brednie w eter... Sprawdzimy. Jeśli nie wiedzą, to ich uświadomimy. Potem powinno się szybko potoczyć: namierzyć sygnał, dorwać kolesia, który za tym stoi i się z nim skonfrontować. Na pewno nie będę siedzieć beczynnie i stawać się pośmiewiskiem.

Po jego minie wciąż było widać, że nie jest przekonany. Może lepiej byłoby zapomnieć o całej sprawie i udawać, że nic się nie stało?

– Aaa... ten... A sprawdziłaś już mieszkanie? – spytał.

– Żadnych kamer ani mikrofonów tu nie ma.

– U mnie też. Kurwa... czym oni nas filmują? Chipy mamy w głowach, zgrywają nam obraz z oczu?

Zaśmiałam się, ale to też był mój pierwszy pomysł.

– Zostałyby blizny, a poza tym chipy pod skórą da się wyczuć. Wygląda więc na to, że nie filmują nas niczym. Po prostu mają nas na taśmie i tyle.

– Ale czemu padło akurat na nas?

– Nie wiem. Może był *casting*, na który nas nie zaprosili, a i tak wygraliśmy. – Zamiast się uśmiechnąć, Paweł tylko chrząknął, przestępując z nogi na nogę, jakby mu się zachciało do toalety. – Masz robotę dziś wieczorem?

– Nie. Do jutra klub nieczynny.

– To możemy iść do Telenovy nawet zaraz.

– A...

– Co? Masz lepszy pomysł?

– Nie, nie o to chodzi, tylko że... No, włączałaś to jeszcze potem? Po... no wiesz?

Korciło mnie, bo ludzie mają taką dziwną cechę, że do wszystkiego, co chore, lecą jak muchy do gnoju. Ale wzięłam na wstrzymanie. Bałam się, że zobaczę coś jeszcze gorszego, psychodelę nieznaną barier, i skończę w kaftanie.

– Nie. Masz mnie za jakąś wariatkę?

– Może powinniśmy.

– Po co?

– Nie jesteś ciekawa?

– Nie, ale jak chcesz, to sobie włącz.

Chciał, bardzo chciał. Złapał się na haczyk obrzydliwości, na który różne stacje złowiły już miliony widzów. Dwustukilowe lesbijki bijące się u Jerry'ego Springera. *Nieustraszeni* zzerający karaluchy, larwy, dżdżownice, ze spokojem żujący końskie odbyty. Zapraszany do rozmaitych *talk shows* „mistrz rzygania w dal”... A teraz to. Coś nowego, obleśnego, co może wydarzyć się nawet na twoim osiedlu. Po prostu MUSISZ to zobaczyć.

Włączył telewizor, na pilocie wcisnął dwójkę, a potem trójkę. Czułam się, jakby czekała na wyrok w gabinecie lekarza. Miałam ochotę uciec z tego miasta i nigdy nie wracać.

Na ekranie zobaczyliśmy kilkunastoletniego chłopca. Siedział na parapecie. Nogi wystawił przez okno i beztrąsko nimi wymachiwał. Całkiem sympatyczny. Zachowywał się, jakby miał wszystko gdzieś, jakby niczym się nie przejmował. Nie wiem czemu, ale na jego widok pomyślałam, że pozory mylą. On wcale nie jest beztrąski, coś go gnębiło i nie dawało spokoju.

– Teraz znowu w drugą stronę poszli – stwierdził Paweł. – Zamiast pornoli, seriale dla dzieci i młodzieży.

Nie byłabym taka pewna, dodałam w myślach.

Twarz chłopca przybrała nowy, zacięty wyraz. Tak wygląda ktoś, kto nie ma nic do stracenia. Zwierzę w reflektorach samochodu, które wie, że od śmierci dzieli je ułamki sekund.

Chłopak spojrział w niebo, wyszeptując trzy słowa:

– Prawy, lewy, złamany.

A potem skoczył.

– Boże – szepnęłam.

Kamera śledziła spadającego chłopaka aż do momentu, w którym roztrzaskał się o chodnik.

Potem był jeszcze wywołujący mdłości *zoom* na ciało samobójcy. Otwarte złamanie nogi wyrwało dziurę w spodniach. Krew wylewała się z ust dziecka, gęsta i ciemna. Ze zmiażdżonej, zapadniętej czaszki wyciekała na płytki chodnika czerwono-szara maź...

– Wyłącz to! – krzyknęłam.

Zanim Paweł zareagował, ekran zamigał parę razy i ujrzeliśmy samych siebie. Program szedł na żywo, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Paweł i ja, chorzy ze strachu, roztrzęsieni. To było tu i teraz, perfekcyjna kopia oddzielona od oryginału wyłącznie cienkim szkłem. Ekran odbijał nas jak czarne zwierciadło. A ja zaczęłam się zastanawiać, czy to my jesteśmy prawdziwi, czy może tamci, którzy myślą pewnie dokładnie to samo.

2

Stoję przed lustrem, stukam palcami w szkło, zastanawiając się, czy w którymś momencie moje palce wnikną do środka, tak po prostu.

Gapię się w odbicie, mrużąc oczy jak rewolwerowiec przed pojedyńkiem. Właściwie sam już nie wiem, sam już nie jestem stuprocentowo pewien, czy to na pewno moje odbicie. Może czyjeś? Kogoś innego. Bo i ja jestem ostatnio inny. Zostałem podmieniony. Coś wypelzło z mroków ekranu i zajęło moje miejsce, zaszyło się w mojej skórze i teraz podszywa się pode mnie. To wciąż ja, ten gówniarz, który nigdy nie zrobił nic pożytecznego? Nie, mnie przecież wcale tutaj nie ma. To już nie ja, nie ma szans. Ja tam się kończę, gdzie to się

zaczyna, czymkolwiek jest i skądkolwiek przybyło. Wyssano mi osobowość, wydrenowano do cna. Moje paznokcie niczym nie różnią się od szkła, w które stukają, bo wszystko zrobione jest z tego samego. A jak się obudziłem, widziałem pod skórą na ręce migające, czarno-białe piksele, widocznie ta wczorajsza zamieć mnie sobą zaraziła. To wszystko mi się tylko wydaje. Same majaki na jawie. Zostałem uwięziony w tym ciele jak w celi. Co za straszliwa tortura, nie wymyślili by takiej ani Cenobici, ani koleś z Piły. Bo jak ci urzną nogę siekierą albo wbiją igły w powieki, to może i cię boli, ale nadal jesteś tą samą osobą. A ja samego siebie pogubiłem gdzieś po drodze, teraz tu tkwię, w celi z mięsa, a moje kości to kraty. Nie wydostanę się. Nigdy. Musiałbym wyjść z siebie, żeby znów być sobą – tym dawnym.

Idę do kuchni.

Biorę nóż z szuflady.

Dobrze. Jest właściwie dobrze. Dziś też nie musiałem iść do budy. Matka widziała, jak źle ze mną. Powiedziała, że do końca tygodnia mogę zostać. No i chuj. I tak mi się nie chciało. W ogóle ostatnio nie mam na nic ochoty. Tylko siedzieć w domu, siedzieć, siedzieć, siedzieć. I najchętniej walić łbem w ścianę. Ale przecież głową muru nie przebijesz! Rzeczywiście czuję się tu jak w więzieniu, bez prawa do odwiedzin, bez możliwości pełzania po osiedlowym spacerniaku. Ale widocznie tak trzeba.

Na zewnątrz jest niebezpiecznie. Tam skrywa się wielu wrogów, wielu szpiegów. Oni by mnie zaraz otoczyli, obleźli jak robactwo. Zabrudziliby mnie swoimi łapami. Brudne łapska. Tylko tu, wewnątrz mojej pustelni, mogę pozostać czysty. Nie wolno mnie dotykać.

Nóż ma długie ostrze, w którym odbija się moja twarz. To dobrze. Taki właśnie mi potrzebny.

Idę z nim do łazienki.

Patrzę na przedramię, pod skórą znów migają czarno-białe piksele, widzę też jakiś zarys, coś większego mi tam wpęzło.

Rozbieram się do naga.

Odbicie robi to samo. Za grosz oryginalności. Tylko małpuje, kopiuje. To jest kopia, która szuka odpowiedniego momentu, by mnie wykończyć. Ja wiem. Dobrze wiem, o co tu biega. Przejrzałem ich. To międzynarodowy, a może nawet międzyplanetarny spisek. Oni wszyscy chcą tylko mojego upadku. Obmyślali to latami. Całymi stuleciami zastanawiali się, jak sprawić, by Wszechświat stał się machiną, która mnie zniszczy, gigantycznym

łamaczem kończyn, potężnym zegarem, w którego tryby wetknięto mój biedny czerep. Ale ze mną nie ma tak łatwo. Ja się nie dam, nie poddam. Ból mi niestraszny, psychiczny czy fizyczny – nieważne. Cierpienie jest do oswojenia, ta bestia przecież kiedyś straci zęby, odechce się jej wgrzyzania w moje kości. A szpiegdy też w końcu zdechną. Całe ulice szpiegów, całe szkoły. Nauczyciele mogą dowodzić tą akcją. To prawdopodobne. Zawsze knuli przeciwko mnie. Ty się do niczego nie nadajesz, Andrzej. Ten Andrzej znowu fatalnie się zachowuje. Nie ma ojca, nie miał go kto wychować. To wezwijcie matkę. Kto cię tak nauczył imbecyłu? On znów rozmawia na lekcji. Znów to, znów tamto. Znów, znów, znów. Andrzej, oj, Andrzej.

Ubranie już na podłodze, skóra zrzucona przez węża. Z nadgarstka dobiega cichy syk.

Pierwsze cięcie. Na próbę. W poprzek klatki piersiowej. Nieodwołalne jak filmowy klaps.

Płytkie.

Dopiero po chwili pojawiają się małe kropelki krwi. Krop. Krop. Kropelunie.

Kropelunki.

Każda kropla jak kropka.

Nad i?

Nie.

Siadam na kiblu i tnę przedramię. Tym razem głębiej. W miejscu, gdzie najbardziej śnieży.

Jak głęboko jeszcze? Jak stamtąd wywlec to gówno na światło dzienne? Krew skapuje na podłogę. Czerwone plamy na kafelkach. Czerwone smugi na białej skórze.

Jestem teraz biało-czerwony. To zabawne, jak akcja Teraz Polska. Jestem oryginalnym produktem wysokiej jakości. Sam siebie takim nie stworzyłem. Jestem dziełem przypadku, splotu dziwnych okoliczności. Mój ojciec nie był ostrożny, a pewnie był złośliwy, a może tylko nie wiedział. Moja matka była wtedy zamroczona, a potem było jej żal. I teraz ja czuję ten żal, który niczym pętla zaciska mi się na szyi. Pętla, zapętląć, rozwiązywać, zszywać... Rozpętląć kolejne zagadki świata. Rozwiązać kaptur kata... I zobaczyć pod spodem jego szklaną twarz.

Słowa są takie dziwne.

Po co nam one?

Tnę głębiej. Potem upuszczam nóż na podłogę.

Kciukiem i palcem wskazującym chwytam za skraj tego czegoś i powoli wywlekam to spod skóry. Całe we krwi. Co to jest, do cholery?

Odwijam trochę papieru z rolki i przecieram ten ciemny prostokąt. Zakrwawione kawałki lecą na podłogę, wyglądają cudownie, biało-czerwone róże, nawet z takiego gówna jak srajtaśma idzie robić cuda.

Stukam palcami w to coś. Jaśniej, biały prostokąt w ciemnych ramach. To ekran, tyle że mały. Stukam mocniej. Na środku robi się z pikseli czarna chmura, z której postaje ludzik.

O w kurwę! Przecież to gra!

Przesuwam palec na prawo, a ludzik podąża za nim. Chociaż jest prosty, składa się z kilku pikseli na krzyż, porusza się zajebiście, jakby twórcy całą kasę wydali na animacje.

Przed ludzikiem pojawiają się schodki. Żeby na nie wskoczył, muszę stukać opuszkami, coraz szybciej i wyżej. Na samym szczycie jest jakaś dziura, trochę jak studnia. Nie wiem, czy mam ją przeskakiwać, czy nie. W Mario Brosie były w rurach nieraz ukryte przejścia pełne złotych monet, to może trzeba i tu zaryzykować.

Każę ludzikowi wskoczyć do dziury, a on szybkim krokiem tam zmierza i jak tylko wskakuje do środka, krawędzie ten studni zaczynają się kurczyć i zmniejszać, a ludzik nie spada na dół, tylko rozpaczliwie majta nogami w powietrzu, aż zamiera.

To nie była żadna dziura, tylko pętla.

– O wy jebańce, dałem się wam nabrać – szepczę, śmiejąc się jak dziki.

Zaczynam stukać w ekranik, żeby zrobić restart, bo chętnie bym sobie zagrał jeszcze nie raz.

– Jezus Maria! – krzyczy ktoś.

– Ćśśś – mówię. – Potrzebuję ciszy. Dźwięki nie są tu mile widziane. Niech wyjdą, niech czekają na swoją kolej. Mu ty teraz gramy.

Podnoszę wzrok, patrzę przed siebie.

Co się dzieje?

To matka. Stoi w progu łazienki. Ręka przy ustach.

Pomnik, kurwa, zaskoczenia. A przecież miała wrócić później.

Patrzę na rękę. Wszędzie krew. Gra zniknęła.

* * *

Była awantura. Był lament. Było odsądzanie od czci i wiary.

Bo matce ciężko coś przegadać. Nie idzie jej wytłumaczyć, że tnę, bo chcę zobaczyć, co jest pod spodem, pod skórą. No kurwa. W końcu to moje ciało, moja powłoka, moja prywatna własność. Stara pytała, czy zwariowałem. Otóż nie, ja sobie tylko chciałem zagrać dla zabicia czasu. To ona zwariowała, to ona rozwiodła się z ojcem, zanim zdążyłem go poznać... Po prostu robię takie eksperymenty, nie widać? Jak każdy młody i zdolny naukowiec. Choć może niezupełnie zdolny, w końcu jestem chujowy ze wszystkiego, co się w tym biznesie liczy, z fizyki, biolcy, chemii, no ja cię pieprzę. Ale siebie mogę badać. Przynajmniej tyle. Nie ma bata. Mogę analizować. Policzyć ostrzem żebra. Porozcinać żyły. Patrzyć, jak skóra zwija się, gdy już dotknie jej chłodny metal, gdy już...

– Byłam dziś u twoich kolegów – mówi.

– Tak? To fajnie. Mili chłopcy, c'nie? Zajebicie mili.

– Nie przeklinaj chociaż, proszę cię.

– Dobra, dobra. Spokojna już twoja nieuczesa. – Śmieję się, skrobiąc bandaż, którym mi owinęła przedramię. Na szczęście nie uszkodziłem żył, więc nawet nie trzeba było dzwonić po karetkę, mimo że matka w pierwszej chwili chciała mnie wywieść do Kobierzyna.

– Rozmawiałam z nimi o tobie. Oni też widzą, że coś jest nie tak. Ostatnio nikt cię nie poznaje. Nawet znajomi. Zmieniłeś się zupełnie. A ja – głos jej się łamie, łzy ciekną – ...a ja już nie wiem, co mam z tobą robić. Ja się... ja się tak strasznie o ciebie martwię.

– Ej, mamuśka, mamuśka. Ja też siebie nie poznaję. Nie ma o co beczeć. Każdy sam żyje i tak też umiera – stwierdzam, a potem zaczynam tak trochę rapować. – „Sam, jak palec, co dobrze nie wróży. Obcy jak ósmy pasażer podróży...”.

– Przestań. Posłuchaj mnie.

Jest trochę zbyt poważna. Jak na pogrzebie. Dobra, niech gada. Wyżali się, to jej przejdzie. Pewne słowa muszą paść, to jak odstrzał szkodników, sezonowa akcja. Może faktycznie moje odpały to było trochę przegięcie? Muszę pamiętać, że ona jest jedną z tych, no, normalnych. Nic nie wie o otaczającym ją świecie, mało tego – nie chce wiedzieć. Dla niej tylko – praca, zakupy, *M jak miłość* albo *Na dobre i na złe* po południu. Muszę postarać się zrozumieć człowieka prostego, który nie widzi zła, nie słyszy zła i o nim nie

rozmawia. Muszę zrozumieć człowieka ślepego, głucheego i niemego. Który tak długo siedział przed telewizorem, kompem czy czymkolwiek, aż mózg skurczył mu się do rozmiarów fistaszka. I muszę się z nim porozumieć. Przekazać mu swój sygnał S.O.S. Nadać wiadomość tekstową, że ktoś nas tutaj robi w chuja.

– Ci twoi koledzy... Kazek i Arek. Oni mi wszystko powiedzieli. O tych narkotykach.

– O narkotykach? Niby jakich? – zdziwiłem się. Jak świat światem nigdy nie miałem nic wspólnego z narkotykami. Tyle co z mercedesami. No chyba że mówimy o miękkich – to co innego, to żaden problem, Monar nie jest potrzebny, żadne interwencje i gorzkie żale także odpadają. Temat, przyznaję, trochę mnie wessał. Bo co wchodzi w łufkę, to wchodzi w główkę, ach lekko, ach łatwo, niczym kredka w temperówkę! Ale od przypalania raz w miechu do uzależnienia są nie tyle kilometry, co wręcz lata świetlne.

– Przyznali się, że palą marihuanę. A ty z nimi.

– Co? Tak ci powiedzieli? I jak tu chujom ufać...

– Nie klnij. Ostatni raz cię proszę. Przeklinasz coraz więcej.

– Dobra już, sorry...

– Nie chodzi nawet o to, co wy robicie. Chodzi o ciebie. Coś się z tobą stało. Dziwnie się zachowujesz. A jak cię zobaczyłam... z tym nożem... Dlaczego chciałeś to zrobić, synku? Dlaczego chciałeś się zabić?

– Zaraz, zaraz! Jakie zabić?

– Powinnam cię była zabrać do szpitala, ale ty powtarzałeś, że się zabijesz, jeśli tylko spróbuję...

– To? A tak tylko gadałem. Jeszcze brakuje, żeby mnie uznali za jakiegoś pojeba. Wtedy dopiero będzie w szkole beka, że Andrzejek chciał być taki przechuj, a go u czubków przymknęli.

Nawet się nie zaśmiała. Nic z tych żartów nie kuma. Ale z niej ponuraczka. Zmieniła się, bardzo. A zrzuca winę na mnie. Że to niby ja jestem inny. No i przegadaj tu takiej. Ubzdura sobie coś i amen.

Cały świat zrobił się nagle taki jakiś. Nie do poznania. Wczoraj biały, biały welon, jutro białe, białe włosy. A ja już mam tego serdecznie dosyć. Teraz jeszcze kłopot ze starą. Co z nią? Może jest chora? Może ma doły? Snuje te swoje teorie spiskowe jak pajęczycyca snująca nudną nić, bo nic lepszego nie ma do roboty. Aż wyć się chce.

– Umówiłam ci wizytę na jutro. Zobaczymy, co powie lekarz.

– Jaki lekarz? Co ty teraz...

Nagle poczułem się, jakbym był otoczony przez wielką bańkę, która tamuje wszelkie bodźce docierające z otoczenia. Jak jedna z tych zabawek. No wiecie. Potrząśnij kulą i zobacz, jaka się zrobi zamieć. Matka teraz trzęsła kulą. Nadciągała burza śnieżna, prawdziwa zamieć. A ja byłem tu sam, niezrozumiany. Zimno mi było. Czułem się nagi, naprawdę. Obrany ze skóry do gołych nerwów, czy może raczej kabli. Choć czemu? Przecież miałem ubranie. Lecz w zupełnie innym sensie byłem... odarty... Moje wywleczone na zewnątrz nerwowe styki czuły wszystko ze zdwojoną siłą. Tak wrażliwy na wszystko nie byłem jeszcze nigdy. Zbierało mi się na płacz.

– Zapisałam cię na wizytę u psychiatry.

Zamieć właśnie się zaczęła. Śnieg zakłóceń. Wyładowania elektryczne. Zgaszony ekran nieba, nigdy mnie nie słuchał, a teraz przestał nawet do mnie mówić.

– Co?! To ty myślisz, że ja serio jestem pierdolnięty?!

Wstałem.

Nie wiedziałem gdzie iść, więc usiadłem.

Ciężko mi było oddychać.

Co jak co, ale tego się nie spodziewałem. Wszystkiego, ale nie tego. Żeby własna matka.

– Spokojnie. Nikt cię nie uważa za wariata.

– Nie? To na chuj ten lekarz?

Zacząłem drapać się po twarzy. Przeszkadzała mi, jak zbyt ciasna, gumowa maska. Marzyłem, by zdjąć z siebie to niewygodne gównno. Bez niej byłoby o wiele lepiej.

Nie przestawałem się drapać. Wszystko do mnie docierało, ukryte wcześniej sygnały, którymi buzowała każda rzecz, każde najdrobniejsze wydarzenie. Życie aż roi się od takich znaków, wystarczy się wsłuchać, wpatrzeć.

– To nie tak. W tych czasach wielu młodych ludzi ma problemy i... i nieraz muszą tylko z tym o kimś porozmawiać. Kocham cię i się martwię. Ale wierzę, że wszystko się ułoży. Musisz tylko...

– Ja nie mam żadnych problemów – powiedziałem.

Było mi duszno. Bańka kurczyła się. Zaraz mnie zmiażdży. Już jest tak mała jak hełm astronauty. Malutka, malutenka. Jestem zwykłym astronautą, tu, na tej obcej planecie. Mały kroczek dla człowieka, ale wielki dla ludzkości. Tylko

czy to na pewno był krok w dobrą stronę? Bo czuję bardziej, jakby się oddalał, a nie przybliżał do jakiegokolwiek celu.

– To ty masz problem! – ciągnąłem. – Ze sobą! To ty jesteś chora psychicznie! Nie ja. Słyszysz? Ja jestem całkowicie zdrowy! Zdrooowyyy!

Zacząłem krążyć po pokoju wykrzykując słowa, które miały potwierdzić, że tak naprawdę wszystko ze mną OK, że nie ma się o co martwić.

– Błagam, synku, usiądź. Czemu nie możemy porozmawiać jak normalni ludzie?

– Pewnie. Jestem normalny – powiedziałem najciszej, jak tylko się dało, żeby w ten sposób potwierdzić swoją normalność.

A więc jednak spisek. Przeczuwałem to. Chcą mnie zrobić. Wsadzić do czubków. No jasne. Tam nie będę im zagrażał. Będą mogli bez żadnych przeszkód czynić dalej to swoje zło. Żlić się. Złorzeczyć. Niszczyć świat. Ogryzać kości biednego Stwórcy, aż do szpiku światłości...

I matka również będzie w tym uczestniczyć. Bo ona jednak też jest w to zamieszana. No tak. O tym nikt mnie wcześniej nie poinformował. Choć w nocy Bóg mówił, że mogą być problemy, powikłania. Powikłania. Dziwne słowo. Powikłać. Wikłać się. To chyba znaczy zaplątać się w coś. Zaplątałem się, fakt. W świat, w ludzi. Jak w gąszcz. Brodzę w tym po pas, niczym w szambie. Bóg mówił, że to On jest moim prawdziwym ojcem i to wcale nie jest tak, że mnie opuścił, porzucił naszą rodzinę. Cały czas nad nami czuwał. Miał na nas oko, tyle tylko, że ono wyglądało zupełnie jak telewizor. A teraz chciał prosić o pomoc. Opowiedział, że ludzie zostali omamieni przez Szatana. O tym wiedziałem już wcześniej. Myślałem jednak, że nie będę musiał w tym całym Piekłe uczestniczyć. Niech to się kręci beze mnie, ten interes, ten diabelski młyn. Ale niestety. Bóg mówił, że tylko ja mogę uratować ludzkość, bo tylko ja znam fakty. Zaprawdę, Andrzejku, kto nie stąpał po ziemi ni razu, ten nigdy nie może być w Niebie. Zstąp więc. Niech zstąpi duch twój i odnowi oblicze Ziemi. Tej Ziemi. Nie możesz odcinać się od świata. Musisz wrócić z wygnania. Przez podziemne labirynty, mgliste telewizyjne kanały, surfując na radiowych falach. Powrócić na łono swego miasta, by odmienić je raz na zawsze.

Marzyciel z ciebie, Andrzejku. Wydawało ci się, że skryjesz się przed Apokalipsą we własnym mieszkanku, w celi czterech ścian, zagrzebiesz w tym mięsie, tych kościach i nikt cię nie wykopie. Ale nie. Nie ma tak łatwo. Musisz ich uratować. Tych, których się da. Ty jeden możesz. Musisz. Ty jeden jesteś

w stanie. Sam. Samotna misja. Tu cię powołał Pan. Zaprawdę. Powołał cię Pan na bunt. Klęska. Armagedon. Szatan. Zmartwychwstanie. Ty. Ty jeden.

Szum uderza we mnie jak spieniona fala.

3

Anka i Paweł mieli wrażenie, że zostali sami w mieście. Niebo pociemniało, latarnie jeszcze nie zdążyły się pozapalać, a oni na żadnej z mijanych ulic nie spotkali zupełnie nikogo.

– Pamiętasz *Jestem legendą*, Anka? Myślisz, że wszyscy tu umarli, czy raczej są wampirami? – Zaśmiał się w którymś momencie Paweł, ale dla niej to było zabawne, tylko straszne.

Gdyby ktoś spytał ją jeszcze parę minut temu, odparłaby, że to właśnie ona i Paweł tak naprawdę umarli, a teraz wędrują przez gasnące miasto, szukając tego osławionego tunelu, na końcu którego czeka pocieszająca światłość. Tyle, że jak zaczęła się baczniej rozglądać dookoła, w niektórych oknach zauważyła charakterystyczny, sino-srebrny poblask i wtedy ją olśniło. To miasto wcale nie wymarło, to nie śmiercionośna plaga odpowiadała za brak przechodniów. Przecież o tej porze w telewizji szły najlepsze seriale i najciekawsze programy informacyjne. Tylko ich dwójka była na tyle głupia, by włóczyć się po zaułkach szarej, zroszonej mżawką i pomarszczonej od chłodu rzeczywistości, reszta przeczornie została w domach.

Zerknęła na Pawła – oczy przekrwione, rozbiegane, jakby szukające ekranu, na którym mogłyby zawiesić wzrok, zaciśnięte zęby i pięści. Od dawna się garbil? Czy jego mięśnie naprawdę zmalowały aż tak bardzo w ostatnich dniach, czy tylko się Ance zdawało.

Przed nimi kolejna bezbarwna ulica w samym sercu burej jak psi sen metropolii. Dziwne, że Telenova akurat tutaj urządziła sobie siedzibę. Zżerane przez czas i smog kamienice umierały jedna po drugiej, młodzi wyprowadzali się, a starzy od jakiegoś czasu po prostu znikali, na słupach i latarniach wisiały zdjęcia zaginionych: „Kochana Babcia”, „Mój Najdroższy Dziadziuś” i tak dalej. Nikt nie wiedział, co się z nimi działo. Uciekali gdzieś, zmieniali się w parę, w dym? Ktoś ich stąd wywoził, a może po prostu w wielu mieszkaniach załęgły się czarne dziury, wciągając w siebie domowników? Za część zaginięć

z pewnością odpowiadała demencja, człowiek wychodził w środku nocy do sklepu i zapominał drogi powrotnej. Ale co z resztą?

Nad głowami ciężkie od chmur niebo, a na splekanych murach z obu stron piętrzyły się kolorowe bazgroły i wypisywane sprayem nonsensy, wprowadzając nieco dodatkowych kolorów w monochromatyczną paletę otoczenia. „Tatuś mi włożył swój palec boży”, „A.O. robi wam K.O.”, „To, że jesteś paranoikiem, nie oznacza, że nie chcą cię dopaść”. Paweł czytał na głos i parskał śmiechem raz po raz. Anka patrzyła już tylko przed siebie, gdzie na końcu tego groteskowego tunelu nędzy i rozpacz, migał zielony neon Telenova, wiszący nad wejściem jednej z bram.

Już wcześniej ustalili, że na starcie nie wspomną nic o pornograficzno-koszmarnej scenie, którą mieli nieprzyjemność oglądać. Chcieli tylko spokojnie zapytać o program nadający relację z ich osiedla, nic więcej, przynajmniej dopóki nie dowiedzą się, o co w tym wszystkim może chodzić. Gdyby pracownicy firmy przyznali się do celowego nadawania takiej audycji, wtedy można będzie pociągnąć ich za języki.

– Może ty mów. Co, Anka? – spytał Paweł, gdy z bramy przypominającej opuszczone gniazdo lokalnych meneli weszli w słabo oświetlony korytarz śmierdzący środkami czyszczącymi z niższych półek.

On dalej jest dzieckiem, pomyślała Anka. Takie samo pytanie usłyszała w czwartej klasie podstawówki, kiedy razem z kolegą rozbili niechcący szybę w szkolnej gablocie i zmierzali do gabinetu dyrektora. Mężczyźni się nie zmieniają, wywnioskowała. Robią się wyżsi i grubszy, rośnie im zarost i zasób przekleństw, których używają, ale nic więcej.

– Jak tam chcesz. Przywykłam już, że faceci w kluczowych momentach zapominają języka w gębie.

Gdyby spojrzenia mogły zabijać, to już leżałaby na podłodze. Paweł poczuł się więcej niż dotknięty, że nastawienie Anki do niego nie zmieniło się nawet po tym, czego obydwójce byli świadkami. Prawdę mówiąc, odkąd zobaczył tamtą poronioną scenę, odeszła mu cała ochota na podrywanie Anki, przynajmniej na razie. Tak musi czuć się ktoś, kto pewnego dnia zatrul się ulubiony daniem – tyle pięknych wspomnień wyblakło w jednej chwili i od tej pory na sam widok wszystko, łącznie z sercem, podchodzi ci do gardła. Koszmarne wizje wypełzły z ekranu i uwiła sobie wychodne miejsce w jego podświadomości, momentalnie przekreślając całą wspólną „przyszłość” Pawła i Anki, która – choć obecna wyłącznie w jego wyobrażeniach – kiedyś była dla

niego jak światełko w tunelu, obecnie zaś wydawała się czymś równie absurdalnym, co kabaretowy skecz. On i ona, serio? Co sobie wyobrażał, śladów chemii między nimi nie odkryłaby teraz nawet Maria Curie, gdyby ktoś postanowił ją wskrzesić. Czuł coś, ale to było i zdechło, niczym niedokarmiana złota rybka, można ją już tylko spuścić w kiblu i zapomnieć.

Weszli do biura.

Migoczący szyld reklamowy, który wisiał na zewnątrz, mógł niejednego zwieść, jednak nie tylko zasikana brama rozbiła ich wyobrażenia o wszechmocnej kablówkowej korporacji. Telenova wcale nie była dużą firmą, z obecnej perspektywy zdawała się wręcz żartem. Jeżeli ich cała siedziba to był ten jeden pokój z dwoma biurkami stojącymi przy przeciwległych ścianach, to co robili z pieniędzmi abonentów? Czyżby prezio zabrał wszystko ze sobą i dał nogę, wciągając teraz koks z wypchanych silikonem piersi, pewnie na jakiejś rajskiej wyspie, gdzie słońce i kobiety nie zachodzą nigdy? Na to wyglądało. Pozostała para źle opłacanych przegrywów, którzy mieli nadzieję, że żaden klient nigdy nie przekroczy progów tego przybytku.

Przy biurku z prawej gruba kobieta w okularach o szklach przywodzących na myśl dna słoików z zapamiętaniem układała komputerowego pasjansa. Nawet nie zauważyła, że weszli. Drugie biurko zajmował chudy jak mumia elegancik. Jego garnitur kontrastował z wystrojem wnętrza, które raczej kojarzyło się salką wiejskiej szkoły: to, drogie dzieci, jest komputer z końca lat dziewięćdziesiątych, ale uważajcie, bo są na wyposażeniu tylko dwa, tylko odrobinę młodsze od pcv, które mamy na podłodze. Elegancik był jak wyjęty z zupełnie innej bajki, przypominał senne widziadło wspomaganego amfetaminą maklera.

Podeszli do kobiety, licząc na bardziej „ludzka” konwersację. Niestety, tylko na pierwszy rzut oka.

– Z czym jest problem? – spytała tonem, który znacznie bardziej pasowałby do słów: „spierdalać mi stąd w podskokach”.

– Dzień dobry – zaczęła Anka, starając się brzmieć uprzejmie, mimo że baba zdążyła już wytrącić ją z równowagi. – My w sprawie takiego... można powiedzieć... dość dziwnego programu... który ostatnio...

– Reklamacje to pan naprzeciwno.

– Ale my...

– Jak coś zepsute, idą do pana od reklamacji i nie zwracają głowy. Na pewno przyjmie i obsłuży. Do widzenia.

Ance zaraz przypomniały się wszystkie te sytuacje na uniwerku, gdy musiała załatwić jakieś sprawy w dziekanacie. Tamtejsze sekretarki były równie uczynne, co ta wiedźma tutaj. Może wszystkie gnidy tego świata były jakoś spokrewnione? Może to jedna wielka rodzina? Wiązała je razem podwójna helisa ich szczurzego genomu?

Paweł szepnął tylko:

– No to chomy.

Miał wzrok zwierzęcia, na którego łapach przed momentem zacisnęły się wnyki. Charakter kwalifikował go może do bycia bezrobotnym Don Kichotem wojującym z telewizorami, ale na pewno nie do pracy bramkarza w nocnym klubie, skoro byle niemiła starucha była w stanie zdusić w nim wolę walki. Chyba zupełnie nie wiedział, co robić w kryzysowych sytuacjach. Dało się wyczuć, że najchętniej wybiegłby stąd i skoczył do pierwszej lepszej knajpy, żeby choć trochę się uspokoić kuflem albo pięcioma. Anka była ciekawa, jak on sobie radzi z tymi wszystkimi wstawionymi klientami, którzy rozmowę zaczynają od słów: „Co się, kurwa, gapisz?”. Paweł nie wyglądał na takiego, który by się im postawił. Był albo jajcarzem o niewyparzonym języku, albo zranioną łanią, jak teraz. Nie wierzyła, że potrafiłby dać komuś w mordę i raczej wątpiła w jego przyszłość w obecnym fachu. Pracował tam dopiero od niedawna, a była to już chyba jego dziesiąta robota od czasu zaliczonej na mocne trójki matury. Nie chciało mu się nawet myśleć o studiach, uważał je za stratę czasu i pieniędzy, więc błąkał się to tu, to tam, nie mogąc wybrać, z czego chce się utrzymywać i co tak naprawdę planuje w życiu robić. Źle mu było i w McDonalddie, i na stacji benzynowej, i w spożywczaku, i nawet na giełdzie komputerowej, gdzie zgrane przez kuzyna cedeki sprzedawał bezpośrednio z plecaka. Nigdzie nie zagrzał miejsca na dłużej niż kwartał. Jak będzie wyglądało jego życie za dziesięć lat, zastanawiała się Anka. A jakie będzie twoje, kujonko z wahaniem nastrojów, spytał bezlitośnie głos w jej głowie i aż się zarumieniła.

Podeszli do drugiego biurka. Kościsty jegomość wbił w nich swoje przepełnione bólem istnienia spojrzenie.

– Taaak? – spytał tak cicho, że nie dało się jednoznacznie stwierdzić, czy w pomieszczeniu zabrzmiał ludzki głos, czy był to tylko jednostajny pomruk komputerowych wiatraków.

– Jak pan słyszał, chodzi o jeden z programów – odparła Anka, tym razem przygotowana na to, by nie dać się łatwo zbyć.

– Mhm – odparł tamten i milczał tak długo, jakby nic więcej do powiedzenia już nie miał. Z plakietki wpiętej w kieszeń jego marynarki można było odczytać, że ma na imię Maciek. „Maciek, Doradca Klienta”. – O, proszę, tu jest nasza pełna oferta. – Podał jej ulotkę. – Na czym najbardziej pani zależy? Bajki, filmy, seriale, sport, erotyka czy inne zainteresowania? – Wszystkie te słowa wypowiedział ciągiem, jakby stanowiły segmenty jednego tasiemcowatego słowa. Ance zrobiło się niedobrze.

– Jak to... jak to na czym „mi zależy”? – wydukała.

– Panie, my nie chcemy wykupować abonamentu, tylko złożyć reklamację na to, co już mamy – rzucił Paweł, nieoczekiwanie przychodząc koleżance z pomocą.

– Rozuuumiem – odparł przeciągle Maciek. – W takim razie proszę wybrać z listy ów hehe, ów problematyczny program. – Ta gra słów wydała mu się tak zabawna, że prawie się posmarkał.

Anka przeleciała wzrokiem po spisie. Jedna z pozycji ją zaskoczyła.

– Program lokalny? – spytała, marszcząc brwi.

– A, tak. Nowość w naszej bogatej ofercie. – Maciek brzmiał, jakby każde wymówione przez niego zdanie było informacją nieumiejętnie nagraną na automatyczną sekretarkę. Niewyraźnie i nieprzekonująco. Tak samo nieprzekonujący był jego strój. Ktoś wcisnął tego spłoszonego człowieka w garnitur i kazał mu podbijać świat, mimo że on się do tego zupełnie nie nadawał. – Na razie przeprowadzamy fazę testów, więc nie jest on dostępny. Ruszy to dopiero za około półtora miesiąca. Będą to głównie lokalne wiadomości i wywiady z ludźmi kultury, polityki i sportu związanymi z regionem. Mogę wiedzieć, jaki to ma związek z państwa sprawą?

– Być może żaden – odpowiedziała, nie podnosząc wzroku znad broszury. – Przyszliśmy w sprawie... w sprawie niepokojącej... audycji z naszego osiedla.

– Z państwa osiedla? Hm. Zastanawiające.

– Na dodatek nielegalnej. I po prostu nieprzyzwoitej – stwierdziła. – Ludzie są nagrywani, chociaż nie wyrazili zgody. Nawet we własnym mieszkaniu nie można już czuć się...

– Zaraz, zaraz – wszedł jej w słowo, nagle ożywiony. – Czy ja dobrze panią zrozumiałem? Ktoś nagrywa w Krakowie nielegalny *reality show* i wy w nim występujecie?

– Proszę nie udawać zdziwionego – rzuciła Anka. – Skoro macie w rozpisce program lokalny, na dodatek na tym właśnie kanale, dwudziestym trzecim, to znaczy, że doskonale wiecie, co robicie. Myślałam, że ktoś wam nielegalnie zajął pasmo, ale teraz widzę, że nie. I żądam wyjaśnień.

– Nie daj się, Maciek! – zawołała niespodziewanie baba zajęta pasjansem. – Baba się szarogęsić może we własnej kuchni, ale nie tutaj!

– Że co proszę? – Anka była w takim szoku, że nie miała pojęcia, czy te słowa padły naprawdę, czy wypowiedział je wyłącznie głos w jej głowie.

– Szanowna pani – powiedział Maciek, wypinając dumnie wątry tors. – A na pewno jest pani abonentem Telenovy?

– Tak!

– I odbiera pani program, na którym pokazują jakieś osiedle?

– Nie jakieś, tylko nasze. Czy ja mówię niewyraźnie?

– To wysoooceee... niepokojące – rzekł, wstając. – W takim razie poproszę państwa za mną. Obok mamy specjalną salę do prezentacji, tam będziemy mogli wszystko na spokojnie sprawdzić.

Powlókł się lajzowatym krokiem w stronę korytarza, a oni ruszyli za nim.

– Maciek, jak nie ty ich, oni ciebie, pamiętaj – rzuciła im na pożegnanie baba, która teraz nie układała już pasjansa – na ekranie ustawiała w rzędach prostokątne zdjęcia abortowanych płodów i kalekich niemowląt.

Paweł nie zwrócił uwagi, ale Anka aż zasłoniła usta dłonią.

Wyszli na korytarz i ruszyli nim do kolejnych drzwi, pomalowanych na czerwono. Za nimi wiły się spiralne, metalowe schody, prowadzące w dół. Było tam ciemno, więc Maciek szedł przodem, przyświecając im wyciągniętą z kieszeni latarką.

Anka popatrzyła na Pawła, próbując zapytać go wzrokiem, czy to na pewno dobry pomysł, ale on wzruszył tylko ramionami i zaczął schodzić po rdzewiejących, kojarzących się z tarką stopniach.

Po długich minutach dotarli do czegoś w rodzaju kotłowni, gdzie poza pękatymi kotłami stały też dziwaczne maszyny, pełne kół zębatych, niektóre w przeszklone gablotach, inne na regałach. Maciek nie zwracał na nie uwagi, tylko zniknął za kolejnymi drzwiami. Anka i Paweł poszli jego śladem.

W końcu weszli do obszernego, owalnego pomieszczenia, w którego centralnym punkcie stał stolik z telewizorem oraz rząd krzeseł. A więc to tu, jakieś pięćdziesiąt metrów pod ziemią, w sali sąsiadującej ze starą kotłownią, Telenova chciała omamić potencjalnych klientów wizją teleraju dla każdego?

Czy twórcy tej firmy byli psychicznie chorzy? Czy to była jakaś gra, której zasad nie było im jeszcze dane poznać? Anka szukała w myślach odpowiedzi, bojąc się tego, jak może być naprawdę. Paweł starał się nie myśleć już o niczym, chciał mieć to za sobą i nigdy tu nie wracać.

Monstrualnych rozmiarów sprzęt LCD, przed którym usiedli, z pewnością stanowiłby mocną kartę przetargową dla potencjalnych klientów, tyle że nie w takim miejscu. Stojące po bokach kolumny też miały najwyraźniej być zapowiedzią potęgi, która zwali widza z nóg. Na czymś takim każda, nawet najmniejsza audycja musiała prezentować się oszałamiająco. Po co jednak łądować kasę w najnowocześniejszy, high-endowy sprzęt, skoro łąduje się go do podziemi zrujnowanej kamienicy w jednej z najgorszych dzielnic miasta?

– Jestem głęboko, głęboko przekonany, że to wyłącznie usterka natury technicznej – stwierdził Maciek, uśmiechając się szeroko i nieszczerze. – Usunięcie jej nie zajmie nam dużo czasu i zapewniam, że po wszystkim będą państwo mogli znów cieszyć się bogatą i niepowtarzalną paletą wrażeń oferowaną przez firmę Telenova. Macie moje słowo. – Mimo że sytuacja była więcej niż absurdalna, jego patologiczny profesjonalizm dodawał temu wszystkiemu posmak ciężkiej psychodelii. Anka nie była już pewna, czy to się w ogóle dzieje naprawdę. Może nadal leżała w łóżku i śnił się koszmar, który nie chciał się skończyć.

Maciek włączył panel i zaczął skakać po kanałach. Robił to powoli i z rozmysłem, po każdym wduszeniu przycisku opierając pilot o usta, jakby się nad czymś wielce zadumał. Anka kątem oka zobaczyła, jak tamten od czasu do czasu przesuwając językiem po świecącej na czerwono diodzie. Chciała jak najszybciej obrócić się na pięcie i wyjść, ale nie panowała nad własnym ciałem na tyle, by zmusić je do ucieczki.

– Nasza sieć jest skonstruowana w ten sposób – tłumaczył Maciek ze znanstwem – że stacje mamy dostrojone do poszczególnych programów i w większości przypadków nie trzeba nawet używać opcji wyszukiwania, aby zacząć je odbierać. Po prostu wskakują z automatu. To duże ułatwienie dla nowych użytkowników. Ten telewizor też został właśnie tak ustawiony. Wszystko dokładnie w tej kolejności, co w tabelach na naszych ulotkach. Program pierwszy na jedynce, Polsat na trójce, TVN na piątce, a na przykład KTL, wspomniany wcześniej, to numer dwadzieścia trzy.

– KTL? – zapytał Paweł. Nigdy wcześniej nie słyszał o czymś takim. Brzmiało jak RTL, na którym w czwartki i piątki po północy szły soft erotyki

albo hardcorowe *talk shows* o seksie w najprzeróżniejszych jego odmianach.

– Owszem, skrót od Krakowska Telewizja Lokalna. Ów lokalny program, o którym wcześniej była mowa. Już pokazuję – odparł tamten, ustawiając żądany kanał. – Na razie na etapie testów, jednak ruszy pełną parą już niebawem.

Na ekranie mężczyznę, który wyglądał jak zdjęty z ulicy przechodzień. Prezentował właśnie wiadomości regionalne, głównie informacje o wydarzeniach kulturalnych: premiery kinowe i teatralne. Mówił o prapremierze *Trzech Stygmatów Palmera Eldritch*a w Teatrze Starym, głos mu się momentami łamał, było widać jak na dłoni, że robi to pierwszy raz.

Przedsięwzięcie miało posmak amatorszczyzny rodem z filmów Eda Wooda i wydawało się dość komiczne, jednak Ance i Pawłowi nie było do śmiechu. Jak mieli niby udowodnić, co widzieli wcześniej, skoro tutaj na dwudziestce trójce szły wyłącznie te niegroźne brednie?

– Właśnie z tym programem mieliśmy... problemy – stwierdziła Anka, nie bardzo wiedząc, co teraz. Miała powiedzieć tamtemu, co naprawdę widzieli. Czy wreszcie stąd odejść i postarać się o wszystkim zapomnieć..

– Tak? No widzi pani. Dobrze więc zgadywałem, zwykła usterka techniczna. Zobaczyliście coś, co nie było dla was przeznaczone.

– Nie rozumiem. Co pan sugeruje?

– Proszę pani. Jak już mówiłem, KTL przechodzi na razie fazę testów. Nagrywają głównie w studiu i raczej nie puszczają żadnych reportaży z terenu. A jeśli nawet coś państwo zobaczyli, to raczej jest mało prawdopodobne, że chodzi właśnie o KTL, bo ich pasmo jest niedostępne dla odbiorców. A mówiąc prościej, tylko oni sami mają podgląd własnego program i nikt poza tym.

– Ale coś widzieliśmy – wtrącił Paweł. – Więc niech pan nie sugeruje, że nam odbiło.

Maciek parsknął śmiechem.

– Wcale nie sugeruję. To po prostu drobne nieporozumienie i tyle.

– Właśnie tak, Maciek! – Znów rozległ się za nimi głos baby z biura. – Makaron na uszy i mogą wypierdalać!

Przeżona Anka odwróciła głowę, ale nikogo tam nie było. Co gorsza, wszystko wskazywało, że ani Paweł, ani Maciek niczego nie słyszeli.

– Jeżeli mimo wszystko nie zdołałem rozwiać państwa wątpliwości, proszę skontaktować się z szefem KTL. On z pewnością udzieli znacznie bardziej

szczegółowych informacji na temat swoich audycji. Wszelkie zastrzeżenia również można zgłaszać do niego, niekoniecznie tu – rzekł, wręczając Ance wizytówkę niejakiego Rafała Witczaka, chyba nieco na wyrost nazywającego się prezesem stacji telewizyjnej KTL.

Na ekranie prezenter-amator, zapraszał wszystkich podupadających na zdrowiu psychicznym do odwiedzin w Krakowskiej Poradni Terapii Nerwic, przy ulicy Lenartowicza. Potem stwierdził, że sam leczy się farmakologicznie od dekady i chyba nie powinien występować w programach na żywo.

4

I tak to się, kurwa, skończyło. Ciasna poczekalnia, przeszklony stolik ze stertą pism, biedny blady dzieciak na drewnianym krześle. Czyli ja. Przed wizytą. U psychiatry. Matka kazała, bez ociągania. Bez ściemy. Idziesz i już. A jak nie, to od razu szpital. Widziałem, że jej nie przegadam. Ale doszedłem do wniosku, że może wynikną z tego wszystkiego jakieś plusy dla mnie. Bo mogą mnie na przykład zwolnić z budy na dłuższy czas. Jeśli się oczywiście okaże, że jestem świrem. A z tym może być ciężko. Bo nie jestem. No ale cóż. Bóg mówił, że muszę być silny. On ostatnio w ogóle dużo gada. Jak milczał, to był cicho przez tyle lat, a jak już rozkręcił nawijkę, to dosłownie nie przestaje. Sporo się od Niego dowiedziałem. Naprawdę ciekawe rzeczy, o których nie uczą w żadnej szkole, na żadnych katechezach. Naprawdę ciekawe rzeczy.

Ale teraz nie pora na moje rzewne opowieści. Siedzę w poczekalni, całkiem sam. Ściany coraz wyższe, sufit coraz dalszy, czy to się zmniejsza, czy mnie zaraz zgniecie, jak śmietnik w *Gwiezdnych wojnach*?

Wstaję, patrzę. Za oknem kamienice, popękane jak nagrobki. Zachmurzone niebo, ciemna pokrywa z ołowiu. Nadchodzi burza. A deszcz robi ze świata olbrzymi kryminal. Wyrok zapadł, moja kara nigdy nie minie.

Pocę się. Najchętniej bym uciekł, ale to niczego nie zmieni. I tak prędzej czy później tu wrócę. Przed sobą nie ucieknę.

Na stoliku sterta pism. Muszę czymś zająć ręce i oczy.

Podnoszę pierwszą z brzegu. Zaczynam przeglądać. Mam nadzieję, że to nie o żadnych chorobach. Nie, na szczęście nie. „Miesięcznik kulturalny”. Pewnie kurewskie nudy. No ale nic. Obczaić nie zaszkodzi.

Nudy jak chuj. Prawie same recenzje, książki, filmy, pitu-pitu. Wywiady z artystami. David Lynch trzyma w zamrażarce raka wyciętego z macicy koleżanki. To w dziale fajnych ciekawostek i ploteczek. Dopiero gdzieś na dwudziestej którejś stronie trafiam na niezłe wyglądający rysunek. Ilustracja do króciutkiego opowiadania. Tytuł: *Kopia*. Na grafice kilka zabawnych ludzików zrosniętych dłońmi i stopami niczym bliźnięta syjamskie. Zaraz przypominają mi się wycinanki, jakie robiliśmy w pierwszej podstawówce. Coś podobnego. No, to zacznę czytać.

* * *

Od dziecka bałem się luster. Wierzyłem, że historia Alicji nie jest wyłącznie czyimś wymysłem. Wyobrażałem sobie, że po drugiej stronie istnieje rzeczywistość, która stanowi bliźniacze odbicie naszej. To jednak zła bliźniaczka. Wszystko dzieje się tam zupełnie inaczej niż tu. Serca biją z prawej strony. Lewica wygrała ostatnie wybory. W dzień się śpi, a w nocy pracuje. No i tamci ludzie na pewno są z natury źli. Bo jeśli nasz świat jest dziełem Boga, to tamten musi być...

– *Aleś ty dziecinny – powtarzała moja dziewczyna Ewa, gdy tylko zaczynałem opowiadać o lękach. – Żadna kobieta nie uwierzy w te twoje historie... A wiesz czemu?*

– *Nie.*

– *Bo my pół życia spędzamy przed lustrem. Pół życia spędzamy, gapiąc się w naszą... hi, hi, hi... mroczną połowę.*

Wzdychałem tylko, dając jej do zrozumienia, że problem jest głębszy, niż może się wydawać. Miałem solidne podstawy dla mojej osobliwej teorii. Mogłem przedstawić wiele dowodów.

W wieczór piątych urodzin po raz pierwszy zetknąłem się z dziwnym zachowaniem lustrzanego odbicia. Godzina 20.02, pamiętam jakby to było wczoraj. Wcześniej mama kazała mi umyć zęby po jedzeniu tortu. Z ociąganiem poszedłem do łazienki. Nie lubię myć zębów wieczorami, szczególnie wtedy mi to nie pasowało, bo przecież przez cały dzień wszystko szło po mojej myśli, a tu nagle taki niefort. No ale trudno. Z nietęgą miną zabrałem się do nakładania pasty na szczoteczkę. W pewnym momencie dostrzegłem, że moje odbicie wcale nie robi tego samego. Drugie ja gapilo się na mnie z szyderczym uśmiechem, a potem wykonało gest podrzynania sobie gardła. Przestraszyłem się nie na żarty. Pobiegłem z płaczem do mamy. Opowiedziałem jej, co się stało. Zamiast mnie pocieszyć, zaczęła się śmiać. Mój Boże...

Pewnego dnia Ewa postanowiła użyć podstępny, by zwalczyć mój lęk przed lustrami. Zamknęła mnie w łazience. Na klucz. I powiedziała, że nie wypuści, dopóki ja i moje odbicie nie zaprzyjaźnimy się ze sobą.

– To nie jest śmieszne! Ani trochę! – krzychałem. – Nie powinnaś tego robić!

– Kochanie, uspokój się. Twój lęk jest zupełnie... jakby to powiedzieć... irracjonalny. Posiedzisz tam trochę, to ci wreszcie przejdzie.

Patrzyłem w lustro, zaciskając pięści.

Może nie różniły się aż tak bardzo – próbowałem sobie wmówić, gapiąc się na moje drugie ja. – Ty masz pieprzyk na lewym policzku, ja na prawym. Ty pewnie wolisz lody czekoladowe, a ja waniliowe. Może, mimo tych różnic, nie jesteśmy przeciwieństwami...

Ewa wypuściła mnie po jakimś kwadransie. Byłem zupełnie spokojny i zrelaksowany. Wszystko ułożyło się zgodnie z planem. Po tylu latach... Kto by pomyślał?

– Dogadaliście się, prawda kotku? – spytała z uśmiechem.

– Tak, Ewunciu. Miałaś całkowitą rację. Potrzebowaliśmy po prostu trochę czasu na osobności.

– Ewunciu? Nigdy mnie tak nie nazywałaś – odparła, unosząc brwi ze zdziwienia.

Nie miała o niczym pojęcia. Nie spostrzegła, na którym policzku mam teraz pieprzyk. Nie domyśliła się, co tak naprawdę stało się przed chwilą tam, w łazience.

– Od dzisiaj będę się do ciebie zwracał tylko w ten sposób – powiedziałem. – A teraz pozwól, że coś ci pokażę – dodałem, prowadząc ją w kierunku łazienki...

– To się wam nie uda! – krzychały nasze odbicia. – W końcu się stąd wydostaniemy!

– Nie wydostaniecie się – odparłem, nie tracąc opanowania. – Już dawno wiedziałem, co będę musiał zrobić, gdy ja i moja Ewuncia wreszcie będziemy wolni, kiedy już was zastąpimy. Od teraz to my będziemy żyli na tym świecie, wy będziecie tkwić tam, w tym koszmarze. A żeby być pewnym, że już stamtąd nie wyjdziecie... odetnę wam drogę powrotną.

Z całej siły walnąłem pięścią w lustro. Rozbiło się w drobny mak. Gdy kawałki szkła spadały na podłogę, wciąż słychać było echo wrzasku Adama i Ewy. To był ostatni dźwięk, jaki ich gardła zdołały z siebie wydobyć.

Kiedy było po wszystkim, powiedziałem do Ewuncii:

– Teraz musimy tylko uwolnić resztę...

Przytaknęła, chichocząc.

*Rewolucja się zaczęła, wszystko było już tylko kwestią czasu.
Mieliśmy tysiące kopii do wyzwolenia, tysiące luster do rozbicia.*

* * *

Skończyłem czytać ostatnie zdanie, a do poczekalni wparowała przeraźliwie blada kobieta. Ostatnio wszyscy, których widzę, są płascy, bladzi i chorzy, jakby przeżywali wspólną agonię. Ale ta babka wyglądała, jakby ze studni wylazła. Ze strachu aż podskoczyłem. Jej skóra miała zielonkawy odcień i mógłbym przysiąc, że spod spodu coś prześwitywało, jak spod przezroczywej maski... Inna twarz, gęba cholernego emeryta. Po chwili zniknęła, została tylko twarz kobiety. Trochę się uspokoiłem. Doszedłem do wniosku, że to jedna z pacjentek, pewnie sponiewierana przez walec depresji, czy czegoś takiego. Sweter, spódnica za kolano. Może studentka przeorana przez sesję?

Nagle się do mnie odezwała.

– Andrzej Karłowicz?

Skąd mogła wiedzieć? Przecież nie miałem tego wypisanego na czole.

– No... tak – odparłem.

– Proszę za mną. Pacjentów przyjmuję w gabinecie obok.

Powlokłem się za nią, z ociąganiem. Jak ma mnie wyleczyć ktoś, kto sam zdrowy nie jest? Cholera, matka, gdzieś ty mnie posłała?

– Co cię do mnie sprowadza, Andrzeju? – spytała, każąc mi wcześniej usiąść w fotelu. Pani psychiatra. To dziwnie brzmi. Blade widmo nad otwartym segregatorem. Żółte kartki zapisane hieroglifami, których nie dają rady odszyfrować.

Ręce mi podskakują na kolanach. Nie mogę zebrać myśli. Telepie z nerwów, ale zaraz przejdzie. Musi. Zupełnie jak na klasówce – na początku tylko kompletna pustka i brak słów. I ochota, by uciec. Ale po paru chwilach jest już całkiem OK. Przecież ta kobieta nie jest tu po to, żeby zrobić mi krzywdę. Prawda?

– Nie wstydź się. Powiedz po prostu, w czym rzecz. Każdy ma jakieś problemy. Trzeba mówić o nich głośno. Wiem, że to wymaga odwagi.

Chrząknąłem.

– Do przyjsia... tutaj namów... namówiła mnie mama. Jakby nie ona, to bym... No to bym nie przylazł – przyznałem. Nie byłem pewien, czy o taki „problem” babce chodziło. Problem z matką, która

robi problemy, bo tylko do tego się nadaje.

– Rozumiem. Ale czemu mama postanowiła umówić cię na wizytę? Czy coś w twoim zachowaniu ją zaniepokoiło?

Zaniepokoiło? No, fakt, matka ostatnio wydygała, widząc, co robię. Nie pasiło jej to wszystko. Moje nieustanne siedzenie w domu i gadanie do samego siebie, szukanie dziury w całym. Trzeba staruszkę zrozumieć. Każdemu by pewnie oklapła kopara, jakby jego syn zaczął się tak zachowywać.

– No myślę, że głównym powodem tego... yyy, no może chodzi, że... że w ostatnich dniach trochę się zmieniłem.

– Zmieniłeś? Pod jakim względem?

– No, już wszystko nie jest takie proste, jak myślałem. Zacząłem więcej rozkminiać... różne rzeczy i... i tak jakby zamknąłem się w sobie. Przestałem wychodzić z domu. No bo właściwie po co? Tam tylko są te zamiecie. Pociąłem się nawet. Nożem. Ale tylko raz. W sumie.

– Mhm. Rozumiem. Samookaleczenie. To częste. Czemu chciałeś zrobić sobie krzywdę?

Ciężko mi było o tym mówić. Słowa nie chciały przechodzić przez gardło, trzeba je było na siłę wypychać, jak przerażonych skoczków bungee. Chodziło przecież o prywatne sprawy. Że zobaczyłem przenośną konsolę do gier, którą miałem zaszytą w ciele. Ale tak naprawdę nie miałem. Ech, czy ja wiem? Psychiatra sprawiała wrażenie sympatycznej. Może nie jest częścią tego całego spisku? Może chociaż ona mnie zrozumie?

– Zrobiłem to, bo... widzi pani... zobaczyłem, że mam coś pod skórą.

– Mów dalej.

– No bo, proszę pani, ostatnio to ja się czułem trochę dziwnie. Jakbym został uwięziony w tym ciele. Które przecież wcale nie jest moje. To jest coś obcego. Jakby więzienie, w którym zostałem zamknięty. Ale patrzę raz i widzę, że mam piksele. Na ręce. Jakby tam mi ktoś wszył mały ekran. O to wzięłem nóż, no i...

– Często ostatnio myślałeś o samobójstwie?

O, teraz walnęła z grubej rury. Bo pocięcie pocięciem, ale samobój to już nie przelewki. To jednokierunkowa, z której nie ma powrotu. Powinienem z nią w ogóle gadać o takich hardkorowych akcjach? Czuję, że się czerwienię, jak wtedy, gdy matka chciała rozmawiać ze mną o pszczołach i kwiatach, jakby planowała, kurwa nędza, mi zapisać w spadku jakieś pasieki.

– Nie denerwuj się. Nikt się nie dowie o tym, co mi mówisz. A już na pewno nie twoja mama. Wszystko zostanie między nami.

Te słowa mnie uspokoiły.

– Tak, zastanawiałem się nad samobójstwem. Parę razy.

– Tylko parę?

– P-proszę? – Czy ona serio była zawiedziona, że nie myślę o tym ciągle? Może się przesłyszałem.

– Opisz mi to, jeśli możesz.

– Yyy... Kilka dni temu doznałem takiego jakby... yyy... objawienia.

– Objawienia? – Jej brwi uniosły się. – No i jak to wyglądało?

– Byłem wtedy na osiedlu, przed blokiem. Szedłem na zakupy, ale nagle... poczułem się taki... zmiażdżony. Poznałem prawdę. I to ona mnie przytłoczyła. To, że nasz świat, on... wcale nie jest prawdziwy. Bo to nie jest żaden świat. To jest... celuloidowe więzienie. Jeden wielki wymysł. Teatrzyk kukielkowy.

– Celuloidowe więzienie? Może powiedzieć coś więcej na ten temat? – Nie przestawała notować. Szkoda, że nie wiedziałem, o czym pisze... Może już wcześniej знаła całą prawdę, a może dopiero teraz dowiedziała się, jak to wszystko w rzeczywistości wygląda. Ważne było, bym ją przekonał do swojej wersji wydarzeń. Wtedy miałbym kogoś po swojej stronie. Bóg mówił, że potrzebuję sprzymierzeńców. Wczoraj w nocy znów słyszałem Jego głos. Twierdził, że przemawia do mnie z daleka. Spoza granic celuloиду. Z krainy prawdy i szczęścia. Mówił, żebym się nie bał. „Nie lękaj się” – powtarzał powoli, zmodyfikowanym elektronicznie głosem. – „Nie... lękaj... się...”.

– Świat jest więzieniem. Ten nasz, echo prawdziwego. A my jesteśmy w nim uwięzieni za ekranem, w szklanych celach. Tylko śmierć może nas wyzwolić... Tylko w ten sposób możemy uciec z twierdzy celuloиду. Taka jest prawda. Ale nikt jej nie zna, bo zniknęła pod śniegiem zakłóceń.

– Mhm. To... ciekawe. A co się działo przed tym objawieniem?

– Nic wielkiego. Byłem u kolegi, chciałem pograć na GameCubie, ale coś nie działało. No a poza tym, to nic.

– Na pewno nic? A powiedz mi może, jak często palicie z kolegami marihuanę? Miałeś styczność z jakimiś innymi narkotykami? LSD, Ecstasy, amfetamina?

– Nie, nie. Palę rzadko. Raz na miesiąc. Kumple więcej. Taki Tadek to co drugi dzień jest skurzony. No ale on ma kasę, bo czasem też coś tam sprzedaje ludziom po znajomości...

– Ładnie to tak kablować?

– Eee...

– Koledzy nie będą zadowoleni, jak się dowidzą, co o nich mówisz. Zatkano mnie. Normalnie zamurowało tam na tym jebanym fotelu.

– Przecież pani mówiła, że...

– Że nikt się nie dowie? No tak, ale wtedy nie widziałam, że zwykły z ciebie donosiciel.

Przełknąłem ślinę. Chciałem już stąd sobie iść. Ale nie dawałem rady wstać.

– Żartuję tylko! – Baba nagle się roześmiała. – Nie mogę nikomu powiedzieć. Andrzej, nie bądź naiwny.

Milczałem. Bałem się, co jeszcze może jej odwalić.

– Co możesz mi powiedzieć na temat tej... prawdy? Jak twoim zdaniem ta prawda, o której mówiłeś, wygląda?

Przez chwilę nie odpowiadałem, ale w końcu usta i język same zaczęły się poruszać.

– Nawet ja nie znam całej prawdy. Zna ją pewnie tylko Bóg. Ale wiem tyle, że kluczem do wszystkiego są trzy słowa: prawy, lewy, złamany.

– Prawy, lewy, złamany? – spytała, znów unosząc brwi.

Dopiero teraz uzmysłowiłem sobie, że to wszystko od początku było ściemną. Ona wcale mi nie wierzyła, nawet przez sekundę. Przejrzałem maskę, którą była jej twarz. Stary dziad, który siedział w środku wszystko kontrolował.

Nie było dla mnie ratunku, macki tajnej agentury sięgały najciemniejszych zakamarków miasta. To nie jakiś *Matrix*, że walniesz sobie pigułę i wyskakujesz z uludy prosto w objęcia prawdziwego świata. Tu wszystko od początku do końca było pod dyktando kogoś, kto nie chciał być rozpoznany.

– A co to może oznaczać? – ciągnęła. – Co – twoim zdaniem – ten „klucz” otwiera?

– Oczywiście. On otwiera ludziom oczy.

Uśmiechnęła się.

– To ładnie brzmi, naprawdę. Ale muszę spytać raz jeszcze: czemu tylko parę razy chciałeś się zabić?

Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć.

– Bo ja to widzę tak. Wychowuje cię samotna matka i sobie nie radzi. Zapieprza od rana do nocy, żeby cię utrzymać. A ty jesteś małym,

niewdzięcznym skurwysynem, który podkrada jej z portfela, żeby mieć na palenie. Koledzy mają cię za frajera, ale nie wiedzą, że jesteś zwykłym kablem. Wsyłałbyś ich przy pierwszych problemach z psiarnią. Na dodatek – w tym miejscu zaśmiała się wręcz histerycznie – na dodatek, Andrzej, ty jesteś najzwyklejszym prawiczkim. Powiedz mi, widziałeś kiedyś cipkę? Ale nie na zdjęciu, tylko taką prawdziwą?

Wierciłem się, starając się uniknąć jej wzroku, uciec od tego, co mówiła. To nie była żadna pani psychiatra, tylko jakaś pojebana wiedźma. Czy ona serio to mówiła, czy mi już odwaliło do tego stopnia, że słyszałem coś, czego nie było?

– No? Pewnie nie widziałeś... – Chwyliła palcami skraj spódnicy i zaczęła ją podwijać. – Nie będziesz już potrzebował żadnych objawień. – Nie miała pod spodem majtek. – Popatrz tylko, jak wygląda najprawdziwsza prawda. Zaraz ci przejdą te twoje odjazdy.



第 一 章

1

Niewielka, zadymiona do granic możliwości sala. Zgromadziło się tu nie więcej niż trzydzieści osób. Na scenie Statyści rozkładali właśnie sprzęt. Minęła 18.30, koncert miał zacząć się za pół godziny. Ludzie siedzieli przy stolikach, pijąc, paląc, rozmawiając, zajmując się po prostu swoimi sprawami. W ich zachowaniu nie dało się wyczuć jakiegoś wielkiego oczekiwania na występ. Prawdopodobnie przyszli tu jak do każdego innego pubu, a koncert traktowali jako dodatkową – choć wcale nie niezbędną – atrakcję.

Olek odnalazł to miejsce po dłuższych poszukiwaniach. Położony na uboczu lokal nie przyciągał wzroku, nie miał nawet szyldu reklamowego. Kamienica, w której piwnicach się znajdował, niczym nie różniła się od dziesiątek podobnych, popadających w ruinę po obu stronach brukowanej, upstrzonej gołębimi gównami ulicy. Olek nigdy by tu nie trafił, gdyby nie wydrukował sobie ściągniętej z internetu mapki. O koncercie dowiedział się ze strony zespołu. Nie pisano o tym w gazetach, nie mówiono w radiu, żaden większy portal nie miał wzmianki w dziale kulturalnym. Kapela była za mało znana, żeby zwrócić uwagę kogokolwiek, poza grona zajaranych nimi napaleńców. Strzępy informacji trzeba było wylawiać z sieci. Złożony z trzech pytań wywiad z wokalistą na studenckim portalu, parę akapitów na stronie „Lupa na alternatywę”, jakiś wrzucony na forum filmik. Choć wiele faktów na temat kapeli pozostawało niejasnych, wiadomo było na przykład, że są czwórką bliskich przyjaciół, którzy grają razem od ponad trzech lat.

Jeśli po trzech latach szło im tak dobrze, jak wielcy staną się w przyszłości, zastanawiał się Olek, nie mogąc wyjść z podziwu.

Również w internecie wyszperał też ich jedyny jak dotąd wideoklip. Pięciominutowy czarno-biały filmik przedstawiał młodego gitarzystę

i piosenkarza – jednego z tych noszących podarte jeansy i flanelowe koszule, na pozór kolejnego wyznawcę „brzmienia Seattle”. Chłopak miał pewnie pod trzydziestkę, włosy do ramion, lekki zarost. I dziwny smutek w spojrzeniu. Siedział na krześle pośrodku ogromnej sali po brzegi wypełnionej fanami. Śpiewał i grał, wszyscy bawili się świetnie, ręce w górze, pogo, wrzaski, anarchia, istne *Smells Like Teen Spirit*. Jednak im bliżej końca utworu, tym mniej ludzi było widocznych na ekranie. Znikali jeden po drugim, po prostu rozplywali się w powietrzu. Pod koniec piosenki na sali został już tylko samotny artysta. Po chwili zniknęła również sala – ściany zdrząły jak wstęgi dymu targane nieznanym wiatrem, a potem nie było już po nich śladu, jakby ktoś je zdmuchnął z powierzchni ziemi. Wtedy okazało się, że muzyk jest tak naprawdę pacjentem zakładu psychiatrycznego. Tylko mu się wydawało, że osiągnął status gwiazdy. W rzeczywistości był kolejnym biedakiem zamkniętym w pokoju o miękkich, białych ścianach, wciśniętym w kaftan bezpieczeństwa, otwierającym usta nie po to, by śpiewać, ale żeby błagać o pomoc.

Olek siedział przy stoliku sam. Sączył browca z sokiem malinowym, bębnił palcami o szkło, nakręcony do granic możliwości.

Odkąd pierwszy raz posłuchał EPki Statystów, nie mógł się doczekać, aż zobaczy ich na żywo. Zaś sami Statyści, cóż... wyglądali jak zwyczajni studenci. Olek nie spodziewał się, że muzycy tej klasy mogą być znacznie młodszy od niego. A może to on się postarzał? Co prawda za oceanem zdarzały się już nie takie fenomeny, goście przed dwudziestką byli okrzykiwani geniuszami rocka, ale w Polsce dotąd nie było jeszcze podobnego przypadku. Krajowa scena muzyczna stanowiła tak naprawdę smutną parodię tego, co działo się na świecie. Było kilku dziadków, którzy wciąż płynęli na tej samej, malejącej z każdym rokiem fali zachwyty sprzed lat, kilku przebierańców z pochodniami, pasujących bardziej do cyrku niż na estradę, i całkiem spora grupa młodych naśladowców. Mieliśmy swój własny pop – bardziej tandetny niż ten z Zachodu, swoje własne R&B – żalosne, jak każdy biały, który udaje czarnego – a także swój własny rock, zdominowany przez dinozaury i ich liczne potomstwo. Słowem: zło, z nielicznymi wyjątkami.

Gdy tylko Olek powiedział naczelnemu, że Statyści są naprawdę świetni, a ich pierwsza, pozbawiona tytułu płytka to gitarowe arcydziełko, tamten sprawiał wrażenie zaskoczzonego i poirytowanego.

– Naprawdę dałeś się nabrać na ten szajs? – spytał.

– Czemu nabrać?

– Litości. Pieprzone studenciaki starają się kreować na wielkich artystów. Jesteśmy wielcy, patrzcie na nas, ja przeczytałem dwie biografie Cobaina, a kolega ma całą dyskografię Radiohead, wujek mu przywiózł z Anglii. Żenada i tragedia! Zresztą, cały indie rock na tym jedzie: brzydki okularnicy, głównie potrafia, ale poudawajmy sobie razem, że chodzi o coś więcej, niż pukanie lasek na afterkach.

– Szefie... ci goście serio dają radę. To nie są na pewno lokalne popłuczyny po indie rocku, parodia The Strokes, kserokopia Toola ani nic takiego. To jest nowatorskie. Oryginalne. Osobne. Tego mi zawsze w naszej alternatywie brakowało. Osobnych, nieoglądających się na nic zjawisk.

– Pieprzenie. Złapałeś się po prostu na ten ich pseudofilozoficzny haczyk. Nie tak było kiedyś z Mansonem? Grał ze Spooky Kidsami po małych klubach, wciągał koks, przebierał się w sukienki. Aż tu nagle pewnego dnia media zobaczyły w nim obrazoburczego geniusza, tylko dlatego, że w wywiadach gadał, że Nietzsche to, a kurwa, Platon tamto. Trzeba być ciężkim frajerem, żeby się na to nabrać.

– Manson co innego, zresztą, o czym mówimy, on sprzedał miliony płyt, a Statyści... no nie wiem, czy sto sztuk im zeszło. EPkę można kupić tylko przez ich stronę, licznik odwiedzin jest czterocyfrowy. Naprawdę nie ma tutaj mowy o lansowaniu się na siłę, dorabianiu sobie jakiegokolwiek gęby. Kolesie medialnie nie istnieją. Są świetni, a nikt ich nie zna. Trzeba to trochę nakręcić. Ja tam chętnie skrobnę reckę, przejdę się na koncert, popytam ludzi...

– Piszze, jak masz ochotę, chłopie. Ale niech ci się nie marzy, że ja nagle zacznę tych idiotów promować.

– To niech pan chociaż przesłucha krążek! To mniej niż trzydzieści minut, nie będą stracone.

– Olek. Bez dyskusji. Cenię cię za rzetelność i serce do muzyki, ale ty mi nie będziesz wmawiał, co jest dobre. Głównie wiesz, tak w ogóle, ledwie dyplom odebrałeś, a ja na tym biznesie zjadłem zęby. Więc znaj proporcje. Są rzeczy wielkie, są przyrodnicze ciekawostki. Objawieniem tego roku są Zdzieracze Skalpów. I kropka. Oni idą na okładkę nowego numeru. Zrobię z tych chłopaków nowych Cool Kidsów. Sam przyznaj, mają spory potencjał. A jak się tak upierasz przy tych Statystach, zgodzę się na recenzję w kolejnym numerze. Ale pięćdziesiąt słów, nie więcej.

Olek tylko pokręcił głową. Wiedział, że gust szefa jest całkowicie niereformowalny. Że też taki kretyn mógł mieć własne pismo! Że też tak ciężki frajer mógł promować na łamach swojego szmatławca całkowicie denne kapele, jedna za drugą, no kurwa mać! Tutaj tak naprawdę nigdy nie chodziło o muzykę, nawet przez moment, tylko kasa, układy, klepanie się nawzajem po dupach przez paru wpływowych dziadów. Olek czuł się zniesmaczony nie tylko tym wszystkim, ale przede wszystkim sobą, swoją bezdenną naiwnością, niesłabnącą wiarą, że jak coś jest dobre, zasługuje na uwagę i uczciwe traktowanie. A przecież nic się nie zmieniało, od lat. Jaki był sens pracować dla takiego palanta? Po chuj w ogóle siedzieć w takim chlewie?

Popijając kolejny łyk piwa, starał się zapomnieć o tym, co się działo w robocie. Prawie wykrzyczał rednaczowi, co o tym wszystkim myśli, ale znów się powstrzymał, frajersko spuścił wzrok i zmilczał.

Na scenie zawarczało sprzężenie. Sprzęt był już podpięty, wokalista Statystów stanął przy mikrofonie i zakasłał.

– Dziękuję wszystkim za przybycie w tak... tak nielicznym gronie – powiedział. – Zaczynamy.

Potem zabrzmiały pierwsze akordy gitary. Równie hipnotyzujące, co spirala na okładce płyty.

2

Areczek-ELO!: no hej! co u ciebie?

Andrzej16_KR: weź nie wkurwiał ...

Areczek-ELO!: co jest? lepiej się czujesz?

Andrzej16_KR: GORZEJ KURWA. Przez was. szkoda szczepić ryja :-)

Areczek-ELO!: He?

Andrzej16_KR: no kurwa naopowiadaliście matcegupot. ona mnie wysłała do psychiatry! Na huj gadaliście o jaraniu?!

Areczek-ELO!: psychiatry?! fukc... pojechała po całości... :-/

Andrzej16_KR: Co to miało być? musieliście kablować jak moja starsza taka podkurwiona?

Areczek-ELO!: bo myśmy się martwili że ci się faza zawiesiła. źle to wyglądało serio. temu żeśmy jej powiedzieli. kazeł w kółko pierdolił że jak

będą wiedzieli od czego cię pojechało to może ci jakoś pomogom. i ja mu uwieżyłem.

Andrzej16_KR: stary... matka mnie teraz ma za totalnego świra! myśli że od palenia rzuciło mi się na mózg!

Arczek-ELO!: a jak było u psychiatry? uznali cię za czuba?? ;-D

Andrzej16_KR: Mam nadzieję że nei. Pani doktor sama pierdolnięta nieźle. muszę brać leki. jakąś zyprexę jebaną.

Arczek-ELO!: idzie się ty nastukać? Fazka jest? :-P

Andrzej16_KR: e, nie. ciągle śpiący i jak trup. tyle.

Arczek-ELO!: spoczko! czyli trochę kopie :-D. ale powiedz co to się działo? zwidy miałeś?

Andrzej16_KR: nie pamiętam. coś jak sen. zdawało mi się że z nieba lecą zakłócenia że jest koniec świata i że bóg coś gada. :-)

Arczek-ELO!: Tradzedija :-/ teraz ci polepszyło? nie masz jush chorych jazd?

Andrzej16_KR: aż takich to już nie. chyba

Arczek-ELO!: a kiedy będziesz spowrotem w budzie? stęskniliśmy się za tobom! nauczyciele się nawet pytają co u ciebie ;-)

Andrzej16_KR: za jakiś tydzień-dwa. jak będzie wiadomo że nie dostaję nowych schiz.

Arczek-ELO!: <jupi> to wracasz do żywych. jak co najmniej Jezus, hłe, hłe.

Andrzej16_KR: no serio sie czuję jakbym z grobu wylaz :-D

3

Występ Statystów był wysoce elektryzujący. Przez niemal godzinę Olek siedział jak porażony, bo o ile płyta sprawiła, że szukał szczeny na podłodze, to te same kawałki zagrane na żywo rozbiły go dosłownie na atomy. Głos wokalisty przeszywał do szpiku, dreszcze przebiegały wzdłuż kręgosłupa, każde słowo szarpało duszę do bólu. Facet używał wszystkich dostępnych środków wyrazu: śpiewał, wyl, krzyczał, lkał, deklamował, bitboxował, a nawet wydawał nieartykułowane odgłosy przywodzące na myśl Jonathana Daviesa z pierwszych płyt Korn. Kapela również dawała radę. Ściany gitar płynnie przechodziły w partie akustyczne. Bębny napierdalały jak osobny *blitzkrieg*. Było widać, że ci kolesie są stworzeni do wielkich rzeczy, a nie do koncertików

dla paru osób bez pojęcia, gdzie od czasu do czasu ktoś zaklaszcze, a od czasu do czasu beknie, kończąc kolejny kufel.

Jak tylko skończyli grać, Olek postanowił przełamać nagłą nieśmiałość, która ogarnęła go po występie. Jak miał gadać z frajerami znajdującymi trzy akordy, to się nie stresował, ale teraz czuł się jak na pierwszej randce z miss jebanego świata. Podszedł do nich na miękkich nogach, włączając dyktafon. Chociaż wiedział, że gównem z tego będzie, bo szef nigdy nie puści wywiadu na łamy, za żadne skarby, postanowił spróbować, na własną rękę. Robił to chyba tylko dla siebie, żeby mieć co wspominać, jak przyjdą chude lata. Przedstawił się i wyjaśnił wokaliście, że to właśnie on wcześniej dzwonił, żeby uzgodnić szczegóły. Na dźwięk nazwy „Puls Podziemia” członkowie kapeli pokiwali głowami z uznaniem.

– Robert. Rob. Miło mi... nam wszystkim – odparł wokalista. Śmiał się, że będzie to pierwszy poważny wywiad, jakiego w życiu udzieli.

Usiedli przy stoliku i zamówili browary. Olek już tylko colę, bo miał wracać autem.

– Ledwie parę razy przesłuchałem waszą EPkę, za mną pierwszy koncert, ale już wiem, że jesteście czymś osobnym na polskiej scenie. Jak to się zaczęło, skąd w ogóle pomysł na to brzmienie, na minimalizm, szeroko pojęte Lo-Fi? Wszystko od początku do końca przemyślane, czy raczej trochę przypadkowe?

– To się wzięło z naszego podejścia, że każdy będzie miał wpływ na kształt płyty. Ja i Timo, basista, siedzieliśmy bardziej w alternatywie i folku, wiadomo Elliot Smith, Death Cab For Cutie, ostatnio Brand New i Thrice. Ale już na przykład Dżimbo – skinął na kolegę, który jeszcze był trochę czerwony na gębie po waleniu w bębny – woli rzeczy w stylu wczesnego Korn, Rage Against The Machine, System Of A Down i tak dalej. A Fifek to przez całą szkołę średnią był drugi Cobain, a teraz jeszcze zapalony Toolowiec, który nas pozarażał swoją zajawką. No i to wszystko słyhać na tej EPce. Chcieliśmy być szczerzy, wobec słuchaczy i siebie.

– I to się wszystko zgrało, nie wyczułem żadnego rozbuchania czy pretensji. W kraju srebrnych garniturów, białych koni i wokalisty z pochodnią to się serio ceni.

– Wiesz, może mając większe środki, też byśmy sobie pozwolili na większy odjazd, tego nie mogę wykluczyć. Może nie ruszylibyśmy od razu nagrywać z orkiestrami symfonicznymi i rozbudowaną sekcją dętą, ale na pewno bralibyśmy pizzę z większą ilością dodatków niż teraz, gdzie szczytem

wyrafinowania pozostaje duża hawajska – zaśmiał się Rob. – Ale co robić? Jest wygodna nisza, zero promocji i czekanie, aż jeden kumpel poleci nas drugiemu. Trochę pomaga sieć, wrzucanie kawałków na MySpace i tak dalej. Raz w Warszawie wpadło na nas ponad sto osób. I nikogo wtedy nie supportowaliśmy... Ale może nie pisz o tym w „Pulsie Podziemia”, żeby nas nie wyśmiali. Nas jara setka na widowni, a inny się pobeczy, że przyszło tylko pięć tysięcy.

– Wracając do waszej EPki. Tytułu nie ma, jest za to intrygująca spirala na okładce. Podprogowa reklama antykoncepcji, czy jakieś bardziej muzyczne nawiązanie?

– Cholera, sam nie wiem. Podczas sesji nasłuchiwałem się *Downward Spiral* Nine Inch Nailsów, nie będę kłamał, że nie. Jeden kumpel robi w grafice komputerowej i jest naprawdę dobry, to go spytałem, czy by nie chciał sklecić czegoś w ten deseń. Uznajmy więc, że to był rzeczywiście mały trybut dla Nailsów.

– Chyba nie jedyny. Dołujący klimat też się wam udzielił. Skąd ta deprecha? Taki mamy klimat, czy idzie o coś więcej?

– Czy ja wiem? Doły każdy z nas łapie, na równych zasadach. Ale są przecież światełka w tunelach. W czasie sesji raczej była dobra energia, chociaż nie ukrywam, że parę rzeczy się sypnęło, mi zmarła matka, Fifka tata poszedł siedzieć za coś tam z podatkami... Dla oddechu zapodawaliśmy sobie reggae albo Richarda Cheese. Były ostre jazdy w dół, ale ostatecznie nie wyszła nam biedniejsza wersja *Kid A* ani *In Utero*. Może mogliśmy iść w emo i dodawać żyletkę do każdej płyty. Marketingowo to mógłby być dynamit. Jak myślisz, Timo?

– Byśmy teraz w Kalifornii wyławiali z dna basenu nagrodę Grammy... Ech, marzenia.

– A jakie są wasze aspiracje. Chcecie być tym naszym swojskim Toolem czy w końcu nie? Parę osób tak twierdzi.

– Daj adresy, policzymy się z nimi.

– Myślisz, że żadnym Toolem Polsce śruby nie dokręcisz?

– Mocno wątpliwe. W radiu wołają rzeczy bardziej *user-friendly*, w telewizji tym bardziej. Prasa nabrałaby wody w usta, teraz raczej szukają lokalnych przejawów New Rock Revolution, choć o trzy-cztery lata za późno. Ale jak zapewnisz budżet, to zaraz kręcimy, ulepi się ludziki z plasteliny, kasztanów nabiera...

– Kolejną płytę nazwiemy *Plastusiowy pamiętnik* – rzucił Timo, a reszta zgodnie parsknęła.

– Mówimy o Toolu, to może zdradziłbyś jakieś inspiracje pozamuzyczne. Nie gracie tylko po to, żeby robić hałas. Tool ma lachrynologię, a wy?

– Szeroką paletę schiz, paranoi, psychoz i co tam jeszcze chcesz.

– Wyłącznie psychiatryczne inspiracje? Czemu więc nie gracie w kaftanach? Byłby lokalny Slipknot i rzesze fanów.

– Dyrektor psychiatryka nie zgodził się na koncert, uderzymy do niego jeszcze w przyszłym roku... A co do inspiracji, no jest tego masa. Poza muzyką to chyba najbardziej filmy. Szczególnie horrory i SF, wiadomo: *Matrix*, *Trzynaste piętro*, *W paszczy szaleństwa*, *Dark City*... Kumpłowaliśmy się od dawna, wymienialiśmy się zawsze ulubionymi tytułami. Do tego książki, Dick, Gibson, tego typu sprawy.

– Większość w tego, co wymieniałeś, ma wspólne wątki. Podważa świat realny, przedstawia rzeczywistość rozszczępioną, zagubionych bohaterów, którzy nie wiedzą, czy nie oszaleli...

– Dokładnie. Z tego typu twórczości najbardziej ekstremalne rzeczy kręci gość o pseudonimie Adam Omega. To się nazywa sztuka filmowa, jak tak teraz myślę, jego filmy dały mi chyba najbardziej po głowie.

– Amerykanin?

– Polak.

– Serio? Pierwsze słyszę. Chyba kolejna nisza.

– Wybitny koleś. Zupełnie nieznany popcornozercem, ale rozpoznawalny na mniejszych festiwalach. Kultowy, w dobrym znaczeniu tego słowa.

– Młody? Debiutant?

– A skąd! Staruszek. Pewnie z osiem dych na karku. Nakręcił sześć filmów, teraz pracuje podobno nad swoim *opus magnum*.

– Dziadzio, z takim pseudo? Myślałem, że ludzie na starość poważnieją.

– Adam jest młody duchem, zawsze w awangardzie, trochę jak Różewicz. Spotkałem go tylko raz, ale nie pamiętam, żebym kiedykolwiek słyszał taką nawijkę od kogokolwiek. To był cały wykład, setki anegdot, może się schować Wikipedia. On wie wszystko o wszystkim. I nie przynudza ani przez chwilę. Gadaliśmy godzinami, o solipsyzmie, samotności jednostki, względności każdego ze światów. Z pamięci cytował Baudrillarda i McLuhana, wspominał o Vico, Nietzschem, objaśniał przystępnie, jak czegoś nie kumałem.

I pomyśleć, że większość osób w jego wieku to już tylko Alzheimer albo klepanie różańca...

– W jaki sposób wpłynął na wasze granie?

– Wpłynął to za mało powiedziane. On nas, cholera, zdefiniował. Od podstaw. To jest tak. Oglądasz jakiś jego film, przez cały seans próbujesz się połapać, o co idzie, a potem nagle jest taka scena, jakbyś dostał młotem w mózg. I nic już nigdy nie jest takie samo.

– To jak po przesłuchaniu waszej EPki.

– O taki efekt szło. Szkoda, że póki co, to tylko pięć utworów. Może kiedyś szarpniemy się na *longplay*.

– Kto wam to puścił? Na odwrocie nie było nazwy wytwórni.

– *Self-made*, z małą pomocą przyjaciół. Produkcją zajął się nasz nieoceniony Krzysiek Bala, chyba jedyna osoba, która zawsze w nas wierzyła. Ten gość to taki swojski Steve Albini. Cuda robi, jak tylko siada za konsolą.

– Też fan Omegi?

– Pewnie, jak my wszyscy... Słuchaj, jak cię Omega ciekawi, to my zaraz wracamy na motel, gdzie mamy wideo, no i jakąś kasetę Adama – wczesna rzecz, co nie znaczy, że nie wczesana. Zawsze wozimy ze sobą jakieś jego filmy, dobrze nam robią po graniu. To co, reflektujesz?

– Brzmi nieźle. Zgoda.

– Tym razem mamy jego debiut – czarno-białą krótkometrażówkę *Ulica uli*. Powinno do ciebie trafić.

4

Spokoju już nie było, koszmary wróciły. Ta cała Zyprexa chyba przestała działać. Dziś od rana udawałem przed matką, że wszystko jest całkiem spoko, ale korba waliła mi ostro. Musiałem się bardzo starać, żeby stara się nie skapła, jak jest.

Odkąd się obudziłem, głowę miałem lekką, jakby napełnioną helem. Choć może to nie hel, bo głos miałem normalny, nie jak wiewiórka z kreskówki. Może to było coś zupełnie innego, jakaś wata, co mi ją ktoś wepchał do czachy. Tylko po co? Może, żebym nie mógł myśleć o celuloidowym więzieniu i o tym, jak uwolnić z niego ludzi.

W nocy porobiły się naprawdę chore rzeczy. Zwidy i majaczenia. Widziałem pokój pełen luster. W jego epicentrum stał stary telewizor. Podeszedłem do niego, bo wydał mi się inny, dziwniejszy od tych, które znałem. Ekran był czarny jak otchłań, naprawdę przerażający. I pulsował. Jak tylko go dotknąłem, to w miejscu, gdzie moje palce zetknęły się z powierzchnią, pojawiły się koła, zupełnie jakby wrzuciło się kamienie w wodę. Wydygany byłem już nie na żarty. To nie telewizor! To było żywe! Jakaś chora istota, drapieżna, mięsożerna. Wiedziałem, że cały czas mnie obserwuje, szykuje się do ataku. Przybyła z daleka i była wrogo nastawiona do gatunku ludzkiego. Chciała zająć moje miejsce, żyć moim życiem. Może właśnie dlatego telewizory stoją w centrum każdego mieszkania. To najlepszy punkt do podpatrywania zachowań domowników. A później można ich łatwiej udawać i nawet nikt się nie skapnie, o co chodzi. Ciarki przeszły mi po plecach, jak sobie to uświadomiłem.

Odsunąłem się, choć przeczuwałem, że może być za późno. Czemu od razu nie uciekłem? Czemu tak mnie to paskudztwo przyciągało do siebie?

Nagle z wnętrza ekranu wyłoniła się pokryta ciemnym śluzem dłoń.

Zanim się zorientowałem, złapała mnie za gardło i zaczęła wciągać w głąb telewizora.

Chciałem krzyczeć, wzywać pomocy, ale wtedy dotarło do mnie, że nie mam ust. Przypomniałem sobie, że w swoim życiu oglądałem tak dużo telewizji, że zupełnie przestałem kontaktować się z ludźmi. Przestałem rozmawiać, więc moje usta – organ zupełnie już niepotrzebny – zarosły grubą błoną.

Teraz tylko oczy mogły wyrazić mój strach. Płakałem, łzy spływały mi po policzkach. A ręka ciągnęła mnie mocniej i mocniej. W końcu całkiem zniknąłem w otchłani ekranu. Było tam ciepło i ciemno, zupełnie jakbym tkwił w czyimś łonie. Liczyłem na to, że wreszcie się obudzę, ale koszmar trwał w najgorsze. Widziałem jak niesamowicie powolnym ruchem z telewizora wyłania się ktoś bliźniaczo podobny do mnie. Mój sobowtór miał przekrwione oczy i poszarzałą twarz. Dało się wyczuć, że jest tu „nowy”, ruszał się niepewnie, w tej rzeczywistości na razie czuł się obco. Drżał i garbił się. To nie byłem ja. To było coś starego, odrażającego. Coś, co od lat marzyło, żeby zająć moje miejsce i teraz mu się udało.

Gdy uświadomiłem sobie, że tkwię uwięziony po drugiej stronie szkła, a moje złe odbicie, pomnożone setką luster, zmierza w kierunku drzwi, by

odtąd żyć moim życiem, grać moją rolę, obudziłem się. Od razu zdałem sobie sprawę, że ten dzień nie będzie podobny do innych. Wiedziałem, że to już koniec.

* * *

Matka specjalnie wzięła urlop, żeby mnie pilnować. Żeby mieć pewność, że nie zrobię sobie krzywdy. Wiedziała, że jest źle, psychiatra, u której byłem, nie miała najlepszych wieści. A ja już sam nie wiem, czy baba była jebnięta, czy nie, bo jak zaczęła mi wtedy pokazywać cipkę, to nic tam nie miała, tylko plastik jak lalka Barbie. No i jak zamrugalem, siedziała normalnie i gapiała się na mnie, że co ja odwalam. To dlatego matka teraz zmieniła się w więziennego klawisza, normalnie, kurde, *Zielona mila*. Czasami jednak musiała wyjść z mieszkania, zrobić zakupy, zapłacić rachunki, zająć się sprawami. Na to właśnie czekałem od samego rana, udając, że jest dobrze i że nie musi się już o mnie martwić. Byłem cierpliwy, nie dawałem niczego po sobie poznać.

W końcu wyszła. Wiedziałem, że mam pewnie z dziesięć-piętnaście minut, bo poszła tylko na pocztę. Otworzyłem okno, usiadłem na parapecie i zacząłem przypatrywać się niebu. Znowu przypominało ekran, sywał z niego gęsty śnieg zakłóceń, którego syk słyszałem głęboko w sobie.

Spojrzałem na ludzi przechodzących pod blokiem. Z wysokości byli naprawdę mali i śmieszni. Jak marionetki, sterowane ręką ukrytą za ciemnym szkłem nieba. Zrobiło mi się ich żal. Nieświadome stworzonka, wiodące swoje smutne i bezbarwne żywoty. Nie zdawali sobie z niczego sprawy. Choć może to i lepiej. To, że poznałem prawdę o tym świecie, porobiło mi w mózgu niezłe dziury.

Miasto widziane z góry wydawało się cholernie dziwne. Niektóre budynki były jak fatamorgana, drżały jak powietrze nad rozgrzanym asfaltem, chociaż dzień był chłodny, piździło deszczem czy może zakłóceniami, jak we wszystkie poprzednie. Bezbrzeżnie nudny, opowieść bez fabuły. Zdawałem sobie sprawę, że niedługo to wszystko zniknie, wyparuje jak wspomnienie, którym tak naprawdę było. Zostanie pustynia, bez ludzkich urojeń, marzeń i sensów. Bez historii, których nie będzie miał kto opowiedzieć. Woląłem nie być świadkiem takiej tragedii, co nawet Antygona miała lepiej, a wiem, bo to akurat miałem przeczytane.

Za plecami coś zaszumiało. Popatrzyłem, a tam telewizor, nagle obrócony do mnie, ekran się mu zapala, z głośników najpierw syczy jadownicie, a potem idzie damski głos, od którego chce mi się rzygać.

– Matka zapieprza od rana do nocy, żeby cię utrzymać, ty mały, niewdzięczny skurwysynie. Po co się rodziłeś? Koledzy mają cię za frajera. A dziewczyny, o których myślisz, gdy szarpiesz pałę w kiblu? No a jak ci się wydaje, Andrzej? Uważasz, że nagle się zakochają? Ty jesteś najzwyklejszą pizdą, wiecznym prawiczkim, zakałą rodziny. Powiedz mi, widziałeś kiedyś śmierć? Ale nie na zdjęciu, czy filmie, tylko taką prawdziwą?

Odwracam głowę, cały się trzęsę. Wiem, że nie ma już na co czekać.

Nikogo nie oświecę, nikogo nie uratuję. Za bardzo się boję, żeby choćby rozbić kopem ten ekran, co nie chce teraz przestać szczeleć.

Chciałem wyznać komuś prawdę o moim objawieniu, o tym wszystkim, co się wokół działo, ale uznali mnie za wariata, wysłali na leczenie. Pewnie każdy świr sądzi, że jest wyjątkowy. A to tylko zgraja idiotów, którzy nie nadają się na ten świat. Też taki jestem.

Odebrano mi nawet nadzieję. Nawet tego, kurwa, nie mogłem mieć.

Przez chwilę macham nogami w powietrzu, beztrudno, jak za dzieciaka na trzepaku. Przypominają mi się dni, które spędzałem na osiedlowym placu zabaw, na huśtawce, trzepaku, piłce z kolegami. To było dawno, bardzo dawno. Arkadia, cholera jasna. Wciąganie kleju pod szkołę. Słodki zapach unoszący się z lufek. Dziewczyny, które nie zwracały na mnie uwagi i to się do teraz nie zmieniło. Gry, filmy. Godziny spędzone w budzie, długie jak makaron rzygicznego spaghetti. Jakie to było żałosne. Teraz wiem, że beze mnie byłoby wszystkim lepiej. Nawet mnie samemu.

Jestem taki niepotrzebny... Stary... Zmęczony...

Naprawdę nie chciałem, żeby tak wyszło.

Ale to jedyna szansa, by się stąd wydostać.

Skończyć z tym raz na zawsze.

– Przepraszam – mówię, choć jestem w mieszkaniu sam.

Potem skaczę.



Wielki wyjazd, wielki wyjazd, wielki wyjazd

1

W niewielkim pokoiku położonego na przedmieściach Krakowa motelu cisnęło się pięciu dorosłych mężczyzn, których łączyła wręcz rzadka więź – uwielbienie sztuki we wszelkich jej przejawach. Tak przynajmniej myślał o tym spotkaniu Olek, nadal podchmielony, choć wypił jedno piwo i to jakieś cztery godziny wcześniej. Odnosił wrażenie, że ludzi takich, jak oni jest z każdym dniem coraz mniej, jakby rozplywali się w powietrzu. Nie przejmował się tym jednak zbyt, traktował to jak żart. Wszystko, co przytrafiało mu się w ostatnim czasie, traktował jak żart. Swoją pracę, życie, motanie się przy najprostszych sprawach. To był tylko skecz, który ktoś właśnie prezentował rozbawionej publice. Przecież naprawdę takie rzeczy nie mają prawa się dziać.

Olek cieszył się, że tamci grają tak świetnie, a są normalni, otwarci, sympatyczni. Mógł przecież trafić na jakiś ekscentryków, artystów od siedmiu boleści, pseudosatanistów, składających ofiary z kotów, myszy, czy czego tam jeszcze. Ci panowie nie wyglądali na takich, którzy chcieliby tu zaraz odprawić czarną mszę.

Z niecierpliwością czekał na projekcję. Choć może użycie słowa projekcja w stosunku do puszczenia *Ulicy uli* na dwudziestojednocalowym telewizorku było grubą przesadą. Oczekiwania miał jednak wielkie.

– Zanim to puścimy, muszę cię ostrzec. To naprawdę nie jest taki zwykły film, potrafi zaorać głowę – stwierdził Rob, z dziwną powagą w głosie.

– Gadasz, jakbyś miał zamiar mi pokazać tę kasetę z *Ringu*. Albo co najmniej jakiś *La Fin Absolue Du Monde* – zaśmiał się Olek.

– No bo to jest coś w tym stylu. Może widziałeś w swoim życiu różne przegięte rzeczy, hardcorowe horrory, ekstremalne pornole, jakieś części

Obliczy śmierci... Ale *Ulica* to osobny rozdział. Mocniejszy i dający kopa w mózg bardziej niż cokolwiek. Tego nie wymażesz tak łatwo z pamięci. To robi z tobą coś takiego, że będziesz się czuł, jakby cię, cholera, naznaczono, wypalono piętno na mózgu.

– Jak to miała być antyreklama, nie wyszło.

– Jesteś pewien, że chcesz? Nie gadam tego wszystkiego po to, żeby cię wystraszyć. Chcę, żebyś wiedział, jak się sprawy mają. To Sztuka przed duże „S”, ale potrafi zrobić miazgę z umysłu. Były przypadki, że ktoś okazał się zbyt słaby na taką jazdę. I to nie żadne miejsce legendy.

– No a po co niby tu przyjechałem? Tyle mi nagadaliście o tym Omedze, że mógłbym sam założyć jednoosobowy fanclub. Nie gadaj już, puszczaj.

Rob wsunął kasetę w magnetowid. Pozostali nagle umilkli. Olek stwierdził, że to trochę... upiorne. Oni traktowali ten film jak mszę, którą trzeba odprawiać w absolutnej ciszy. Chyba jednak przeginali. Choć miał wielki szacunek dla kinematografii, szczególnie w jej niekomercyjnym wydaniu, nigdy na punkcie żadnego filmu nie odbiła mu aż taka szajba. Słyszał kiedyś o podobnych grupach, tak zwani fetyszyści sztuki, zafiksowani na czymś do samego końca. Któryś powiesił się w galerii, nocą, przy ukochanej instalacji. Inny zapodał w kable złoty strzał, w słuchawkach mając jedną jedyną piosenkę, nagrałą dwadzieścia trzy razy z rzędu. W sumie do takich należał też chyba Chapman, ciągle pół kroku za Lennonem, z książką Salinger'a pod pachą. Tyle że Olek taki nie był i mu to nie groziło, choćby tu za chwilę zobaczył drugie przyjście Jezusa nadawane na żywo.

Przez jakieś piętnaście sekund na ekranie majaczył tylko śnieg zakłóceń i niewyraźny zarys jakiejś postaci, której nie dało się w żaden sposób zidentyfikować. Olek zaczął się bać, że cały film jest taki, „artystyczny” do przesady, jak *Begotten*, albo gnioty w rodzaju *Irreversible*, gdzie nie wiadomo, czy operator właśnie sobie wali, czy jeszcze udaje, że kręci. Po chwili jednak wszystko wróciło do normy.

Zobaczył zgarbionego mężczyznę. Samotnie szedł pustą ulicą, pośród przygnębiającego postapokaliptycznego krajobrazu, wśród ruin jakiegoś miasta, zgłiszczy budynków dymiących niczym fabryczne kominy, popękanych murów nieznannej metropolii. Bohater poruszał się bardzo... ekscentrycznie. Głowa drgała jak zawieszona na sprężynie, przez co to wszystko kojarzyło się z klipami Toola. Było jednak znacznie bardziej nieprzyjemne w odbiorze. Oglądanie killkunastominutowego marszu wśród ponurych pozostałości

nieokreślonych zabudowań, wstęg dymu pnących się w brudne niebo, rzeczywiście męczyło, jakby widział maszerował razem z bohaterem. Każdy krok aż bolał, nieraz wywołując grymas na twarzy.

W końcu mężczyzna dotarł do rozległej hali, na pierwszy rzut oka przypominającej opuszczony magazyn. Wszedł do środka. Od tego momentu operator kamery przeszedł na kręcenie „z ręki”. Obraz zrobił się rozedrgany i ziarnisty. Olka zapiekły oczy. Czuł ziarenka piasku pod powiekami, jak po wędrówce przez pustynną okolicę... Popatrzył na pozostałych. Wyglądali na pogrążonych w transie. Film wessał ich bez reszty. Przestali nawet mrugać. Przestali nawet... oddychać?

Mężczyzna szedł wnętrzem hali, pośród wysokich na kilkanaście metrów regałów wypełnionych kasetami wideo i płytami. W kilkusekundowych odstępach na ekranie migały trudne do zdefiniowania obrazy. Strzępy wspomnień? Sceny z dziećmi bawiącymi się w piaskownicy, fragmenty filmów dokumentalnych o drugiej wojnie światowej, zdjęcia z obozów koncentracyjnych, chudzi jak szkielety ludzie otwierający usta w niemej prośbie, wybuchy niszczące całe miasta, rosnące grzyby atomowych eksplozji, neony nocnych klubów, w których odziani w czarne skóry osobnicy spółkowali ze świniami, podrzynając im gardła i pijąc posokę, rozrywane ciała noworodków, otwarte złamania, ciemna krew na białych kościach, rozpruwane hakami łona kobiet, wysysane gałki oczne...

Olek czuł, że robi mu się sucho w ustach.

Nie chciał patrzeć, ale nie mógł oderwać wzroku.

Bohater stanął przez jednym z regałów. Zdjął z półki pudło z kasetami. Wybrał jedną, po czym podwinął koszulę. Nadal nie było widać jego twarzy. Na klatce piersiowej miał wycięty żyłką lub nożem napis „Play”: czerwone litery na poranej bliznami skórze. Przyłożył do niego dłoń i wtedy na ekranie pojawiła się kobieta, wyskoczyła niespodziewanie jak królik z kapelusza. Była zgarbiona i cała się trzęsła. Nosila coś, co przypominało habit.

Olek cały zdrętwiał.

Chciał jak najszybciej wyjść na świeże powietrze.

Dusił się tu. Jakby siedział przed tym ekranem od cholernych stuleci.

Nie mógł już wytrzymać.

Mężczyzna i kobieta ruszyli razem przez halę, na końcu której stał stolik z magnetowidem i pokrytym pajęczynami telewizorem. Migotliwe reminiscencje ustały jak nożem uciął. Mężczyzna włączył kasetę. On i jego

towarzyszka zaczęli oglądać film, w którym występowali jacyś młodzi ludzie. Na pierwszy rzut oka nie dało się poznać, kto to taki, jednak po dłuższej chwili Olek ze zgrozą stwierdził, że to przecież byli... on i Anka. Sceny z ich wspólnego życia wyglądały na ekranie jak nieme komedie z początków ubiegłego stulecia. Śmieszne małe ludziki wiodące swoje śmieszne małe żywoty. Potem ujrzał jeszcze siebie i Kasię, siedzących w „Hobb's End”. Chmury dymu tuliły się do nich niczym stęsknione widma. Nie było z nimi Tadka. Musiał wyjść wcześniej. Albo... nie przyjść wcale.

No popatrz, stary, jak było naprawdę, przypomnij sobie, dlaczego Anka cię zostawiła. Miej oczy szeroko otwarte. Ani mi się waż mrugnąć, kłamliwy skurwielu.

On i Kaśka spotykali się od kilku tygodni. Tamto wyjście do knajpy miało być ich ostatnim, bo potem Anka dowiedziała się o wszystkim i kontakt nagle się urwał. Olkowi chodziło tylko o seks, nic więcej, naprawdę nie traktował tego poważnie. Chciał robić coś tylko dla przyjemności, zwyczajnie popić, poćpać i poruchać, wreszcie niezwiązany zobowiązaniami, niezakneblowany przez tak zwane uczucia i całą resztę gówna. Jego życie wreszcie przestało być takie puste i beznadziejne, powrócił dawno zapomniany dreszczyk, czy to nie wspaniale? Teraz, widząc to raz jeszcze, na spokojnie, w formie filmu, dostrzegł, jak chujowo postępował. Gdy tak na to patrzył, czuł się nagi, żaloszny, skompromitowany. Ktoś nagrał jego życie, jego myśli i emocje, nawet te paskudne. Wszystko, co miał i czym nie musiał się z nikim dzielić. Wywłókł na światło dzienne rzeczy, które na zawsze powinny zostać ukryte w cieniu.

Olkowi zrobiło się tak niedobrze, że bez zastanowienia wybiegł z pokoju.

Myślał, że się porzyga. Stał pochylony w korytarzu, wparł dłonie na kolanach. Oddychał ciężko, starając się powstrzymać opanowujące go drgawki. Dziwaczne uczucie, jakby ktoś pieścił go paralizatorem. Takiego czegoś nie przeżył nawet po najgorszej imprezie swego życia...

Gdy przypominający padaczkę atak minął, Olek wyprostował się i odetchnął głęboko. Miał nadzieję, że już po wszystkim. Tak, to musiał być koniec, bo na szczęście żaden zły *trip* nie trwa wiecznie, w końcu trzeźwość bierze nas w ramiona i jest dobrze. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że nie znajduje się już w motelu. Stał na pustej ulicy, wokół roztaczał się przytłaczający krajobraz zniszczenia, apokaliptyczna panorama, zagłada nie znająca litości ani umiaru.

Wszystko w zasięgu wzroku było czarno-białe.

Olek wrzasnął.

2

Do domu Witczaka Anka i Paweł poszli jeszcze tego samego dnia, zaraz po wyjściu z biura Telenovy. Paweł twierdził, że na dziś starczy, zaraz będzie noc i nie ma co się wygłupiać, ale Anka powiedziała, że skończy to dzisiaj, nawet jakby miała tego gnoja, który ich nagrywał, z łóżka wyrwać.

Stara kamienica, w której mieszkał, sprawiała odpychające wrażenie. Śmierdziało w niej kocimi szczynami i naftaliną. Na parapecie półpiętra siedział pluszowy miś z wydłubanymi oczami, ze środka wystawała tylko rudna wata. Ściany ozdabiały czarne napisy markerem, jak ślady pazurów czy może pęknięcia. „Bohater u kresu” – głosił jeden z nich. Paweł, nie wiedzieć czemu, doszedł do wniosku, że mowa właśnie o nim. U kresu wytrzymałości, dodał w myślach.

– Jak szef czegokolwiek może mieszkać w takiej ruderze? – dziwiła się Anka.

– Może się jeszcze nie dorobił albo jest ekscentrykiem zajawionym w umiłowanie biedy – próbował żartować Paweł. – Zresztą, Telenova nie wyglądała lepiej, tylko w telewizji wszystko niby pięknie, a na żywca ruiny i próchno, bez pudru.

Z trudem wdrapali się na najwyższe piętro. Z każdym kolejnym schodkiem coraz bardziej zaczynali się garbić, jakby przybywało im lat, a bagaż bolesnych doświadczeń był już nie do udźwignięcia. Ich nogi stały się ciężkie, niczym odlane z ołowiu. Oboje nie przywykli do takich wycieczek. Kondycję mieli jak starcy. U siebie zawsze korzystali z windy i żalowali teraz, że dawniej w wysokich budynkach wind się nie montowało.

Ding-dong!

Ding-dong!

Za drzwiami z numerem 15 dało się słyszeć szuranie. Jakby kogoś wleczono.

Anka ze strachem w oczach popatrzyła na Pawła. Może niepotrzebnie tak naciskała, mogła go posłuchać i być już w domu, pod koldrą, w ciepелku oglądać romantyczną komedię i wiedzieć, że wszystko się dobrze skończy. Mogli po prostu zapomnieć, co widzieli i mieliby teraz święty spokój.

Drzwi się otworzyły. W progu stanął niski, łysy grubasek. Anka była niemal pewna, że skądś go zna. Występował kiedyś w telezakupach, a może w serialu. Cholera, ostatnio coraz częściej prześladowało ją złudzenie, że zna kogoś z ekranu. Istna paranoja, otwierasz konserwę, a tam aktor czy prezenter. Więcej znajomych miała za szkłem niż w realu.

– No! Nareszcie dotarliście! – powiedział na przywitanie, podając im dłoń.

Miał w sobie coś z klauna, wywoływał to samo wrażenie smutku skrywanego pod powierzchowną wesołością.

– Rafał Witczak? – Paweł rzucił to tonem, którego zapewne nauczył się, próbując wystraszyć szturmujących jego klub meneli.

– Pewnie, pewnie, jak tam chcecie – odparł grubasek, przywołując na twarz uśmiech rodem z reklam past do zębów. – Anka i Paweł, zgadłem? Poważna pani filozof i podkochujący się w niej jajcarz.

Z bliżej nieokreślonego miejsca dotarły do nich głośnie śmiechy, brzmiące, jakby zostały puszczane z taśmy.

Paweł się zarumienił i miał tylko nadzieję, że Anka tego nie zauważy.

– Skąd nas znasz? – zapytała Witczaka, nie kryjąc zaskoczenia.

– Jak to skąd? Z telewizji!

Znów rozległy się śmiechy, tym razem połączone z brawami.

– A tak naprawdę – ciągnął Witczak – to z najnowszego przedsięwzięcia ojca. To chyba oczywiste. Niedługo wszyscy was poznają, gdy tylko tata zakończy projekt i puści go w obieg. Dzieło zacznie żyć własnym życiem. A może nie własnym, tylko waszym.

– Projekt twojego ojca? O czym ty w ogóle...

– No, już, już, nie stójcie tak w korytarzu jak te cielęta, zapraszam do środka – rzekł, wykonując wystudiowany gest.

Wiedzieli, że nie powinni, ale wiedzieli też, że nie ma innego wyjścia. Jakby ktoś napisał dla nich tę scenę, a oni nie mogli mieć wpływu na jej przebieg. Paweł, choć starał się wyglądać na twardego jak Clint Eastwood w swych najlepszych latach, miał ochotę spieprzać z tej przeklętej kamienicy i nigdy nie wracać. Anka podobnie, już jej odeszła chęć dorwania typa, który ich w to wszystko wkręcił, przynajmniej dzisiaj. Z drugiej strony, tak naprawdę spełniły się ich marzenia, w ich życie wkradła się wreszcie tajemnica, rozwiała nudę, dodała smaku, nawet jeśli paskudnego.

Weszli więc, zamykając za sobą drzwi.

– Jeśli idzie o ojca, to... no cóż. Nie będę owijał w bawełnę. Jest z nim nie za dobrze. – Zawiesił głos i na moment ukrył twarz w dłoniach. – On... jest już umierający. Nie zgodził się, żeby zabrać go do szpitala. Nalegałem, ale on zawsze musi być tak kurewsko uparty... Przepraszam. – Opanował się trochę i po chwili kontynuował. – Tata zrobił to dla was. Powiedział, że będzie czekać tu, na własnych śmieciach, tak jakby to jeszcze miało znaczenie. Ale bardzo chciał się z wami spotkać. A jego życzenia są dla mnie rozkazem.

– Zaraz, zaraz – przerwała mu Anka. – Mógłbyś już... przestać? Może i twój ojciec jest chory, ale teraz po prostu grasz. Jesteś aktorem, widziałam coś z tobą. Więc albo nam powiesz, o co w tym wszystkim chodzi i skąd tak naprawdę nas znasz, albo wychodzimy.

– Najlepiej będzie, jak odpowiedzi na wszystkie pytania udzieli wam ojciec. On jest cierpliwy, lubi najpierw słuchać, żeby potem wyjaśniać, zaskakiwać, przestraszać. Wbrew pozorom, wcale nie jest zły. Choć dobry też nie jest. A skoro już jesteśmy przy ocenach, to jak wypadłem? Mocne dziewięć na dziesięć?

Z ukrytego głośnika rozległ się głos babsztyla z siedziby Telenovy:

– Jak nie ty ich, oni ciebie, pamiętaj!

– No dobrze, nie musicie wystawiać mi oceny. Chodźmy do ojca – powiedział Witczak, otwierając przed nimi kolejne drzwi.

– A kim jest ten twój ojciec, do cholery!?! – krzyknął w końcu Paweł, wyprowadzony już z równowagi zachowaniem Witczaka i jego głosem, brzmiącym, jakby tamten opowiadał dowcipy w *Maratonie uśmiechu*, publicznie i jej reakcje mając w głębokim poważaniu.

Gdzieś w oddali rozległy się nieśmiałe oklaski.

– Ojciec... ojciec nigdy nie używa swojego prawdziwego imienia i nazwiska. Raz wszedł w rolę i już nie odpuszcza. Musicie docenić jego konsekwencję... Prosi, by nazywać go Adam Omega. Może słyszeliście?

3

Spokojnie, chłopie, oddychaj głęboko, to już koniec, naprawdę – uspokajał go Rob.

Olek, jak się okazało, nadal siedział w fotelu. Nie wychodził z pokoju, nie ślaniał się wcale po korytarzu motelu, który zaczął znikać. Chyba wyszedł

z siebie i nawet nie wiedział kiedy. Pewnie było jedno – jeszcze całkiem do siebie nie wrócił, jakaś część została gdzieś tam, na zewnątrz.

Tylko mi się zdawało, powtarzał w myślach, jakby to była lecząca psychiczne rany mantra. To była tylko zwykła schiza. Nie pierwsza i nie ostatnia. Zły *trip*. Skręt w ślepy zaułek. Nic wielkiego. Każdemu może się zdarzyć. Wprawdzie nieczęsto na trzeźwo, ale może jest i taka opcja i nie musi wcale oznaczać choroby.

Cały drżał z przerażenia. Pocił się jak w gorączce. W ustach miał tak sucho, że jego język zmienił się w drewniany kołek, którym nie dało się ruszać. Musiała minąć dłuższa chwila, nim Olek był w stanie cokolwiek powiedzieć.

– Ja tam byłem... na tym filmie, widzieliście? Ja i Anka... moja eks. Skąd my się tam wzięliśmy? Jak to zostało nagrane? Co to w ogóle miało być?

– O czym ty gadasz? – Rob patrzył na niego jak na pomyłkę.

– Nie widzieliście?! No na filmie, co szedł w tym małym telewizorku! Tam przecież byłem ja. To były sceny, to były...

– Jezu, ale go zmiotło – mruknął Timo, wyciągając czteropak z lodówki. Wszyscy w pokoju byli nadzwyczaj spokojni, jakby nie wydarzyło się nic dziwnego. Wszyscy, oprócz Olka.

Robert poklepał go po ramieniu.

– Po prostu odjechałeś, stary. Ostrzegalem cię, ten film mocno ryje psychikę. Wkręciło cię, mocniej nawet niż któregoś z nas. To się zdarza przy filmach Omegi. Podobno paru fanów Adama trafiło po takim seansie na oddział. Przynajmniej takie legendy krążą po sieci, czasem powtarzane na zamkniętych pokazach. Tu trzeba mieć naprawdę silną wolę, duże poczucie rzeczywistości i dystans, żeby nie dać się wymanewrować na manowce własnej podświadomości. Omega lubi grać z widzami, lubi też z nimi igrać.

– Czyli... czyli wy wcale... nie zobaczyliście na ekranie mnie? W takim razie co? Co było na tym telewizorku, jak bohaterowie puścili kasetę?

– Widzieliśmy to, co zawsze. Filmik o wcześniejszych losach głównego bohatera *Ulicy*, o jego życiu w czasach przed Apokalipsą. Historię jego i jego zmarłej na raka żony. Czyli tej kobiety, której ducha spotkał w magazynie.

– I ten bohater... To... to na sto procent nie byłem ja?

– Chciałbyś. – Zaśmiał się Timo, wyciągając zimną puszkę do Olka. – Każdy marzy o zagranii w filmie Omegi, ale nikomu się nie udaje.

Olek odmówił browca, skrzywił się tylko, ocierając pot z czoła. Teraz już wiedział, jak musi czuć się jego szef, że się tak bez przerwy poci. Wieprza

dręczy nieustająca gorączka. Może właśnie przez nią rzuciło mu się na słuch?

– Jak to nikomu?

– On... po prostu nie angażuje aktorów – wyjaśnił Rob, choć Olkowi nadal trudno było to pojąć.

– Nie? No to w jaki sposób kręci te swoje...

– Tego nie wiemy. Krążą pogłoski, że ma jakieś urządzenie, coś jak Maszyna Snów Gysina i Burroughsa. Omega ponoć dzięki niemu przekazuje swoje wyobrażenia, sny i wizje bezpośrednio na taśmę. Nie wiem, jak by to miało wyglądać, czy zakłada na głowę takie coś, jak przy badaniu EEG... Nie mam pojęcia. Może to kolejny sieciowy mit, puszczano w eter, żeby tylko umocnić wokół niego aurę tajemniczego geniusza, którego nikt nigdy nie pojmie.

Olek w życiu nie słyszał o czymś podobnym. To brzmiało jak jakaś kosmiczna bzdura, niczym dosłownie najlepsze dokonania Monty Pythona. Kim, do diabła, był ten cały Omega? Czemu jego debiut przeorał świadomość Olka aż do tego stopnia? On przecież widział już wcześniej sporo pogiętych rzeczy, swego czasu był wielkim fanem *Las Vegas Parano*, zapodawał to sobie nałogowo, miał DVD z kolekcjonerskiego wydania. Ale to... to było zdecydowanie ponad jego możliwości. Ponad możliwości każdego w miarę normalnego człowieka. Reżyser powinien wiedzieć, że między nim a widzem istnieje niepisana umowa, kredyt zaufania do twórcy – nie należy z tym kombinować, bo komuś stanie się krzywda.

Długo nie mógł dojść do siebie. Tylko raz spotkało go coś podobnego, choć było nieporównanie mniej intensywne – po wielogodzinnym paleniu koledzy wkręcili mu jazdy, mówiąc, że jest balonem, a on nagle robił się lekki i unosił pod sam sufit, a potem wyżej, wyżej, wyżej, aż ujrzał Ziemię z kosmosu. Ale to było dawno i nie był już do takich rzeczy przyzwyczajony.

– A czemu to w ogóle... Czemu to się tak nazywa? *Ulica uli*? – spytał po chwili. – Nie widziałem tam nic wyglądającego jak ul... Ten tytuł ma w ogóle jakikolwiek sens?

– Podejrzewam, że nie. Ale fajnie brzmi. Omega sam kiedyś przyznał w jakimś wywiadzie, że tytuły wymyśla na podobnej zasadzie, jak Gombrowicz przy *Ferdydurke* – tylko po to, żeby wszyscy się głowili, o co tak naprawdę chodzi.

Myślał już, że na dobre ochłonął, ale wracając przez miasto rozklekotaną redakcyjną micrą, Olek cały czas odnosił wrażenie, że dalej coś jest nie tak. Raz wydawało mu się, że wciąż siedzi z chłopakami w motelu i znowu ogląda tamten popierdolony film. Raz, że jest jeszcze na koncercie i to muzyka Statystów wprowadziła go w stan głębokiej hipnozy, a wszystko, co było potem, wcale się nie wydarzyło, nawet nie zdążył do nich podejść, gdy zaczęli pakować sprzęt. W końcu doszedł do wniosku, że szef przecież nie pożyczyłby mu auta na nocne eskapady, więc być może nawet jest jeszcze w redakcji, dopiero dostał od naczelnego EPkę Statystów i wpatruje się w wir na okładce płyty.

– Zaraz całkiem mnie pojebie – szeptał. – Zaraz tak mi odpierdoli, że pomylę górę z dołem...

Miasto widziane przez szyby było całkowicie nierealne. Budynki przypominały gigantyczne nagrobki, skąpane w bieli. Neony sklepów błyszczały we mgle, przechodnie robili się przejrzysti niczym swoje własne hologramy.

– Mogłem z nimi nie jechać. Koncert spoko, płyta dobra, wrócić do siebie i pomyśleć nad recenzją, tyle. A teraz, przez ten... przez ten kurewski film, ja... ja po prostu... – mówił sam do siebie, nie potrafiąc przestać.

Postanowił włączyć radio, żeby nie słyszeć własnych myśli, zagłuszyć lęk, który cały czas towarzyszył mu jak wierny cień.

– Wiadomość z ostatniej chwili – zabrzmiał z głośników czyjś beznamiętny głos. – Reżyser Adam Omega zmarł dziś wieczorem, o godzinie 22:23... Wiadomość z ostatniej chwili: reżyser Adam...

Olek spojrział na zegarek. Była dopiero 21:12. Ktoś tu odpierdalał kolejny kabaret? A może on sam znów się wkręcał w jakąś grubszą jazdę?

Skręcił na pobocze, zatrzymał samochód.

Uchylił szybę i krzyknął do przechodzącego nieopodal staruszka:

– Przepraszam pana! Która godzina?!

Staruszek był zgarbiony, głowa trzęsa mu się niczym szałwik. Gdy spojrział na Olka, ten zamarł ze zgrozy. Miał przed sobą głównego bohatera *Ulicy uli*. Choć ani razu nie zobaczył twarzy tamtego aktora, był pewien, że teraz widzi dokładnie tę samą osobę. A była to pewność gorsza od najgorszego koszmaru. Pewność, że właśnie przekroczył granicę, która dzieli normalnych ludzi od

tych, którzy srają pod siebie, wystukując głową o ścianę niezbadany rytm, podsuwany im przez oślizgłe bestie z innych wymiarów.

Siedział bez ruchu i myślał, że przecież wszystko mogło się inaczej potoczyć. Że mógł jednak odpuścić, gdy naszło go na ten mały powrót do młodości, mógł wybrać stabilizację. Gdyby wtedy wybrał nudę, gdyby w porę okiełznał dzikość serca, teraz nie stałby na tym poboczu, wiedząc, że dla niego nie ma już odwrotu. A mógł być dalej z Anką, trzymać się z dala od kłopotów, stać się przykładowym członkiem zdrowej części społeczeństwa, przykładowym, kurwa, mężem, przykładowym, kurwa, ojcem, przykładowym, kurwa, człowiekiem! Ale na to było za późno. O wiele za późno.

– Godzina? – Starzec brzmiał jak odległe echo. – Nasza ostatnia, synu, to już nasza ostatnia...

Olek ruszył z piskiem opon.

Oni wszyscy kłamali, myślał. Żadna z tych rzeczy nie działa się naprawdę. Ten dziadek nie był przechodniem, tylko aktorem, któremu zapłacono, żeby powiedział Olkowi coś takiego.

Poza tym Omega nie umarł. A zresztą, nawet gdyby, nie był chyba aż tak znany, żeby o jego śmierci mówiono w radiu. Nie był aż tak znaczącą osobowością, żeby przejął się tym ktoś spoza wąskiego grona fanów. Zatem kolejna ściema. Nic więcej, tylko czyjś idiotyczny wymysł. Ktoś bardzo się postarał, wstrzelił się w sygnał jakiejś znanej rozgłośni i zaczął rozpowszechniać te brednie.

Olek z wściekłością przekręcił gałkę odbiornika, sprawdzając po kolei inne częstotliwości. Na wszystkich jednak podawano ten sam komunikat:

– 22:23. Adam Omega nie żyje.

Przyspieszył.

Wiedział, że w ten sposób nie ucieknie przed urojeniami, ale mimo to próbował.

Jechał już ponad setkę, micra trzęsła się jakby wchodził w hiperprzestrzeń. Gnał pustymi ulicami miasta, nigdzie nie było innych samochodów. Na żadnym skrzyżowaniu nie działały światła. Rozpędzał się coraz bardziej. Mijane budynki zlewały się w jedną szarą plamę, jakby smugę betonu rozlaną na szybach. Przechodnie zniknęli, pogasły neony i żarówki w domach.

Sto dwadzieścia na zegarze. Olek sam nie wierzył. To nie mógł być grat pożyczony z redakcji, tamten przy osiemdziesiątce dostawał kaszlu i zaczynał się trząść, jakby nadwozie zapadło na Parkinsona. Sto trzydzieści. Depnął

jeszcze mocniej, droga była prosta, żadnych zakrętów, skrzyżowań czy przeszkód.

Nieważne, że coś było nie tak, liczyła się sama jazda, to, że jest coraz dalej i dalej od szaleństwa, które przeżarło to miasto jak złośliwy rak.

Nagle kierownica wyślizgnęła mu się z rąk. Usłyszał przerażający huk, jakby w pobliżu wybuchła bomba, może nawet milion bomb. Wozem szarpnęło kilka razy. Olek zaczął pulsacyjne hamować, chwytając mocno kierownicę, nadal wyrrywającą mu się z rąk. Bał się, że wpadnie w poślizg. Że się rozbije i nie zdąży nawet nikomu powiedzieć, co tu się wydarzyło.

W końcu zatrzymał samochód. Redakcyjny czy nie, lepiej go nie rozpieprzyć. Wyszedł, poklepał auto po masce, była tak rozgrzana, że aż zawył z bólu.

Stał na środku ulicy. Z góry zakładał, że nikt w niego nie stuknie, bo tu... nikogo nie ma. Nie ma, nie było i nigdy nie będzie. Szyby miał całe pokryte szarym pyłem.

Zaczął się rozglądać, wiedząc już wcześniej, co zobaczy. Był świadom, co się teraz stanie, zupełnie jakby to była projekcja, którą oglądał setki razy i miał oglądać dalej, wciąż od nowa, wieczne rozpoczynanie, wieczny powrót do punktu wyjścia, bez prawa do apelacji.

Stał na pustej ulicy, a wokół roztaczał się przerażający krajobraz zniszczenia: dymiące sterty gruzów, zwęglone szczątki ciał, jęki konających, kałuże krwi, odbijające stalowe, ponure jak twarz starca oblicze nieba.

Spojrzał na tabliczkę wiszącą na popękany fragment ściany, który wyrastał z ziemi nieopodal.

Ulica uli 23.

A więc wrócił.

A może to wszystko wróciło teraz do niego?

4

Adam Omega leżał w łóżku. Był tak blady, że jego poryta zmarszczkami skóra przybrała niemal zielonkawy odcień. Wisząca nad nim kroplówka wsączała mu w żyły telewizyjny szum.

W pokoju panował półmrok, żaluzje były zaciągnięte. Charczący oddech brzmiał niczym zacinająca się stara płyta. Nie dobiegał z jego ust, tylko

zawsząd, każda ściana była głośnikiem, od drgań sypał się tynk. Mężczyzna miał sińce pod oczami, ślinę w kącikach ust. Odnosiło się wrażenie, że śmierć jest już dosłownie o krok.

– Witajcie – szepnął Omega. – Czekałem na was. Czekałem tyle lat.

Anka i Paweł skinęli głowami na powitanie, mimo że wcale nie zamierzali. Wszystko już działało się samo, byli więźniami własnych ciał, nad którymi utracili władzę. Nie znali tego umierającego staruszka, nie mieli pojęcia, dlaczego Witczak w ogóle ich tu przyprowadził. To wszystko wyglądało jak wyreżyserowane przez kogoś przedstawienie. Nie mieli ochoty dłużej w nim uczestniczyć, ale wybór nie należał do nich.

– To po prostu... nieporozumienie – powiedziała Anka, zwracając się do Witczaka. – My nie przyszliśmy tu w sprawie ojca. Chodzi o nadawany przez ciebie program.

– Telewizja lokalna jeszcze nie zaczęła działać. Przykro mi – odparł tamten, naśladując głos Maćka, koleś z biura Telenovy. – Ruszymy pewnie w przyszłym miesiącu. Na razie robimy tylko testy.

– To może ta popieprzona audycja też była tylko jednym z waszych chorych testów, co?! – wzburzył się Paweł. – Może teraz próbujecie testować wytrzymałość widzów? Granice naszej już przekroczyliście!

Omega z uśmiechem przysłuchiwał się rozmowie.

– O co wam chodzi? – Witczak nieumiejętnie udawał zaskoczonego.

– Już ty dobrze wiesz. Nie wiem, jak to zrobiłeś, nie używając żadnych kamer, ale mam zamiar się dowiedzieć, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię.

– Ach, program dwudziesty trzeci. Znakomicie. Ojciec na punkcie tej liczby już od lat miał świra. Podobnie jak jeden z jego mentorów, William S. Burroughs, uważa, że ta liczba może mocno oddziaływać na ludzką podświadomość. Wyciągać z niej obrazy, których ludzkie oko nigdy nie powinno oglądać.

– Nie rozmawiamy o liczbach czy podświadomości – zdenerwowała się Anka. – Nagrywaliście nas, bez naszej zgody. I zamiast się przyznać, dalej brniecie w jakiś poroniony skecz. Czemu? Tak trudno przyznać się i przeprosić? Powiedzieć, że wam przykro, ale eksperyment wymknął się spod kontroli?

– Może lepiej będzie, jeśli to ja wam o wszystkim opowiem – wtrącił się Omega. – Eksperyment, obawiam się, poszedł dokładnie tak, jak powinien.

Planowałem go od lat... W moim pierwszym filmie jest taka scena, w której główny bohater przemierza ogromny magazyn wypełniony po brzegi kasetami wideo i płytami DVD. Kiedyś spytano mnie podczas wywiadu, co to miało oznaczać, bo metafory zdawała się mało czytelna. Jednak ja rozwijałem ją później w każdym kolejnym dziele. Akcja *Ulicy uli* ma miejsce po zagładzie znanego nam świata. Ziemia jest zniszczona, miasta obrócone w gruzy, większość ludzi zginęła. Bohaterowie chcieli poczuć namiastkę wieczności, zaczęli więc nagrywać filmy o własnym życiu. Marzyli, że kiedyś, wiele lat po ich śmierci, ktoś je odnajdzie. Liczyli, że ten ktoś, zachęcony tym, co zobaczył podczas projekcji, zacznie ich wspominać, uświadomi sobie, że tamci żyli bez lęku, mimo okoliczności, brali ze świata garściami, i dlatego został po nich tak wyraźny ślad. Wierzyli, że odbiorca poniekąd ich w ten sposób wskrzesi. Magazyn w *Ulicy* wypełniony był takimi nagraniami, zawierał wspomnienia całego wymarłego miasta, które jednak roilo się jeszcze gdzieś w niedostępnej przestrzeni, bo przecież czasem sny i marzenia potrafią przeżyć tych, którzy śnią i marzą.

– Nadal nie widzę związku z nami – wtrąciła się Anka, zauważając, że kroplówka przy łóżku Omegi jest już pusta, a on sam wydaje się odrobinę młodszy niż przed chwilą.

– Zmierzam do wyjaśnienia, nie musicie się niecierpliwić, moja... spowiedź... zajmie tylko moment... To jest taki sąd ostateczny, jaki zawsze sobie wyobrażałem. Nie ja oceniam was, lecz wy mnie. Jestem byt słaby, by siebie rozgrzeszyć. To was proszę o wybaczenie, bo nie byłem w stanie nikogo zbawić, nikogo utrwalić na wieczność, chociaż tyle razy próbowałem, tyle razy... Widzicie, ja też chciałem zostawić po sobie jakąś pamiątkę, stworzyć jakiś zapis mojego życia... Tyle że wewnętrznego, bo na zewnątrz nigdy nic się nie działo, świat nudził mnie coraz bardziej... Zawsze denerwowało mnie, że sztuka nie może być bezpośrednim wyrazem myśli artysty. Pisarz musi przelewać swoje wyobrażenia na papier, nieuchronnie je zubożając, bo słowa zawsze odstają od znaczeń, zostawiają tyle rzeczy bez nazwy. Malarz nigdy nie odda piękna duchowych krajobrazów w ograniczonej palecie barw. No a reżyser... Z nim najgorzej. Sukces każdego z dzieł zależy od tak wielu czynników, jest efektem pracy tak wielu ludzi. Nawet jeśli za kamerą stanie wyjątkowo zdolny twórca, zawieść mogą inne rzeczy. Aktorzy źle zagrają, scenografia nie będzie taka, jaka miała być, montaż zostanie zrobiony po partacku... Zawsze marzyłem o filmie, nad którym będę miał pełną kontrolę.

O eksperymencie, w którym nie zagra ani jeden prawdziwy aktor, którego nie zarejestruje żadna kamera, żadne nieobiektywne oko. O czymś ze sfery świadomości i podświadomości, snu i jawy, życia i śmierci, bo to jest przecież nierozzerwalne. Ten mój projekt, możliwy dzięki wsparciu Instytutu Telenova, zatytułowałem... *Prawy, lewy, złamany*.

– A co to wszystko ma wspólnego z nielegalnym filmowaniem naszego osiedla, bo nadal nie bardzo rozumiem? – spytała Anka. Była zmęczona pokrętnymi wyjaśnieniami staruszka. Wolałaby już obejrzeć jego wykład w telewizji. Za szkłem wszystko byłoby bez wątpienia oswojone, spokojne i piękne, a na miejscu jej i Pawła stałaby dobrana para z hollywoodzkimi twarzami.

– To, co mogliście oglądać na programie dwudziestym trzecim, to były właśnie fragmenty mojego najnowszego, trwającego wiele godzin filmu. Dzieła, które miało być ukoronowaniem mojego życia... życia twórcy odchodzącego już z tego świata, żegnającego się ze wszystkim, ale głównie z sobą samym, gorączkowo i nieustannie. Jako pierwsi obejrzelście ten materiał. Można powiedzieć, że przygotowałem dla was pokaz przedpremierowy.

– Przecież na tamtym programie pokazywano właśnie nas. Nie jesteśmy aktorami, z kimś nas pan myli. Rozumiem, że pan jest chory, ale pańskie tłumaczenia nie mają żadnego sensu, brzmią jak... majaczenia – stwierdził Paweł.

– Przestaną tak brzmieć, gdy wyjaśnię jeszcze jedną, kluczową kwestię... A chodzi w niej o to, że pierwszymi widzami mojego nowego filmu zostali jego bohaterowie. Na tym postanowiłem zbudować – szcątkową bądź co bądź – fabułę tego dzieła. Chciałem dać wymyślonym przeze mnie postaciom świadomość tego, czym tak naprawdę jest ich życie i na jakich zasadach się opiera. Chciałem otworzyć im oczy na prawdę, jakkolwiek okrutna by nie była. Robię to, żeby spłacić dług wdzięczności dla kogoś, kto kiedyś oświecił mnie, pozwalając mi narodzić się na nowo. Dla młodego twórcy, który stał się dla mnie prawdziwym zbawcą, o ile sztuka może nieść komukolwiek choć namiastkę zbawienia.

– Zbawienie, oświecenie... pierdolenie ... – Paweł odwrócił się do koleżanki. – Anka, ja wiem, że bardzo chciałaś to wyjaśnić, ale jak widzisz – się nie da. Chodźmy już lepiej. Nawiedzony pajac Witczak zabrał nas do swojego ojca z ciężkim Alzheimerem i teraz się z nas śmieje. Naprawdę nie powinniśmy dłużej...

Anka milczała. Brzuch pulsował jej od bólu i pęczniał, ale była już ponad to wszystko, ponad uczucia i myśli. Niczym zahipnotyzowana, wpatrywała się w pewien punkt pogrążonego w półmroku pokoju, dosłownie nie mogąc oderwać od niego wzroku.

Paweł również spojrział w tamtym kierunku.

Od malucha uwielbiał oglądać pokazy magiczne, sam nawet starał się naśladować niektóre sztuczki z kartami, znikającymi przedmiotami czy kwiatami wyjmowanymi z kapelusza. To było łatwe, wystarczyło mieć sprawne dłonie i umieć odwracać uwagę. Jednak to, co ujrzał teraz, mimo że było jak najbardziej magiczne, w żadnym przypadku nie okazało tylko zwykłą sztuczką, prestidigitatorstwem za pięć groszy.

Z podłogi pokoju wypływały białe litery, widmowe niczym dym, rozedrgane. Ulatywały w kierunku sufitu, który wchłaniał je w siebie nie pozostawiając po nich żadnego śladu, głodny słów, głodny zdań. Kolejne wersy unosiły się w powietrze z cichym sykiem.

Paweł zaczął czytać:

Role główne, scenariusz i reżyseria:

Adam Omega

W obrazie tym zastosowano najnowszą technikę artystyczną polegającą na bezpośrednim nagraniu wyobrażeń twórcy na taśmę filmową. Autor dziękuje Laboratorium im. Carpentera oraz Instytutowi Telenova za udostępnienie sprzętu, który był niezbędny do urzeczywistnienia tego eksperymentu.

„Prawy, lewy, złamany” jest dziełem tylko i wyłącznie Adama Omega, który na bieżąco tworzył scenariusz, reżyserował poszczególne sceny, jak również wcielał się we wszystkie postaci.

Paweł czuł, że wobec takiego natłoku absurdów powinien coś powiedzieć. Nie wiedział co, nie ćwiczył wcześniej takich kwestii, takich okoliczności nie próbował sobie nawet wyobrazić. Chciał rozgonić rękami dryfujące przed nim słowa, jak roje natrętnych owadów, ale to nie działało, nic nie dało się zrobić, litery przenikały mu przez palce...

Patrzył na Ankę przerażonymi oczyma dziecka, które właśnie się dowiedziało, że koleżanki i koledzy nie chcą się z nim bawić, bo narodziło się po urojonej ciąży i tak naprawdę wcale go nie ma. Czuł, jakby ktoś go chwycił

za gardło i dusił, dusił, dusił. To nie była fajna zabawa. To nie była żadna rozrywka. Z takiej karuzeli on chciał wysiąść i nigdy na nią nie wracać. Zanim jednak dał wyraz swojemu oburzeniu, zauważył, że w pokoju z sekundy na sekundę robi się coraz ciemniej, mimo że nikt przecież nie gasił światła. Mrok jednak gęstniał z każdą chwilą, a oddech starego reżysera robił się coraz płytszy.

Gdy przestali słyszeć słaby, charczący dźwięk jego oddechu, w nagłym błysku empatii pojęli, że dzieło Adama Omega jest już definitywnie skończone i teraz nawet najjaśniejsze słońce nie zdołałoby rozproszyć ciemności, które wypełniły jego przemęczony umysł.

Anka jęknęła, łapiąc się za brzuch. Ból wrócił do niej z całą mocą, a guziki koszuli nagle wystrzeliły, odkrywając brzuch świadczący o zaawansowanej ciąży. Nie miała nawet sił, by się dziwić.

Gasnące oczy Pawła dostrzegły jeszcze dziwny, prostokątny kształt, napierający od środka na skórę koleżanki. Nie był już jednak w stanie odczytać sześciu liter, które ledwie na sekundę rozbłysły bielą na wysokości jej pępka, a potem uniosły się powoli, znikając pod linią żeber:

KONIEC

ॐ

ॐ

Gdy w sali kinowej zapaliły się światła, publiczność nagrodziła twórcę owacją na stojąco. Omega, obecny na premierze mimo bardzo złego stanu zdrowia, był wzruszony i nieco zawstydzony. Wiedział, że *Prawy, lewy, złamany* jest jego ostatnim dziełem. Zdawał sobie sprawę, że zanim zdąży zabrać się za kolejny projekt, śmierć każe mu przestać. Cieszył się więc, że w taki, a nie inny sposób zakończył karierę, że widzowie po raz kolejny się na nim nie zawiedli.

– Adamie, znów ci wyszło – zagadnął go już na ulicy jeden z krytyków, Krzysztof Bala, przyjaciel jeszcze z dawnych lat. – To było takie... takie stuprocentowo twoje. Rozbroiły mnie te wszystkie smaczki. I jeszcze moje nazwisko padające z ust lidera Statystów... Dziękuję i tyle... Ale powiedz mi jeszcze tylko jedno. Nie zrozumiałem jednego fragmentu, a chciałbym. O co chodziło w końcówce? Że ten film to spleta długu, że robisz go dla kogoś, kto cię oświecił. O kim mowa? Czyżby twój nowy mistrz? Znam go?

Adam uśmiechnął się, ale w jego oczach nie było nawet cienia wesołości. Na pooranej zmarszczkami twarzy starca każdy stan jego duszy wyświetlał się tak wyraźnie, jak film na ekranie.

– Nawet ja nie znam go z imienia. Wiele miesięcy temu dostałem przesyłkę. W kopercie był list i płyta z kilkuminutowym fragmentem filmu. Z listu wynikało, że autor jest młodym reżyserem, który dopiero uczy się profesji i jeszcze wiele rzeczy nie wychodzi mu tak, jakby chciał. Twierdził jednak, że bardzo się stara, szlifując talent podczas kręcenia pewnego eksperymentu. Napisał, że kilka urywków tego dzieła przysyła mi jako upominek. Z jakiegoś powodu uważał, że jest mi to winien.

– I za to jesteś mu aż taki wdzięczny? Wielu młodych wysyła ci swoje wprawki.

– Ta jego niepozorna wprawka uświadomiła mi wiele rzeczy, Krzysiu, naprawdę. Ona... otworzyła mi oczy.

– A mogę wiedzieć, o czym to było?

Adam sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej zmiętą kopertę.

– Możesz. Ostatnio cały czas nosiłem to przy sobie. Jak amulet. – Zaśmiał się. – Proszę. Obejrzyj koniecznie. Najlepiej jeszcze dziś. O potem żyj z dnia na dzień, nic więcej nam nie zostaje.

* * *

Krzysztof Bala nie spodziewał się wiele po prezencie od Omegi. Mimo iż szanował swego przyjaciela i cenił jego gust, to nie mógł uwierzyć, by kilkuminutowe dziełko mogło odmienić życie starego reżysera, który niejednego przecież doświadczył, a filmów widział pewnie tysiące. Adam musiał przesadzać. Popłynął na fali własnego zachwytu, jak już nieraz w przeszłości.

Czas na puszczenie płyty Bala znalazł dopiero w okolicach północy, wcześniej pisał na gorąco recenzję nowego dzieła Omegi. Bardzo chwalił, ale zauważył też, że reżyser nie mówi tym filmem niczego nowego, tylko po raz kolejny rozstrzyga kwestie, które nurtowały go już od czasów debiutu. Puszczać tekst do redakcji, Krzysztof zdawał sobie sprawę, że będzie prawdopodobnie jedyną osobą narzekającą na autotematyczność Adama. Wszyscy inni na pewno znów pogłaszczą go za wierność własnym przekonaniom, konsekwencję wynikającą z nieporównywalnej z niczym pasji, roztropność w czasach politycznych zawirowań i tak dalej.

Czerwone cyfry 00.00. migają na zegarze jak oczy potwora.

Bala włożył płytkę do napędu.

Przez pierwsze sekundy na ekranie monitora było widać tylko śnieg zakłóceń.

Bala ziewnął, szybko tracąc cierpliwość.

Już miał wyłączyć komputer, gdy nagle wskoczył normalny obraz. Krzysztof ujrzał Adama Omegę. Pierwsze ujęcie filmu ukazywało go leżącego w łóżku, młodszego o co najmniej kilkanaście lat. W następnej scenie był już nieco starszy, ale wciąż młodszy niż obecnie. Rozmawiał z żoną. Zaczęli się o coś kłócić. Adam wykrzyknął, że żałuje tego czasu, który z nią spędził. Kobieta rozplakała się. Rzuciła stojącą na stole wazą w wiszące na ścianie lustro, rozbijając je na setki kawałków... W rzeczywistości żona Omegi nie żyła, zmarła na raka.

Następna scena ukazywała reżysera siedzącego w kinowej sali. Rozbrzmiewały oklaski. Była to bez wątpienia dzisiejsza premiera... premiera

filmu *Prawy, lewy, złamany*.

Potem Krzysztof Bala ujrzał na ekranie samego siebie. Tu i teraz. Z narastającym przerażeniem przyglądał się, jak jego filmowe odbicie ogląda tę samą etiudę, co on. Był to nawet ten sam moment podarowanego mu dzieła. Bala poczuł się przytłoczony tym, co widzi, tym, co nagle zdołał sobie uświadomić. Był sparaliżowany widokiem nieskończonej ilości monitorów – a wszystkie one wyświetlały identyczny w każdym szczególe obraz: jego samego wpatrującego się w ekran, jego samego wpatrującego się w ekran, jego samego wpatrującego się w ekran.

Śni mi się szum kłębek wycień

Prawie zawsze śni mi się szum. Śni mi się zgiełk, krzyk, czerni i biel. Ale czasem trafia mi się inny sen, mój ulubiony. W tym śnie moja dawno zmarła matka, która naiwnie sądzi, że urodzi mnie, rodzi najczarniejszego na świecie kota. Ten kot, otrzepując się z wód płodowych, wybiega na pełną przechodniów ulicę w centrum miasta. Przebiega im drogę, a oni wtedy umierają – wszyscy w tym samym momencie, lecz każdy z innej przyczyny.

Tym kotem jestem ja.

Gdy tylko uświadamiam sobie, co zrobiłem – a sprawiłem to przypadkiem, samym swoim pechowym, losowym, nieplanowanym istnieniem – zwijam się w kłębek i zdycham ze smutku.

* * *

Dobrze jest mieć ulubiony sen i dobrze, gdy się on powtarza. Nie muszę być zawsze tylko sobą, pełną białego szumu głową, mogę zmienić się w kota, który istnieje tak długo, że zabija wszystkich wokół, a jednocześnie tak krótko, że wody płodowe na jego futerku nie zdążą nawet wyschnąć.

Niekiedy zastanawiam się, czy ten sen nie jest prawdą. Być może to ja jestem wymysłem pewnego czarnego kota, który śni o tym, że jest osieroconym poetą, wygasłą przedwcześnie gwiazdą? I jest to jego najukochańszy sen, bo nie wierzę, że może być inaczej.

* * *

Rodziców nie pamiętam. Jeśli z mgły wspomnień wyłaniają się ich kształty, nigdy nie mają twarzy, tylko blade błony, pod którymi coś się przemieszcza, być może larwy, być może słowa.

Wujek mówi, że bardzo mnie kochali. Że byłem cudem, nie tylko dla nich, ale dla całego świata.

Kiedy więc cudem być przestałem? Czemu świat mnie odrzucił?

* * *

Otwieram okno – okno skrzypi. Ten rozpaczliwy dźwięk jest jego jedyną mową. Gdy zamknę je wieczorem, też będzie skrzypieć, nie mniej rozpaczliwie. Ono w ten sam sposób wita mnie i żegna. Jest trochę do mnie podobne, rozpaczliwa mowa to wszystko, na co mnie stać, tyle że o ile ktoś mógłby spojrzeć przeze mnie gdzieś, pewnie do środka, nic by nie zobaczył. Jestem jak okno z widokiem na nic.

Za tym prawdziwym oknem mam jednak ładny widok na park. Teraz jest wiosna i pachnie w nim bardzo przyjemnie, na dodatek jego zieleń jest kojąca dla oczu, w szczególności moich – ciągle czerwonych i przemęczonych, zażawionych bez powodu.

Najbardziej lubię patrzeć na park za dnia. Wtedy rozbrzmiewa w nim śpiew ptaków, a po ścieżkach biega biały kot z sąsiedztwa. Nigdy nie miauczy, tylko cały czas ociera się o nogi ludzi, którzy tam spacerują. Wszyscy go głaszczą i uśmiechają się. To ich ulubiony zwierzak. Jest dla każdego z osobna, a zarazem dla wszystkich. Łasi się. I tego widać potrzeba przechodniom, pędzącym z jednego miejsca w inne, najczęściej z desperacją w oczach.

W nocy biega tam czarny kot z sąsiedztwa. Miauczy tak głośno, że zawsze mnie budzi.

Gdy w nocy spoglądam na park, nie poznaję tego miejsca – jest ciemne i... inne. Miauczenie czarnego kota przywołuje wszystko, co najgorsze. Czasem na przykład słyhać krzyki ludzi, którym dzieje się krzywda: gwałcona dziewczyny błaga o pomoc, staruszek, któremu ktoś wbił nóż w gardło dla marnych paru groszy, już tylko bulgocze.

Gdybym się nie bał, może bym im pomógł. Ale jestem tchórzem, który nie potrafi pomóc nawet sobie...

Gdyby nie kot, nie musiałbym tego wszystkiego wysłuchiwać. Ale on chyba lubi mnie budzić, każe mi dostrzegać w mroku rzeczy, z którymi nikt normalny nie chce mieć do czynienia. To mój pieprzony obowiązek, tak jak obowiązkiem czarnego kota jest przynosić pecha. Mamy swoją symbiozę, on mnie wnerwia, a ja czerpię z tej niewyczerpanej studni ludzkiego strachu, brzydoty, lęku, chorób i śmierci. Bez tego byłbym jak każdy. A może ja wcale nie chcę?

* * *

Mieszkam sam. Po śmierci rodziców mieszkałem z wujem Rafałem, synem sławnego reżysera. To dobrym człowiekiem, wychował mnie w pojedynkę, bardzo się starał, choć nie można powiedzieć, żebym wyszedł dzięki niemu na ludzi. O rodzicach nie mógł mi wiele powiedzieć. Jeśli już musiał poruszać temat, plątał się w zeznaniach, raz rodzice znikali podczas lotu nad Trójkątem Bermudzkim, innym razem wchodzili we mgłę i nikt już nigdy ich nie widział. Grobu nigdzie nie ma, nawet symbolicznego, nie ma też zdjęć ani filmów. Mogłbym się założyć, że wcale ich nie było, rodzice zostali zmyśleni. W takim razie skąd i czemu jestem ja?

Po mojej wyprowadzce wuj nadal wspiera mnie finansowo. Czasem dzwoni i wypytuje o różne rzeczy. Czasem przyjdzie i załamie ręce na mój widok. Po śmierci swojego ojca ma uczulenie na artystów, jego zdaniem trzeba żyć jak człowiek, pełzać po ziemi, nie pozwalając sobie na choćby piórko wzlotu. Jest też wrogiem telewizji i internetu. To on zaraził mnie czytaniem i pisaniem, tak jakby zbawienie kryło się w tych małych czarnych znakach, wnikało w nas przez oczy i palce.

Całymi dniami nie wychodzę z domu, piszę wiersze, miniatury literackie, różne takie. Niekiedy straszne, niekiedy zabawne. W większej części jest to tak zwana „ciemna poezja”, nie przez wszystkich rozumiana, a może nawet niezrozumiana przez nikogo.

W zeszłym roku małe krakowskie wydawnictwo wydrukowało mój debiutancki tomik z wierszami i krótkimi formami prozatorskimi, zatytułowany *Demencja*. Kolesie stwierdzili, że piszę rzeczy bardzo ciekawe i oryginalne, choć z drugiej strony – smutne i mroczne; w każdym razie – postanowili zaryzykować i opublikowali mnie. W dwustu egzemplarzach. Cieszyłem się. Krótka to jednak była radość. Po trzech miesiącach musieli wycofać z księgarni cały nakład, a to dlatego że:

a) Pewna wrażliwa nastolatka po przeczytaniu moich tekstów wpadła w ciężką depresję i trzeba ją było wysłać do zakładu psychiatrycznego, gdzie babrała się we własnych odchodach i wypisywała nimi bluźnierstwa na ścianach.

b) Pewien student antropologii po przeczytaniu mojego tomiku wpadł w szal i ciężko pobił dwójkę swoich współlokatorów w akademiku. Jeden ze

współlokatorów po tym zdarzeniu zmarł, a drugi miał pękniętą podstawę czaszki i trafił na intensywną terapię.

Rodzice wrażliwej nastolatki i świrniętego studenta zaskarżyli mojego wydawcę za to, że „publikuje książki, które destrukcyjnie wpływają na ludzką psychikę”. Moje nazwisko trafiło do gazet i w krótkim czasie stałem się najbardziej znieawioną osobą w mieście. Byłem rozpoznawalny, choć najczęstszą reakcją była salwa śliny w twarz albo propozycja zawisnięcia na suchej gałęzi. Tomik usunięto z księgarni. Cały nakład zniszczono.

Nie wiem, czemu niektórzy tak zareagowali na moje teksty. One wszystkie mówią to samo: że jesteśmy straceni.

Taka jest prawda, w którą ludzie wolą nie wierzyć.

* * *

Wujek się o mnie coraz bardziej martwi. Kazał mi iść do psychiatry.

– Idź jutro do lekarza. Idź, ja cię błagam. Nie chcę, żebyś skończył, jak mój ojciec, naprawdę. Trzydzieści lat odjazdu i żadnego kontaktu ze światem. Pójdzie, prawda? I nawet nie próbuj się wykręcać, bo moja cierpliwość już, jak wiesz...

* * *

Jedni widzą wyjście w lufie pistoletu, drudzy wędrują swoją białą ścieżką, którą wciągają do nosa, ja z kolei miałem znaleźć wyjście w trzydziestu małych tabletkach, trzydziestu białych wyspach na bezdennym oceanie, który mnie pochłaniał.

Wykupiłem je w aptece nieopodal domu. Kobieta w białym fartuchu wyciągnęła z jednej z szuflad małe pudełeczko i uśmiechnęła się do mnie tajemniczo. Znała jakiś sekret czy też ten uśmiech był tylko atrapą? Co kryło się za tą twarzą? Nie byłem pewien, ale odnosiłem wrażenie, że znam barwę tego czegoś. To było czarne. Ona nie miała przed sobą długiej przyszłości. Ja nie miałem żadnej.

Na jej fartuchu usiadła mucha. Zacierała łapki jak bezdomny nad ogniskiem. Tak mi się skojarzyło. To łatwe. Coś z czymś. To plus to. W końcu wszystko z wszystkim, każdy z każdym.

* * *

Kiedy wracałem do domu, drogę przebiegł mi biały kot. Przemknął tak szybko, że nawet nie zdążyłem mu się przyjrzeć. Przecisnął się przez dziurę w płocie i tyle go widziałem.

* * *

Noc.

Moja pora.

Czarny kot nie daje mi spokoju. Zza jego mialceń dobiega stukanie. Wyobrażam sobie piękną kobietę, która ma do mnie pilną sercową sprawę. Potem przyjaciela, który chce zaproponować pójścia w miast. To oczywiście nie jest prawda, opowieść wyrasta mi z niczego, jak chwast. Tyle że dla takich jak ja wymyślone historie są jak bandaże. Bez nich już dawno bym się wykrwawił.

Wstaję, podchodzę, sprawdzam.

Biała ćma obija się o szybę, próbując dostać się do mojego mieszkania.

Dudni, boli, to staje się nie do zniesienia.

Łykam pierwszą tabletkę, popijam wodą z kranu. Uchylam okno – ćma wlatuje, siada na żarówce. Osiągnęła cel, ale żarówka jest tak rozgrzana, że ćma w parę sekund zmienia się w popiół. Popiół opada na podłogę. Zbieram go na palec i zjadam. Smakuje jak dziewczyna. Zupełnie jak dziewczyna.

* * *

Wstaję wcześnie, myję się, gołę, ubieram, jem pożywne śniadanko, wypycham portfel resztkami oszczędności, wychodzę, idę, miasto. Przyjemny spacer, uśmiechnięte twarze przechodniów. Samochody i rowery, starcy i niemowlęta. To się rozumie. Wchodzę do supermarketu, kupuję to i owo. Kasjerka puszcza do mnie oko, niebrzydka i miła, ale ona i ja – nie, zdecydowanie nie, jeszcze nie, może za jakiś czas.

Wychodzę z torbami pełnymi zakupów (żarcie, jakieś tanie rzeczy do ubrania, to i owo, ogólnie mówiąc). Na mojej drodze staje dwóch dżentelmenów w dresach. Tacy młodzi, a już łysiejący.

– Patrz, to ten skurwysyn! Jebnięty poeta, tragediopisarz, był na okładce, pamiętam jak dzisiaj!

Drugi dżentelmen drapie się po głowie. Nie ma tam włosów, więc nie ma też wszy. Ukryły się w środku?

– Co masz w tych siateczkach, koleś?

– To i owo – odpowiadam.

– Ej, patrz, jeszcze kutas się stawia!

Nie wiem, który z nich uderza pierwszy. Przewracam się na ziemię, krzycząc:

– Przestańcie! Błagam!

Kopią mnie po brzuchu i plują mi w twarz.

Słyszę miażdżenie i wiem, że czarny kot jest niedaleko.

Tracę przytomność.

* * *

Czyjaś dłoń na moim ramieniu.

– Nic panu nie jest? – pyta przechodzień, na którego twarzy czas – najbardziej szalony z lekarzy – wyrzeźbił niewidzialnym skalpelem mapę życiowych niepowodzeń. Wiem o nim wszystko, gdy tylko spojrzę. Dziecko na detoksie, żona w Londynie, mówi że wróci, ale nie. Ma tam kogoś. Młodszy.

I po co mi to?

– Ja jestem normalny, jestem normalny! – Staram się go przekonać.

Przechodzień oddala się szybkim krokiem.

Podbiega do mnie biały kot. Liże ranę na mojej twarzy, po czym otrzepuje się, wzbijając w powietrze pył. Jego futro robi się czarne, pył opada na chodnik. Wygląda jak popiół. Ślinię palec, dotykam.

Smakuje jak moje leki.

* * *

W jednej z bocznych uliczek bezdomny rozciera dłonie nad przygasającym ogniskiem. Drżący z zimna wyrzutek. Ciemny punkt na jasnej mapie miasta. Coraz mniej takich, czasy się zmieniają.

– Zabrali mi wszystko, człowieku! Dom, rodzinę, pieniądze! Co robić?

Wzruszam ramionami, odchodzę.

Mnie nie zabierali, bo nie było czego. Jeśli nie masz, nie musisz potem oddawać, prawda? Odrzuć więc wszystko, odklej się od świata.

* * *

Tabletka przestaje działać. Kształty mebli rozmywają się. Pokój wypełnia mgła gęsta jak szkło.

Potem znów widzę wszystko, jakbym patrzył przez lupę. Oczy bołą, a mózg staje się tylko przerośniętym suplem lęków, skarg i guzów.

* * *

Poranki mnie porażają. Natarczywość słońca. Ptaki dają koncert, a ja nie chcę, ja już bym wołał zwrócić bilet. Otwieram okno.

Na parapecie siedzi ćma. Dotykam jej – jest czarna i twarda jak kamień. Stwardniała i szerniała, czekając na pierwszy promień słońca.

* * *

Biorę tabletkę, popijam.

* * *

Jestem w kinie. Nie wiem, czy romans, czy farsa. Przez ekran płyną kolory i kształty. Najpierw chyba reklama: kobieta w ciąży ma na brzuchu napis „koniec”, rodzi, umierając. Dziecko zamiast pępownicy ma kabel.

Mrugam, obraz znika, wraca jako inny.

Film o chłopcu, który zakochał się w Najpiękniejszej Dziewczynie Świata. Wszyscy znajomi śmiali się z niego, bo nie dość, że był brzydki i głupi, to na dodatek mieszkał na zadupiu, gdzie nikt nigdy nie przyjeżdżał, a już tym bardziej dziewczyna, której zdjęcia zdobiły okładki najpopularniejszych gazet.

Chłopiec zamknął się w pokoju i w sobie. Zaczął pisać wiersze, które były tak piękne i tak smutne, że wszyscy, którzy je przeczytali, tracili zmysły. Chłopiec postanowił postawić wszystko na jedną kartkę – wydrukował najlepszy wiersz, włożył do koperty, nakleił znaczek i wysłał pod adres Najpiękniejszej Dziewczyny Świata.

Większość jej korespondencji frunęła w śmietnik, ale Najpiękniejsza Dziewczyna Świata zupełnie przypadkiem akurat ten wiersz przeczytała. Był tak dobry, że popadła w obłąd. Po pewnym czasie zmieniła się w białą ćmę i poleciała szukać autora. Gdy po latach poszukiwań odnalazła go, zaczęła obijać się o szyby jego mieszkania, aż chłopiec wreszcie jej otworzył. Ćma zmieniła się wtedy w dziewczynę i pocałowała poetę, który niespodziewanie nie musiał się zmieniać, bo to świat się odmienił – chciał chłopca takim, jakim był.

* * *

Budzę się we własnym łóżku, owinięty w zmiętą pościel jak w kokon.
Nie jestem w stanie w nic się przepoczwarzyć.

Wyrrywam z zeszytu kartkę i piszę na niej swój ostatni wiersz. Składa się z trzech kropek, trzech czarnych wysp na białym oceanie. To nowa forma, której nikt nie będzie kontynuował:

...

Mucha siada na framudze okna, od jej bzyczenia dostaję drgawek. Ściany i sufit oddychają. Okna w domu naprzeciwko śmieją się jasnym światłem.

Łykam wszystkie tabletki naraz, popijając środkiem do czyszczenia rur.

* * *

Wszystko toczy się szybko i gładko, jak syzyfowy kamień wypuszczony z rąk.

Straciłem kontakt z wujem Rafałem, ale tak naprawdę już go nie potrzebuję.

Znajduję przyzwoitą pracę w biurze. Teraz jestem członkiem wielkiej korporacji. Nie znam jednak jej nazwy. Wymyśliam zdania, które sprzedają usługi i rzeczy. Jestem w tym świetny.

Umawiam się na randkę z kasjerką z supermarketu, szybko zakochujemy się w sobie i bierzemy ślub. Ona zachodzi w ciążę, jej brzuch pęcznieje, jakby to miały być bliźnięta. Potem faktycznie rodzi mi dwójkę ślicznych dzieci – mają jasne włosy i bardzo szybko dorastają.

– Będę maklerem – mówi jedno z nich.

– Będę supermodelką – mówi drugie.

Nie wiem jednak, które jest które. Nie mam już żadnych wspomnień ani uczuć.

* * *

Jest noc. Otwieram okno. Naoliwiłem je, więc już nie skrzypi – ani rozpaczliwie, ani w żaden inny sposób. Za oknem mam widok na park, nocą bardzo piękny i bardzo cichy. Po jego ścieżkach biega biały kot z sąsiedztwa. Zupełnie jak za dnia.

Czarny kot wkurzał okolicznych mieszkańców swoim miauczeniem, więc pewnego dnia zapakowali go w worek i utopili.

* * *

Jestem bardzo szczęśliwy, choć czasem budzę się, kaszląc i plując brudną wodą. Każdej nocy śnię ten sam sen – w tym śnie moja zmarła matka, która sądzi, że urodzi mnie, rodzi najczarniejszego na świecie kota. Nim kot zdąży uciec, matka wrzuca go do pralki i włącza wirowanie. Pierze go w proszku zrobionym z moich rozgniecionych tabletek. Gdy kot wychodzi z pralki, jest nieodwracalnie biały.

Wybiega na ulicę w centrum miasta, na ulicę pełną przechodniów. Przecina im drogę i od tej pory ich żywoty są szczęśliwe, bezbolesne i wieczne.

Kot wbiega do parku, gdzie kluczy wąskimi ścieżkami, od czasu do czasu wskakując w zarośla bądź ocierając się o drzewa.

Żona podśpiewuje w kuchni, dzieci głośno się śmieją, ja wymiotuję ściekiem, a potem szeroko się uśmiecham.

W oknie siedzi kot. Futro ma białe jak śmierć.



Dawid Kain

prozaik, scenarzysta, okazjonalnie tłumacz i redaktor. Pod własnym nazwiskiem – Marcin Kiszela – pisał scenariusze gier video (*Get Even*, *The Beast Inside*, *Unholy*), tłumaczył uznane bestsellery (mi.in. *Siedem minut po północy*, *Silos*, *Pieśń Krwi*, *Głowa pełna duchów*), a także wydał powieść *Ostatni Prorok* (2018). Wśród fanów fantastyki i grozy znany jest jednak przede wszystkim jako Dawid Kain. Pod tym pseudonimem opublikował w latach 2004-2017 niezliczoną ilość opowiadań, często łączących psychologiczny horror z science-

fiction. Ma na koncie sześć dobrze przyjętych powieści: *Prawy, lewy, złamany* (2007), *Gęba w niebie* (2010), *Za pięć rewolwa* (2011), *Punkt wyjścia* (2012), *Kotku, jestem w ogniu* (2014) oraz *Fobia* (2016).

www.facebook.com/marcinkiszela/

Mieszkańcy spowitego smogiem krakowskiego osiedla odkrywają, że nieświadomie stali się **bohaterami filmu**.

Ktoś ze scen z ich życia i wycinków snów zmontował mroczne, przerażające, psychodeliczne dzieło. Czy zdołają odkryć tożsamość prześladującego ich reżysera, zanim będzie za późno?

Oczy pełne szumu to nowe, radykalnie zmienione wydanie książki *Prawy, lewy, złamany*, którą przed ponad dekadą zadebiutował na rynku Dawid Kain. Autor gruntownie przeredagował tekst, dodając wiele nowych scen, a także dopisując zaskakujący epilog.

 CREATIO
FANTASTICA
OD 1998 DO 2014



GROZOWNIA

ALIEN HIVE.PL 

HISTERIA



DZIKA BANDA
OD 1998 DO 2014